

*Waclaw
Biliński*

IKONY

– Nie podoba mi się to, wcale nie podoba – przerwał Zyga tę chwilę kontemplacji. – Naprawdę chcesz to zrobić?

– Pytanie za sto złotych – zirytowała się. – Mówię, że szkoda pejzazów. Landszaftów. Sztuki retro. Nikt jej nie wskrzesi. Nikt tego dziś nie potrafi.

– Bierzemy się do roboty – przerwał jej rzeczowo.

Poszedł pierwszy, zostawiając za sobą wyraźne ślady na zwarzonej przez nocne przymrozki, moknącej w deszczu trawie. Przeszli przez polonę, niegdyś w niedziele i odpusty pełną pątników. Tam gdzie niegdyś była wioska, teraz zarosła chwastem rumowiska i pogorzełe strąszyły ostatnimi, nie skruszonymi jeszcze przez czas, sterczącymi w krzakach kominami.

Zaczynał padać coraz gęstszy, zimny deszcz. W wielkiej ciszy, jaka stała nad wzgórzami, czasem przerywanej ochryplym krzykiem przelatującego gawrona, szelest deszczu na zeschłych liściach wydawał się muzyką. Irena oparła się plecami o szerniałe belki ściany. Okap z gontów nawet nad wejściem do cerkwi był niski.

– Ani żywej duszy – powiedziała i zaczęła się śmiać. – Szkoda, że nas Halina nie widzi.

– Coś ty – mruknął Zyga. Położył u jej stóp swą granatowo-białą torbę i szybko obszedł dookoła cerkiewkę. Wołał sprawdzić. Irena zamknęła oczy i słuchała jego cichych kroków. Wrócił, podniósł torbę i nie patrząc Irenie w oczy powiedział:

– Zerwij trochę gałęzi. Trzeba zamieść pod okapem ślady po nas.

Otworzył błyskawiczny zamek. Wyjął dłuto i młot. Odrzwią cerkwi zamknięte były na skoble i dwie nowe, budzące respekt kłody. Na ścianie czerwona tablica: „Obiekt zabytkowy” i tak dalej. Zyga mocował się ze skoblami. Nie poszło tak łatwo, jak przypuszczał. Tu, pod stropem, drewno zachowało żelazną spoiłość. Nie można było wyrwać kutyh, prymitywnych ćwieków.

– Rusz się – warknął ze złością Zyga. Niepowodzenia zawsze go złościły. – Zróbcie te mioty.

Irena usłuchała. Szamocąc się z chwastami, została nowiedziona przez pokusę, by zrezygnować. Właściwie po co? – pomyślała. Nagle poczuła się osamotnioną. O, Boże, żeby tylko się udało! Po raz pierwszy od chwili, gdy zrodził się ten pomysł, poczuła przykre ukłucie lęku. Już nie żadną emocję, podniecenie, a strach. Zwykły strach. Może się wycofać, kusilo znowu, po co ryzykować? Czy gra warta świeczki? Zaraz się jednak zgromiła. Historyczka! Musi się udać!

Wacław Biliński

IKONY



WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

Okładkę projektował

JERZY DENISIUK

Redaktor

TADEUSZ MROZOWSKI

Redaktor techniczny

BARBABA STĘPIŃSKA

Korektor

MAŁGORZATA KRUKOWSKA

Wydawnictwo Łódzkie

Łódź 1978

Wydanie pierwsze.

Nakład 50 000+350 egz.

Arkuszy wyd. 10, 2. Ark, druk. 12,75 (10,4).

Papier offset, mat, kl. V, 71 g, 82X104.

Oddano do składania 18 maja 1978 r.

Podpisano do druku w listopadzie 1978 r.

Druk ukończono w listopadzie 1978 r.

Łódzkie Zakłady Graficzne,

Zakład nr 1

Łódź,

ul. Rewolucji 1905 r, nr 45.

Zam, nr 1303/11/78. 1-3.

Cena zł 20,-

Część pierwsza

IRENA

Uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej nastąpiło punktualnie o godzinie jedenastej – zgodnie z pięknie wydrukowanymi na czerpanym papierze programami. Irena, chłopięca, w dżinsach i kurtce marki Wrangler, wyglądająca młodziej niż zwykle, stała za plecami notabli, tych miejscowych i tych przybyłych do miasteczka z tej właśnie okazji. Uśmiechała się na siłę. Czuła się zmęczona. Dotarli tu rano po nocnej, uciążliwej jeździe i mieli ledwie godzinę odpoczynku w mieszkaniu miejscowego lekarza, przyjaciela Stefana.

Na chwilę przestał padać deszcz, ale chmury wciąż napływały niską ławą z południa, zza rozmazanej w przygasłym świetle sieniei pręgi bliskich gór. Było chłodno. Pożałowała, iż skórzaną kurtkę zostawiła w samochodzie. Mężczyźni raz po raz z powątpiewaniem spoglądali w niebo. Jeszcze nie padało, ale parę kobiet w tłumie już skryło się pod parasolami.

Tylko ojciec, pomyślała cierpko Irena, tylko ten mój wspaniały ojciec, bohater dnia, stojący w pierwszym szeregu gości, na honorowym miejscu, i tuż obok niego z napięciem Halina, jego młoda żona, tylko oni nie zwracają uwagi na pogodę. Siwa głowa Stefana i jasny kok Haliny górowały nad tłumem. Irena patrzyła na nich, uśmiechała się. Święto, myślała i nawet odczuwała coś w rodzaju współsatysfakcji. Prawie dumy. Radocha! Rodzinne święto. Beatyfikacja! Ależ im sprawili frajdę!

Znów zadrżała od chłodu. Spojrzała na zegarek. Plan wyliczyli skrupulatnie co do minuty, jak w gangsterskim filmie. W policzek piasnęła kropla deszczu, zaraz następna słodka i chłodna padła na wargę. Zlizwała ją. Zaczyna padać – pomyślała – to lepiej! Właściwie to świetnie!. Nie czekając na koniec tej części uroczystości, która miała trwać jeszcze długo, ścieżką wysypaną zgrzytającym pod stopami szutrem, poszła starając się cicho stąpać i nie zwracać uwagi swym odejściem. Przez otwartą furtkę szkolną uskoczyła na ulicę. Potem w lewo, wzdłuż przywiędłych jesienno grządek kwiatowych. Aż do najbliższego skrzyżowania.

Tuż za nim czekał Zyga w samochodzie.

Gdy się zbliżyła, opuścił szybę i uśmiechnął się samymi oczami. Otworzył drzwiczki wozu. Fiat 132 Stefana był szybszy od steranego wartburga Zygi. Gdy ich plan zaczął się układać w logiczną całość, właśnie ten wartburg budził pewne wątpliwości. Jak się zachowa na takich bezdrożach? Lecz wtedy wybuchła sprawa tych rocznicowych uroczystości. Stefan mówił o nich wydymając wargi. Halina natomiast od razu wyczuła, że to będzie jego triumf. Prawdziwy triumf. Że Stefan przeżyje w tym miasteczku swój wielki dzień! Może go to odmłodzi, orzeźwi? Należy mu się przecież takie odprężające, optymistyczne przeżycie. Taki zastrzyk wiary we własne siły. Taki doping. W podtekście tych uwag, jakie padały tylko w rozmowach z Ireną (nigdy w obecności Stefana, a tym bardziej Zygi), zatem między nimi kobietami, w cztery oczy, pobrzmiwała troska Haliny. Stefan miał ostatnio okres pasywności. Tak to nazywała, a Irena myślała, coś się między nimi zepsuło, dlaczego ona nie nazwie rzeczy po imieniu – klimakter. Męski klimakter? Stefan od paru miesięcy istotnie przygasł. Jego zwykła błyskotliwość zmatowiała. Halina kiwała znacząco głową: rozumiesz? Zmęczenie. Przepracowanie. Te intrygi. Te ruchy na szachownicy. Było to nie dopowiedziane, zdania urywały się w niedomówieniach, aluzjach. Używała wciąż tych samych zwrotów. Chyba sama to zauważyłaś? – lub – Wydaje mi się to takie niepokojące – albo – Nie powinniśmy przysmykać na to oczu... Irena z gorzkawą półsatisfakcją myślała: różnica wieku. Tato

jest dla ciebie za stary. Akurat teraz weszłaś w wiek wielkich zapotrzebowań. A on teraz wyżywa się w innych działaniach.

Potem zjawił się facet z telewizji, Stefan nagle nabrał ochoty i zapadła decyzja podróży, mimo że miał jak zwykle tuzin pilnych, terminowych narad i konferencji. Zyga, przywykły do raczej zgryźliwych uwag Ireny na temat poczynań macochy, potem, już w pracowni, słuchał z niedowierzaniem, że Halina miała taki świetny pomysł. Wiedział przecież niemało o utarczkach Haliny z Ireną.

– Jedziemy – zdecydowała Irena. – Wystarczy spojrzeć na mapę, by zrozumieć, jak bardzo nam jest to na rękę.

– Może z tego wyjść wiesz jaki obciach... – martwił się na zapas. – Treningi... Zgrupowania...

– Wymyśl coś – nakazywała. – Musisz tym swoim wytłumaczyć, że jest to uroczystość bezwzględnie zobowiązująca nas, rodzinę. Terminy muszą się dopasować.

Teraz szybko wsiadła do wozu i zatrzasnęła drzwiczki.

– Szorujemy – powiedziała. – Tylko ostro, kochany! Wyspałeś się?

– Jak najbardziej.

Zyga był ogolony, miał na sobie wełniane dresy i treningowe, stare trampki. Uśmiechał się do niej swymi dobrymi, poddańczymi oczami. Dotknęła jego policzka grzbietem dłoni. Gdy uczyniła ten gest, zachnął się jakby w obawie, że go uderzy.

– Uważaj, jak prowadzisz – powiedziała łagodnie. – Mój jaskiniowcu!

Takie miała pieszczotliwe zwroty i Zyga jakby to lubił. Wziął zakręt, prostą szeroką ulicą wyprowadził samochód spośród zabudowań. Irena ze schowka wyjęła mapę. Miała sporo kłopotów z jej zdobyciem. Nie była to współczesna mapa samochodowa, a stara, bardzo szczegółowa sztabówka, na której trasę wykreślili czerwonym ołówkiem.

– Ponad pięćdziesiąt kilometrów – przypomniała. – Tamci będą

uprawiać dętologię parę godzin. Część oficjalna. Przemówienia i te pe. Potem część artystyczna w szkole. Na wspólny obiad musimy być z powrotem. Żeby nas widziano. Razem z moim tatusiem. Mamy czasu równo dwie godziny.

– Na pewno zdążymy.

– Wiesz, jak studentki nazywały mego ojca? Gregorypek. Jak byłam gówniarą, obserwowałam, jak na niego urządały polowania. Byłam cholernie zazdrosna. Matka jeszcze żyła. A Halina ustrzeliła go dosłownie na moich oczach. Lubiłam ich podglądać.

– Co ty właściwie masz do niej?

– Czy ja wiem? Wydaje mi się nudna.

– To klasa babka.

– Moja matka była nieładna. I niezgrabna. Ciekawe, czy ojciec ożenił się z nią dla kariery? Czy dla forsy?

Prosta, wymyta deszczem droga wśród lasów. Po obu jej stronach milczący i mroczny gąszcz. Zyga wyciskał z fiata sto czterdzieści kilometrów. Irena uchyliła boczną szybę, wciągała głęboko w płuca zapach ziemi, igliwia, butwiejących liści.

Pulsowała w niej cicha radość i jeszcze jakieś emocjonujące uczucie. Może sprawiła to bliskość Zygi. Lubiła, gdy prowadził, miała pełne zaufanie do jego sprawności. Lubiła ten ich szczególny, nigdy zresztą nie omawiany układ. Zyga podporządkował się jej w sferze spraw – jak to nazywała – intelektualnych. Była więc niejako mózgiem w tym ich dziwnym i do szczytu opłotkowanym w jej środowisku małżeństwie. I tak było dobrze. Uśmiechała się do tej myśli. Wysokiej klasy mózg! I wysokiej klasy sprawność fizyczna! Każdy wpłaca do wspólnej puli swoje. Fifty-fifty.

Podkreśliła szybę, bo zrobiło się bardzo chłodno. Przymknęła oczy pilnując się, by nie zasnąć.

– Ta noc dała mi w kość – powiedziała.

– To był twój pomysł – przypomniał Zyga. – Pamiętaj. Żadnych pretensji!

– Mój pomysł. Od początku do końca – przyznała z satysfakcją. – Nic się nie bój.

– Wiesz, jak Radeberger się wtrupił? – (Było to przezwisko brzuchatego trenera) – Kiedy powiedziałem, że jadę... Taka eskapada?! Teraz?! Przed meczem?! wrzeszczał. Że zgubię kondycję.

– Nie zgubisz.

– Pewnie, że nie – przytaknął nazbyt skwapliwie. I zaraz półgłosem, jakby to był ich sekret: – Tylko ten Grzywalski mi działa na nerwy.

– Nie łam się.

Znała Zyge. Uważała, że brak wyobraźni strzegł go przed uczuciem lęku.

– Mówią, że Dučić też jest dobry. Wyrobił sobie żelazny prawy prosty.

– A ty wiesz o tym. I on się ciebie boi. Już raz miałeś go przez trzy rundy. Robiłeś z nim, coś chciał.

– Wtedy! On dopiero zaczynał. Dwa lata minęły.

– Co z tego? I ty zrobiłeś w tym czasie postępy. Wszyscy ci to mówią.

– I zestarzałem się – zabrzmiało to jak pretensja.

– Jesteś głupi – ucięła dalszą dyskusję. – Nie zestarzałeś się. Zmądrzałeś. Będziesz miał go na rozkładzie od pierwszej rundy. Będę ci biła brawo, aż mi ręce spuchną.

– O, raj! – uśmiechnął się Zyga – O, raj!

Irena wcisnęła głowę w oparcie, nie otwierała oczu, nawet to mdłe uczucie zmęczenia stawało się przyjemne. Lubiła muzykę szybkiej jazdy, przyśpiew opon na asfalcie i szum powietrza w wywietrzniku. Mój trogłodyta, pomyślała. Mój łup. To dobrze, że robię w życiu, co chcę. I biorę, co chcę. Nie pozwolę nikomu narzucić sobie czegośkolwiek.

Jacek, asystent w Akademii, przyjaciel i kiedyś – przez krótki okres – kochanek, długo dokuczał Irenie jej bokserem. Aż doprowadził ją do gniewu, choć potrafiła panować nad sobą. Było to w Dziekance, dokąd poszli całą paczką na wino.

– Jak już mnie przyparłeś do muru, to ci wygarnę – powiedziała spokojnie. – Szczerze, można?

– Oczywiście – zachęcił nie przeczuwając, co mu grozi. – Wal prosto z mostu.

– Na świadków powołałam Zulę i Małgoškę, bo one ciebie też dobrze znają. Więc primo: jesteśmy estetaami, taki nasz zawód, prawda? A ty masz wyjątkowo brzydkie nogi. Nie tylko chude i krzywe. Ale w ogóle jakieś takie brzydkie. Stopy. Palce. Pięty. Aż odrażające. To jeszcze nie wszystko. Jesteś przy tym cherlak. Ta twoja klatka piersiowa. Te twoje mięśnie. To jeśli chodzi o stronę wizualną. Bo są i dalsze mankamenty.

Dziewczęta już zanosily się od śmiechu, a Jacek nastroszył się.

– Może byś przestała – powiedział. – To dość obrzydliwe. Taka wiwi-sekcja.

– Sam mnie sprowokowałeś. Teraz już muszę ci wyjaśnić, dlaczego wzięłam takiego mięśniowca. Więc jeśli chodzi o dalsze twoje mankamenty. Kochasz się niezręcznie. Tak, tak. Twoja słynna ars amandi to w istocie rękodzieło. Manipulacje. Reszta taka sobie. Nie robi piorunującego wrażenia. Czyż nie tak, biedne dziewczęta? Reszta nie imponująca. A w trakcie pocisz się nadmiernie. No i potem od razu zasypiasz. Chrapiesz. Wszystko to nieapetyczne. Nie, mój drogi, ty się nadajesz do rozmów o sztuce. Do miłości wolę swojego boksera. Jeśli mu tylko trener pozwala, to, porównując z tobą, jest o klasę lepszy. Jestem obsłużona jak należy.

Dziewczęta śmiały się już mniej szczerze. A Jacek pokaszliwał, przecierał okulary.

– Zatem przedyskutowaliśmy radości alkowy – powiedziała Irena i wierzchem dłoni dotknęła pieszczotliwie policzka Jacka, tym swoim wystudowanym gestem.

– A jeśli chodzi o wymianę kulturalną, o spółkowanie intelektualne, to primo: ty jesteś na medal. Prócz ciebie mam wygodny fotel po babci. Lampę o przyjemnym świetle. Dobre książki. I was, dziewczęta. Dzięki wam piorę mózg tak często jak trzeba. Mens sana in corpore sana. Taki sobie

ułożyłam jadłospis. A teraz, no? Czy chcecie mi jeszcze dokuczać moim bokserem?

Jacek nałożył okulary i przyglądał brodę. Te gesty były u niego oznakami zakłopotania.

– Irka – powiedział. – Taką żyletę jak ty, jeśli byś nie istniała, należałoby wymyślić!

Wszyscy się trochę jeszcze pośmiali i ta rozmowa przeszła do legendy. A na najbliższym ubawie przyjaciółki Ireny usiłowały podrywać jej neandertalczyka. Patrzyła na to pobłażliwie, bez zazdrości, pewna swego.

Zyga należał do niej.

Rzuciła mu z ukosa spojrzenie, lubiła tę łagodną twarz, dziecinną mimo blizn. Marszczył czoło, myślał o czymś intensywnie.

– Doktor to jest fach! – powiedział. – Forsa sama się pcha do kieszeni. No nie?

Byli już w terenie podgórskim, falistym, wzgórze wybrzuszały się i ogromniały. Ostry podjazd. Serpentina za grzbietem i miasteczko w dolinie. Mignęła żółta tabliczka z jakąś nazwą. Irena sprawdziła na mapie.

– Za rynkiem w lewo – powiedziała.

Nie otynkowane, pudełkowate domki. Zyga skrzywił się.

– Ten doktorek to sobie pewexowska chatę wyrychtował! – cmoknął z uznaniem. – Kosztowała go chyba z półtora miliona.

Minęli rynek, barokowy kościółek. Mało ludzi. Dwupiętrowy, w niedzielę zamarty dom kultury. Pogoda zła. Każdy siedzi w domu nad talerzem rosółu. Przed gospodą tuzin motocykli. Co najmniej tyłuż pijaków. Przy skwerku parę taksówek.

– Teraz w lewo – powiedziała. – I nie tak ostro. Nie śpiesz się.

Posłusznie zwołał.

– Popatrz tylko, taki sobie liczytrup – powiedział w zamyśleniu. – A szmałem od niego aż kręci w nosie.

Za miasteczkiem drogą w zygzakach pognali ku bliskim góróm. Irena raz po raz sprawdzała na mapie nazwy mijanych wsi, coraz rzadszych,

coraz uboższych w zabudowania. Wjechali w las: Mimo jesiennej szarówki buki i graby pięknie żółciły się, czerwieniały. Zadudnił nowy mostek nad rzeczką na dnie parowu. Jeszcze jeden zakręt. Zyga ostro przyhamował, przez drogę przebiegła sarna.

– Uważaj – powiedziała spokojnie Irena, jak nauczycielka do ucznia przed tablicą. – Skręcamy na połą drogę.

Zaraz miało się wszystko zadecydować. Bo jeśli droga okaże się zbyt grząska, rozkiszła... Tego się obawiała. Ale przecież miała być kamienista. Trudna droga, lecz kamienista. Już ukazała się w wyrąbanym przekopie, odchodziła od szosy w bok pod ostrym kątem. Z obu stron na wysokich skarpach jakieś płotki, kępy dzikiej róży. Fiat był silnym wozem, jakby stworzonym do takiej eskapady. Tylko czy nie za nisko zawieszonym? Zyga ostrożnie skręcił, opony zadudniły na lichym, ułożonym z belek mostku, podrzuciło ich wysoko na wyboju i zaraz koła zaczęły szorować po kamieniach, rozrzucać je ze stukotem błotników.

– Nie jest dobrze – powiedział zaniepokojony Zyga.

Zwolnił. Wjechali na otwartą przestrzeń. Droga płytkim jarem biegła meandrami ku kolorowym lasom na baniastych, bliskich już wzgórzach.

– Nie jest źle, przejedziemy – uspokoiła go. I z zachwytem dodała: – Widzisz te koloryty? Wszystko w złamanym fiolecie.

Położyła rękę na ramieniu Zygi i zaraz szybkim gestem dotknęła jego policzka wierzchem dłoni.

– Spróbujemy przejechać, prawda?

– Na patataj!

Spojrzała na zegarek. Uśmiechnęła się.

– Jedenasta czterdzieści – powiedziała. – Wszystko gra.

Zyga dodał gazu. Czuli, jak wóz zarzuca na usypiskach gruzu, jak raz po raz wpada w poślizgi na mokrej darni. Zgrzytały kamienie pod kołami.

– Najważniejsze, że nie ma kolein – powiedziała Irena. – Zresztą już

blisko. Zauważyłeś, jak Halina patrzy na tego faceta z telewizji?

– Wiesz, jak się w nocy męczyłem? Silnik nawalał raz za razem.

Stromy podjazd, na grzbiecie wzgórza las zaciągnięty mgłą, w przygasłym świetle brunatny i smutny. Chmury miały ołowiany kolor. Fiat pięknie się sprawiał. W połowie stromizny Irena obejrzała się. Za nimi droga, pola, cały ten krajobraz był wyludniony, pusty, jakby zastygły w szarudze. Rzyńska wyglądała jak brudne, zabłocone płachty. Na szczęście, żadnych ludzi. Niedziela w tym zapomnianym przez Boga zakątku świata. W lecie byłoby trudniej – pomyślała Irena. – Jesień, pora polowań. Zatem polujemy. Na grubego zwierza.

Byli już na grzbiecie. Droga biegła brzegiem lasu.

– Stajemy – powiedziała.

Zyga zwolnił, ostrożnie zawrócił. Zatrzymał wóz za zasłoną krzaków dzikiej olchy. Irena poczuła napływ grozy, boję się, naprawdę się boję, pomyślała zdziwiona. Lubiła emocjonujące przeżycia. Tak często się nudziła.

– Przygoda – powiedziała głośno.

– Swędzi cię, co? – burknął.

Wysiedli i przez minutę stali w milczeniu. Krajobraz był urzekający. Ciężkie i niskie chmury nadawały mu dramatyczny wyraz. Porywisty i zimny wiatr kołysał lasem. Irena sięgnęła po swoją skórzaną kurtkę. Zyga dobył z bagażnika torbę treningową. Zatrzasnął bagażnik, zamknął na kluczyk drzwiczki wozu.

– Biegiem – powiedział.

Jak na treningu, ruszył w takim tempie, że Irena w sportowych, ciężkich półbutach i skórzanej kurtce od razu została daleko z tyłu. A przecież nawiązała do takich biegów. Jeśli nie walczył w niedzielę, wyjeżdżali zazwyczaj za miasto i biegali po lesie. Ku własnemu zdziwieniu polubiła to nawet. Kondycja fizyczna, myślała, trzeba więcej dbać o nią, była przecież od Zygi starsza. Kondycja fizyczna, myślała, przeliczając taki bieg i swój wysiłek na korzyści, jakie daje sprawne, zdrowe, silne ciało. To było na pewno lepsze

niż wysiadywanie w zadymionych kawiarniach. Na kawiarnie miała czas w tygodniu, gdy Zyga trenował. Gdy znudziło się malowanie. Gdy brała tęsknota za bractwem świętego Łukasza i spółką, jak nazywali się żartobliwie w kręgu przyjaciół z Akademii.

Zyga czekał na krawędzi stromego stoku. Mżawka, zimna i zacinająca w każdym podmuchu wiatru, siekła po twarzach. Irena dobiegła, zadyszana. Przystanęła. Objął ją ramieniem.

– Zmęczyłaś się.

– Wzięłaś takie tempo...

– Nie szkodzi. Dotlenimy się. Trochę wysiłku. – I nagle poważnie, z niepokojem w głosie: – Naprawdę chcesz to zrobić?

– Chcemy.

– To był twój pomysł!

Zbiegli drogą stromo w dół, tam, gdzie niegdyś, przed tragedią bieszczadzką, kryła się wioska Łemków czy Bojków. Przodem, roztrzając gałęzie krzewów, sadił długimi krokami Zyga. Torba z napisem „Adidas” tłukła mu się po plecach. Coś w niej metalicznie pobrzękiwało. Irena za nim, zdyszana, ze smakiem krwi w ustach. Wokół nie było żywej duszy. Wiatr rozwiewał jej włosy i gdy znów przystanęli na moment, już na dole, nad potokiem, Zyga, obejrawszy się, zrobił minę, po której zawsze poznała, że jest w jego oczach piękna. Nie oczekiwała teraz takiego sygnału, właśnie tu. Od razu groza znikła. Został triumf: mogę z nim robić, co zechcę. Nikt nigdy nie był aż tak mój. W ogóle była dla niego i najpiękniejsza, i najmądrzejsza, i najzdolniejsza. A jej zepsucie – bo przecież wiedział o kochankach, o awanturach przeszłości – nadawały tej miłości smak ostry, gorzko-piekący.

Poszli wzdłuż strumienia, stąpając ostrożnie po grząskiej łące, ku kępie drzew, która jakby oderwała się od skraju lasu. Raz i drugi pod nogami cmoknęło bagniste błocko.

– Teraz szybko – powiedziała Irena.

Dróżką zarośniętą, jakby ludzie zapomnieli na amen o tym zakątku, dali nura w gęszcz. Zaszły im drogę jakies kolczaste zarośla, jeżyny – nie

jeżyny, osty – nie osty. Zyga rozgarniał je i cicho przeklinał. Już przeświecała polana, a na niej zapadająca się w ziemię, szerniała cerkiewka o cebulastych, krytych gontem kopułach. Zatrzymali się na skraju polany. Irena spojrzała na zegarek i powiedziała triumfująco:

– Dwunasta. Punktualnie.

Z niekłamanym zachwytem patrzyła na cerkiew. O, raju, co za landscape! Egzotyka, pomyślała. Wschód, ani śladu Europy. Ale jakie wzruszające.

– Dobra kompozycja – powiedziała głośno. – To wszystko: te wysokie drzewa, te kopuły...

Zyga miał czoło w zmarszczkach, zaciskał usta. Milczał. Od początku odnosił się do tej eskapady bez entuzjazmu.

– Dobra, doskonała kompozycja – powtórzyła Irena, trochę, żeby coś powiedzieć, ale i szczerze, bo była wrażliwa na piękno. Jej wybór zawodu – nie podyktowany modą, snobizmem, pozą, jak to się zdarzało jej przyjaciółkom – był nieprzypadkowy. Lecz choć uczulona na piękno kształtu, barwy, światła, nie czuła się zarazem zbyt uzdolniona. Może to było lenistwo. A może kompleks, zahamowanie. Uważała, że ma mniej pomysłów twórczych niż wielu jej kolegów. Pomysłów „na wystawę” czy choćby na sprzedażną galanterię robioną dla „Desy”. Lecz pod działaniem takiego jak teraz bodźca jej wrażliwość, niby napięta struna, dawała od razu ton wysoki i mocny. Umiała się zachwycić. A ta starutka cerkiewka, szerniała, połyskująca mokrą od deszczu łuską gontów, nad nią kopuła starych drzew, już półnagich i sypiących resztką jesiennych liści, czarno, jakby węglem narysowanych na tle następnego potężnego garbu, brunatnego w jesiennych kolorach, a górą nadymające się, pełne deszczu obłoki. Co za pejzaż! Tylko oprawić w stare dziewiętnastowieczne ramy. Tyle, że dziś nikt już takich pejzaży nie maluje.

– Chyba szkoda – powiedziała. – Piękny, dziewiętnasty wiek...

– Nie podoba mi się to, wcale nie podoba – przerwał Zyga tę chwilę

kontemplacji. – Naprawdę chcesz to zrobić?

– Pytanie za sto złotych – zirytowała się. – Mówię, że szkoda pejzażów. Landszaftów. Sztuki retro. Nikt jej nie wskrzesi. Nikt tego dziś nie potrafi.

– Bierzemy się do roboty – przerwał jej rzeczowo.

Podszedł pierwszy zostawiając za sobą wyraźne ślady na zwarzonej przez nocne przymrozki, moknącej w deszczu trawie. Przeszli przez polanę, niegdyś w niedziele i odpusty pełną pątników, Bojków czy Łemków z pobliskich wiosek. Tam gdzie niegdyś była wioska, teraz zarosła chwastem rumowiska i pogorzele straszły ostatnimi, nie skruszonymi jeszcze przez czas, sterczącymi w krzakach kominami. Nie było pątników, nie było niedzielnych modlących się. Irena i to wkalkulowała w swój plan.

Zaczął padać Coraz gęstszy, zimny deszcz. W wielkiej ciszy, jaka stała nad wzgórzami, czasem przerywanej ochryplym krzykiem przelatującego gawrona, szelest deszczu na zeschniętych liściach wydawał się muzyką. Irena oparła się plecami o szerniałe belki ściany. Okap z gontów nawet nad wejściem do cerkwi był niski.

– Ani żywej duszy – powiedziała i zaczęła się śmiać. – Szkoda, że nas Halina nie widzi.

– Coś ty! – mruknął Zyga. Położył u jej nóg swą granatowo-białą torbę i szybko obszedł dookoła cerkiewkę. Wolał sprawdzić. Zamknęła oczy i słuchała jego cichych kroków. Wrócił, podniósł torbę i nie patrząc Irenie w oczy, powiedział;

– Zerwij trochę gałęzi. Trzeba zamieść pod okapem ślady po nas. Naokoło. Z tyłu jest piasek. Na zewnątrz deszcz zmyje.

Otworzył błyskawiczny zamek. Wyjął dłuto i młot. Odrzwia cerkwi zamknięte były na skoble. I dwie nowe, budzące respekt kłódy. Dwie! Tak jak powiedział profesor. Na ścianie czerwona tablica: „Obiekt zabytkowy” i tak dalej. Zyga mocował się ze skoblami. Nie poszło tak łatwo, Jak przypuszczali. Tu, pod stropem drewno zachowało żelazną spoistość. Nie można

było wyrwać kutyh, prymitywnych ćwieków.

– Rusz się – warknął ze złością Zyga. Niepowodzenia zawsze go złościły. – Zróbże te miotły.

Irena usłuchała. Szamocąc się z chwastami, została nawiedzona przez pokusę, by zrezygnować. Właściwie po co to? – pomyślała – Zachcianka! Zebrała wiecheć zeschniętych chwastów i wróciła z nim pod okap. Zyga powiedział:

– Muszę przynieść łyżkę do opon. Inaczej nie dam rady!

Pobiegł do samochodu. W gęstniejącej, wszystkim zamazującej mżawce jego bordowy dres robił się bury. Nikł na tle moknącego listowia.

– O, Boże – pomyślała Irena, nagle poczuwszy się osamotnioną, mimo iż był w zasięgu jej głosu. – O, Boże, żeby tylko się udało!

Po raz pierwszy od chwili, gdy zrodził się ten pomysł, naprawdę czuła przykre ukłucia lęku. Już nie żadne emocje, podniecenie, a strach. Zwykły strach. Może się wycofać? – znów kusilo. – Właściwie po co ryzykować? Czy gra jest warta świeczki? Zaraz jednak zgromiła się w myślach: Histeryczka! Od pomysłu do realizacji! Musi się udać! Musi się udać!

Ile razy próbowała w życiu hazardu? Czy można było w to wliczyć rozbieganego pokera? Grali w to na obozie studenckim nad morzem, na drugim czy trzecim roku. Potem była gra na wyścigach, ale Służewiec, pasja wuja, starego lowelasa, nudził ją niepomierne. Była jedna bytność w warszawskim zamelinowanym kasynie gry i przegrane (a przeznaczone na zagraniczną wycieczkę) osiemnaście tysięcy złotych w bonach.

To całe jej doświadczenie życiowe w grze. W hazardzie. Teraz chodziło o inną stawkę. Ten zwariowany pomysł – tak to określił Zyga w czasie pierwszej na ten temat rozmowy – zaświtał jej po spotkaniu z pewnym profesorem Akademii o głośnym nazwisku. Mówiono o nim, że ma świra na punkcie malarstwa starocerkiewnego. Jego twórczość, twierdzili złośliwi, powstaje z mieszaniny keczupu pomidorowego i nastroju starych

cerkiewek. W istocie, uznana w kraju i chwalona za granicą, wywodziła się ta twórczość z życiowej fascynacji właśnie starocerkiewną ikoną.

Profesor należał do krakowskiej szkoły. Irena i jej znajomi byli warszawiakami. Zakony tej samej religii, ale skłócone, a nawet wrogie. Tak się jednak złożyło, że jakaś towarzyska uroczystość zetknęła ich w olbrzymiej pracowni bardzo wziętego rzeźbiarza, twórcy – znów określenie Ireny – „nadwornego”. Ów krezus, o którego zarobkach krążyły legendy, mający na swym koncie – tym artystycznym, nie bankowym – parę okolicznościowych pomników, a wiadomo ile to daje (tak się mówiło w artystycznym środowisku-piekiełku) – miał słynną ze skąpstwa żonę, która na przyjęcie tabunu gości przygotowała chude, bardzo chude party. Były kanapki na krakersach, jarzębiak, którego Irena nie znosiła. W butelkach po gordonowskim ginie, polska, udająca gin, wódka myśliwska. No i krajowy sok pomarańczowy. Temperatura spotkania, atrakcyjność i błyskotliwość rozmów, całe wreszcie byle jak dobrane towarzystwo, wydające się Irenie rozpaczliwie nudne i sztywne – pasowało do takiego właśnie menu i do takiej karty win. Jaki pan, taki kram. Nudy, nudy na pudy.

Snuła się po pracowni ze szklanką pseudoginu w rękę. Z kwaśną miną oglądała gipsowe modele słynnych realizacji. Wydymała pogardliwie wargi patrząc na rodzące się projekty. Przeliczała je w myślach na złotówki. Wzruszała ramionami na kompozycje w stanie embrionalnym. Krytycznie przyglądała się szkicom. Ta pracownia złościła ją: była dowodem sukcesu, którego nigdy nie osiągnie. Mogła osłonić się tylko wzgardą. Zresztą taki był fason jej środowiska. Powtarzali w myślach dostrzeżony przez kogoś z nich na murach Luwru napis kredą „sztuka to gówno”. Marzyli o burzeniu zastanych kanonów. Sztuka to gówno.

Przypadkowo dołączyła do grupki wokół profesora – miłośnika malarstwa cerkiewnego. Mały, uczesany na języka, z oczami wiecznie załzawionymi, nudził i mętniczył, jak zwykle, na temat zależności między

niosącym objawienie stanem mitycznego skupienia, a świadomością twórcy. Ostatnio odkrywał głębie Zen. Zresztą teoria inspiracji twórczej stanowiła ulubiony temat jego wielogodzinnych, zamęczających studentów dywagacji, konik, którego dosiadał przy każdej okazji. Krążyły na ten temat różnorodne, najczęściej słone dowcipy, między innymi i taki: o stosunku płciowym profesora w pozycji lotosu, z wynikającą z tego inspiracją. Wyrzuteń tego dziwaka Irena nie była ani trochę ciekawa. Usłyszawszy znajomy, monotony głos, chciała dać drapak, ale profesor nagle zmienił temat i zaczął mówić – co dziwniejsze, ciekawie – o swej tegorocznej wakacyjnej penetracji Bieszczadów. Ktoś powiedział, że tam już chyba niczego nie ma. Profesor na chwilę stracił swój wystudiowany spokój i wybuchnął całym fajerwerkiem zachwyków. Z Athos, z Athos! – powtarzał. I wtedy Irena po raz pierwszy usłyszała o zagubionej w głuszy cerkwi. Wczoraj stamtąd wróciłem! Profesor wspomniął nazwę wioski, która zniknęła w czterdziestym szóstym czy siódmym roku z map, wypalona do cna. Już nazajutrz w starym atlasie z biblioteki ojca Irena długo szukała – ot, tak sobie, dla zabicia czasu – wioski o takiej nazwie i zaznaczonej kółkiem z krzyżykiem cerkiewki. Nie znalazła. Niepowodzenie stało się bodźcem do dalszych poszukiwań.

W dwa dni później, po międzypaństwowym meczu, poznała Niemca, działacza czy menażera, bogatego opiekuna sportowców, głośnie nawet kiedyś w boksie nazwisko, i znów dzięki przypadkowi dogadała się, ona, plastyczka, z tym siwawym panem o charakterystycznie złamanym nosie, którego od razu zachwyciła urodą. Jego żona (pokazał jej fotografię tłustej, wielkookiej piękności o kruczych włosach) była również plastyczką, prowadziła w Monachium sklep z dziełami sztuki.

– To świetny interes – mówił miły pan. – Dzieła sztuki są w tej chwili międzynarodowym hobby numer jeden.

Irena zawahała się, a potem, wiedzona impulsem, którego nie potrafiłaby

wytłumaczyć, zadała to pytanie. A siwy pan od razu się zainteresował.

– Szesnastowieczna ikona? Z klasztoru w Athos? Oryginalna?

– O falsyfikaty bym nie pytała.

– Od ośmiu do dziesięciu tysięcy dolarów. To modne. Szczególnie w Nowym Jorku. Oczywiście to cena sprzedaży. Cena zakupu... – już złowił podtekst tych jej pytań i prowadził rozmowę z pozoru od niechcenia, lecz w istocie serio. – Cena zakupu odpowiednio niższa...

Chroniąc się przed coraz gęstszym deszczem pod okapem cerkiewki, Irena pomyślała o dolarach, o tamtej rozmowie z siwym panem. Zaczynała się hazardowa gra. Dotychczas był to tylko dość fantastyczny pomysł. Teraz zaczynały się emocje bliskie tym, jakie zmuszały ją do krzyku, gdy siedziała w pierwszym rzędzie krzeseł tuż przed ringiem i widziała, jak Zyga walczy.

– Jeśli będzie pani kiedyś miała jakąś sprawę, nazwijmy to, antykwareczną, proszę o mnie pamiętać – powiedział na odjezdne siwy pan. – Może pani na mnie i na moją pomoc liczyć.

Jestem awanturka – myślała Irena. – To jest silniejsze ode mnie. Trzeba mi mocnych wrażeń.

Ścieżką zarośniętą jeżynami Zyga wracał z tyżką do opon w ręku.

– Która godzina?

– Dwunasta dziesięć.

– Kurdebalans! Zmarnowaliśmy tyle czasu! – przestraszył się.

Od razu to zauważyła, bo miał taki wyraz twarzy jak wówczas, gdy bał się, że przeciwnik jest lepszy.

– A może dać spokój? – powiedział niepewnie.

Wystarczyło żeby zmarszczyła brwi, a już mocował się z zamknięciem, szło mu ciężko, sapał przez nos, stękał z wysiłku. Stare, wyschłe drzewo trzeszczało, skrzypiało, aż wreszcie podważone lewarem skoble puściły. Pchnął drzwi. Otwierały się z lamentującym zgrzytem.

– Boże, żeby tylko nam tego nie sprzątnęli – westchnęła Irena.

– Sprzątnęli? E tam!

– Do muzeum. Już dawno powinni byli to zrobić. Cała nadzieja w naszych porządkach!

Zyga mruknął coś pod nosem, dobył z torby kampingową latarkę, podał Irenie.

– Świeć! – W głosie jego zabrzmiała pretensja, zupełnie jak wtedy, gdy powiedział: Jeśli przez ciebie wpadnę...

Zatrzymali się w zatęchłych ciemnościach. Przez uchylone drzwi, ocienione niskim okapem, docierała w to wnętrze odrobina przygasłego, jesiennego dnia. Irena podniosła latarkę nad głowę, omiotła jednym ruchem, z prawa na lewo, całą tę zapomnianą przez Boga i ludzi trupiarnię. W nos łaskotał zapach pyłu, butwiejącego drzewa, grzyba, sparciałych tkanin. I zastały, zwietrzały odór katafalku, dawno zgastych świec, osiadłe na snycerskich esach floresach carskich wrót wspomnienie kadzidła. Rozejrzeli się wokół. Pod dotknięciem światła ruszyły się cienie belkowania, zrujnowanych ław. Rozbłyły stare, łuszczące się złocenia, strzępy jakichś chorągwi, odpadające płatami fragmenty malowideł ściennych. I sięgające pułapu rusztowanie ikonostasu. Z góry, spod kopuły, przez zniszczone poszycie gontów sączyło się nieco światła na wielkie czarno-białe ukrzyżowanie, pod którym nierówno, jakby w układance abstrakcjonisty, majaczyły ikony. Przetrwały na tym bezludziu! Przegapili je zbieracze świątków.

Irena omiotła ikonostas jednym błyskiem lampy, zatrzymała światło na tych dwóch obrazach, tak plastycznie opisanych przez profesora. Święty Nikoła. I Madonna!

– Są! – zawołała triumfalnie.

Z ciemności, spod blaszanego okapu wynurzyły się twarze hieratyczne, manierą artysty uproszczone do symbolu. Wydawały się nienaruszone.

– W dobrym stanie! – powiedziała głośno. Ciszej dodała: – Piękne! – I jeszcze ciszej, ale szczerze, mimo obrazoburczych przecież zamiarów: – Wzruszające!

Takie właśnie były: apelujące do pradawnych atawizmów. Do puścizny uczuciowej pokoleń, tu, przed tymi świętymi obrazami – bez względu na obrządek – bijąc ich przez całe stulecia pokłony. Stąd się genetycznie wywodzę, pomyślała. I zaraz chłodno, rzeczowo: Mam więc niejako prawo. Jestem jakby dziedziczką...

– Ja cię przepraszam... – mruknął półgłosem Zyga, który widocznie doznał uczuć podobnych. A może tylko bał się. Od początku miał opory. Półgębkiem protestował, bez nadziei, iż jego weto w czymkolwiek zmieni bieg zdarzeń.

– Prędeż! – powiedziała i popchnęła go lekko w głąb cerkwi.

Deski pod stopami ugięły się wydając niemiły dźwięk, jakby pękało próchniejące wieko trumny. Irena zajrzała za rzeszoto carskich wrót, zmurszałych jak stary płot. Krążkiem światła szukała po ścianach. Ołtarz odarty ze swej dawnej złoconej świetności wyglądał teraz jak rusztowanie byle jak zbite z belek dębowych, wśród których wciąż jeszcze tkwiły pod tym blaszanym daszkiem – co było faktem zdumiewającym – ikony: Święty Nikoła i Matka Boska spoglądali przed siebie bizantyjskimi oczami, znieruchomieli w obojętności wobec spraw tego świata. Tylko ślady pozostały po deskach wotywnych, lecz byle jak ostrugane proste dyle dębowe, na których niegdyś wisiały zdobne ramy, trzymały ikony w swych okowach. Dzięki tej więzi tu przetrwały.

– I naprawdę zapłacą tyle za takie coś? – zdumiał się Zyga.

Stał tuż za jej plecami i oddychał z poświstem przez nos. Irena odwróciła się i ze złością zaświeciła mu prosto w oczy.

– Prędeż! – powiedziała. – Będziesz długo tak się gapił?

Oświetliła od dołu ikonostas, a raczej jego szkielet, zdumiona, jak sugestywnie opisał profesor cerkiewkę. Tak właśnie wszystko to wyglądało w jego opowieści. Wówczas jego słowa ewokowały w wyobraźni Ireny taki światłocień, nastrój, ba! nawet tę nieuchwytną, zwietrzałą, stojącą w nieruchomym powietrzu woń, wspomnienie jakichś liturgicznych celebracji.

Gdyby nie opowiadał tak plastycznie i gdyby tak się nie chwalił, że to jego najnowsze odkrycie, pewnie nie przyszło by mi to do głowy – pomyślała i głośno powiedziała:

- Grzech cudzy.
- Co mówisz?
- Bierz się do roboty.

Zyga rozłożył u swych nóg torbę, wypatroszył ją. Sypały się na deski narzędzia, grzebał w nich. Wreszcie zamachnął się na ikonostas. Głucho zadudniło uderzenie młotka. Cerkiewka dźwięk zwielokrotniła, ściany i kopia rezonowały jak pudło starych skrzypiec. Z szelestem posypało się spod pułapu próchno. Irena wzdrygnęła się. Znow poczuła zimno i dotknięcie lęku. Skierowała lampę na brunatną twarz w manierycznych, złotych poblaskach glorii. Ikona spoglądała bezlitosnymi, niewzruszonymi oczami. Zdawała się mieć na twarzy nie wyraz boskiej wyższości, a niechęć, może nawet nienawiść. Sprawiały to chyba nos wąski i usta nienaturalnie małe, zaciśnięte w pogardliwym wyrazie. A nade wszystko oczy – nieludzkie, wszechwidzące.

– Madonna Peribleptos – powiedziała głośno Irena. – Kto wymyślił bajkę o jej miłosierdziu?

- Co takiego? – zapytał Zyga.
- Babskie okrucieństwo.

Zyga sapnął przez nos.

– Bierzemy te obrazki oba?

– Obrazki! – powiedziała Irena z pogardliwym oburzeniem – Masz określenia! Obrazki z Athos!

Zyga siłował się z rusztowaniem. Jakoś mu to nie szło. Szarpnął raz i drugi, z wysoka osunęła się deska i spadła tuż przed nim. Znow zahuczało całe to strupieszale wnętrze.

– Uwważaj! – wykrzyknęła Irena. – Co robisz?

Wzbił się gęsty kurz, wirował w świetle latarki, kręcił w nosie. Zyga, zanosząc się, kichnął raz i drugi. Irena zaśmiała się histerycznie. Warknął:

– Gdzie świecisz? Tu, na moje ręce! – i spróbował łyżką do opon podważyć deskę ikony, tej ze świętym Nikołą.

Przez ramię, nie odwracając się, powiedział: – Ani gwoździa! Zbili to ćwiekami drewnianymi. Zrosło się na amen. – Nacisnął mocniej, drzewo trzeszczało. – A jak pęknie?

Irena stała tuż obok, widziała, jak z wysiłku nabrzmiała mu żyła na szyi.

– Uważaj.

Odwrócił się ze złością i powiedział zmienionym głosem:

– Z taką radą do dupy jada!

Zaświeciła wprost w twarz Madonny Peribleptos.

Było tak, jakby spojrzali sobie w oczy. Wróciła światłem na świętego Nikołą, który wydał się niegroźny, strasznie zramolały. Zdumiona tym, że tak ją to porusza, pomyślała: Jego się nie boję. Ale Ona jest straszna. Patrzyła na deskę popstrzoną otworami wygrzyzionymi przez korniki: biało-żółty prostokąt, w lewym górnym rogu wyraźny napis cyrylicą: N i k o ł a. Wielka, wysoko sklepiona czaszka starca o czarnych, wpatrzonych w nią oczach. Stuła z czarnymi krzyżami. Prawa dłoń uniesiona na wysokości piersi w geście błogosławieństwa. Z lewej – widoczne tylko chude, kościste palce trzymające brewiarz czy relikwiarz.

I nagle te głupie, zabobonne uczucia przysły. Został tylko podziw i radość.

– Przepiękne! – powiedziała. – Uważaj, proszę!

– Lepiej tego nie róbmy.

– Zaczynaj!

Zyga znów coś warknął i z rozmachem wbił pod ikonę stalową łyżkę. Irena wstrzymała oddech. Zobaczyła, jak zokrąglały mu z wysiłku plecy. Rozległ się trzask.

– O, kurwa! – krzyknął.

Nikoła pękł na dwoje. Łyżka rozdarła deskę ikony. Z drzazgami odpadała farba, odpryskiwała od deski wzdłuż linii pęknięcia. Teraz na Irene

patrzyło już tylko jedno oko starca. Jego ręka już nie błogosławiła, lecz zamarła w groźnym geście, jakby wskazując ich kościstym palcem.

– Przecież ja nie naumyślnie.. – powiedział cicho Zyga.

– Nic ci nie mówię – ucięła Irena. Serce podeszło jej do gardła, z wszystkich sił starała się opanować. – To nie takie proste, jak myśleliśmy. – I znów przejęła inicjatywę w swoje ręce. – Czekaj – powiedziała. – Niech no ja to dobrze obejrzę. – Podeszła o krok bliżej, podświetliła ikonę od spodu. Nachyliła, obmacywała deskę, miejsca spojenia.

– Może ja wyjdę, rozejrzę się – powiedział Zyga.

– Nie chcę zostać sama.

– Żeby nas ktoś nie zaszedł!

– W tym miejscu trzeba podważyć – powiedziała rzeczowo. – Widzisz? Tu, gdzie jest to spojenie. I dłutem. Nie łyżką. Wziąłeś dłuto?

– Wszystko wziąłem. Jak kazałaś.

– Spróbuj w tym miejscu.

W chwilę później, gdy nieuszkodzoną Madonnę Peribleptos wyjmowali z prymitywnego obramowania, dorzuciła półgłosem:

– Trzeba mi było od razu wziąć się za tę robotę.

– Ty jesteś artysta – powiedział. – Ty jesteś boss.

– Masz rację.

– A ja twój człowiek od brudnej roboty. Twój bokser z obstawy.

– Wszyscy o tym wiedzą.

– Ja mięśnie. A ty mózg.

– Peribleptos – powiedziała głośno. – Do tej kobiety nie czuję sentymentu. Sprzedam ją bez mrugnięcia okiem.

– Żeby się tylko udało – westchnął Zyga i odpukał w belkowanie ikonostasu.

Zapinając torbę oświetlił przez moment czarne, spękane deski podłogi. Przy jej prawej stopie leżała odłupana drzazga z napisem Nikoł. Nie mogła na to patrzeć obojętnie.

– Nikołka, biedaku! – Zdecydowała się. – Poświęć mi – powiedziała do

Zygi. – Pozbieram staruszka do kupy.

Oddała deskę z Peribleptos Zydze, przyklękła. W białym krążku światła jej zręczne ręce zbierały szczątki Nikoły. Z drzazg i odłamków robiła jakby układankę. Żeby tylko niczego nie przegapić!

– Daj mi plastik. – Wyciągnęła za siebie rękę.

Farby, pomyślała, ależ te stare majstry miały technikę! Co tam my, współcześni! Co nam się równać!

W arkusz poliuretanu zawinęła ikony, tę całą i tę żałośnie zdruzgotaną. Dźwignęła się z klęczek.

– Idziemy – powiedziała.

Poszła szybko ku drzwiom, uderzywszy biodrem boleśnie w jakiś wystający kant ławy czy klęcznik.

– Poczekaj na mnie! – wołał Zyga dziecinnie, jak za matką.

Zatrzymała się dopiero za progiem, już na dworze, pod okapem, z którego gęsto ociekał deszcz.

Cały ten bogoburczy zabieg przeliczała teraz na dolary. Na realizację marzeń. Za jej plecami zjawił się Zyga. Zamknął skrzypiące odrzwia, usłyszała trzy stuknięcia młotka, wbijał skoble na ich poprzednie miejsce.

– Nic nie widać – powiedział. – Jakby nikogo tu nie było.

– Daj plastik.

Wyciągnął z torby worek z napisem: Kopenhagen. Na suchym piasku, poza zasięgiem deszczu rozpostarła arkusze plastyku i poliuretanowej gąbki. Starannie ułożyła na nich najpierw Madonnę, a potem – na nowej warstwie gąbki – Nikołą. Jeszcze raz sprawdziła, czy nie brakuje jakiegos odłamka. Święty Mikołaj spoglądał groźnie, zmarszczka między brwiami zdawała się głębsza.

– Czemu się złościysz, staruszku? – powiedziała Irena i zakryła Nikołą trzecim arkuszem pianki. Wszystko raz jeszcze owinęła w plastik.

– Plaster – powiedziała.

Zyga podał jej szeroką rolkę. Zręcznie, na krzyż owinęła plastrem

pakiet, tak że wyglądał jak pikowany materacyk.

– To jest większe, niż myślałam – powiedziała. – Zakochałam się w tym Nikole.

– Nasze ślady – przypomniał Zyga.

– Ty zamieć – powiedziała. – Ja jestem boss.

W połowie udało się – pomyślała – Dopiero w połowie...

Deszcz zgęstniał, monotonnie bębnił w gonty cerkiewki, zaczął w podmuchach wiatru pod okap. Wrócił Zyga i ruszyli do samochodu. Był przy nim pierwszy. Gdy nadbiegła, do otworzonego już bagażnika wrzucił torbę z narzędziami i wydobyl walizkę. Irena, trzymając kurczowo zdobycz, usiadła z tyłu wozu. Podał jej walizkę.

– Jesteś zadowolona?

– Żal mi tego Nikołki.

– Mówi się trudno. Robiłem takie coś pierwszy raz w życiu.

– To nie wymówka. – Położyła dłoń na jego wysoko ostrzyżonym, twardym karku.

Zjeżdżając z góry wpadli na mokrej darni i kamieniach omytych deszczem w poślizg. Zarzuciło wozem, ale Zyga był świetnym kierowcą i fiat posłusznie wyszedł z opresji zwiększając szybkość.

– Byłoby, jakbyśmy tu skręcili kark, co? – zaśmiał się z przymusem. – By mówili, że to kara boska.


Na dole, za zakrywającym cerkiewkę garbem, odprężył się, zrelaksował i rozgadał na dobre.

– Ale się bałem! Mózg staje! – powiedział. – Tam, w tej cerkwi, miałem pietra! Coś takiego! Jak to wytłumaczyć?

– Nie trzeba tego tłumaczyć – powiedziała Irena. – Zapomnij o tym.

– Jechałem pewny, że z tego faja wyjdzie. Myślałem, że ten twój profesor, znaczy się, więcej taki picer...

Mój Boże, na jakiej cienkiej nitce to wszystko wisiało, pomyślała. Profesor rzucił nazwę nie istniejącej od lat trzydziestu wsi, startej przez wojnę

z powierzchni ziemi. Wyseplecił w swą szpakowatą bródkę à la Mikołaj II coś, co zabrzmiało jak Chmiel, a może Chwiel czy Chwień. Dodał, że te jego odkrycia – dwie ikony – pochodzą z klasztoru na górze Athos. Irena miała czułe i wrażliwe na dźwięki ucho, a także świetną pamięć słuchową. Współczesne mapy nic jej nie powiedziały. Słownik geograficzny mylił tropy. Dopiero przypadkowy ślad – spis parochii greckokatolickich sprzed sześćdziesięciu lat, broszura, na jaką natrafiła przypadkowo w krakowskim antykwariacie (zapłaciła za nią sto dwadzieścia złotych), niby stara mapa z opowiadania Stevenson'a zdradziła położenie bieszczadzkiej wyspy skarbów. W wykazie parochii wieś nazywała się – za życia – Chwieją. Trzeba było jeszcze zdobyć starą mapę. Na niej istotnie, nieco na uboczu, za wsią, w okolu wzgórz, jak w niecce, widniał znak topograficzny . Była więc cerkiew! Profesor nie blagował.

– Mamy to z głowy. – Uśmiechnęła się wspominając swoje archiwalne poszukiwania.

– I taka deska konkretnie tyle warta? – spytał Zyga z powątpiewaniem.

– Przecież to dzieło sztuki!

– Ale deska. I aż taki szmal?

– Człowieku – powiedziała Irena. – Pomyśl tylko! Malowano tę ikonę w czasach, gdy Nowy Jork jeszcze nie istniał. Jak to kupi jakiś Amerykanin, to się zśiska z rozkoszy.

– Ech, doczewita! – powiedział z zachwytem Zyga. – Ja swoje zrobiłem. Reszta należy do ciebie.

– Niezupełnie. Jeszcze musisz to zawieźć do Monachium.

– E tam... powiedział. – To już frajer. To się robi.

Zjechali ze zrytej koleinami dróżki na szosę. Irena otworzyła walizkę, zaczęła się przebierać. W walizce na ubraniu Zygi leżała szara sukienka z białym kołnierzykiem, ta, w której wyglądała jak pensjonarka, ciemnobrązowe pantofelki, na szyję wisiołek po babci. Wrócą z małej przejażdżki. Zyga w szarym, kupionym w Londynie garniturze, który wydawał się odrobinę za

ciasny. Ona przebrana za pierwszą naiwną. Kto wie, czy w ogóle zauważono ich zniknięcie. Zjawia się pod koniec oficjalnej części. Para zakochanych.

Zyga, poweselały, obserwował Irenę w lusterku. Zrzuciła skórzaną kurtkę i golf, w biustonoszu, pochylona za oparciem fotela, ściągała dzinsy. Widział jej nagie, jeszcze po wakacjach opalone ramiona, szczupły grzbiet znaczony różańcem kręgów i jasne, niesforne włosy, które wymykały się spod klamry. Dla niego była dziewczyną numer jeden. I kimś w rodzaju supertrenera. Trafiła mi się – pomyślał. Ale ma łeb!

Gdy to się między nimi zaczynało, speszony walczył ze sztubackim strachem jak przed srogim belfrem. Irena wzięła go w garść, dużo mocniej niż trenerzy. Buntował się zrazu – ale wkrótce przywykł. Ona jest bossem. Ona planuje. Ma łeb sześć na dziewięć. Tak jest lepiej.

Irena podniosła ręce, by nałożyć sukienkę. Ujrzał jej niewygolone pachy i duże piersi napinające biustonosz. Wszystkie znajome cizie podgalały pachy. Żadna nie miała takich piersi. Gdy tak na nią patrzył, brało go. Nawet jej rzeczowość, jej chłód, pozorny zresztą, zawsze go poruszały.

Mógłby być z tym kłopot. Seks był wiecznym tematem rozmów jego kolegów. Sprawy kondycji, obowiązek dawkowania, w kółko powtarzane słowa trenera: rznąć, chłopaki, możeta tylko wtedy, gdy pozwolę! Sztosów tylko tyle, ile pozwolę! Użalania się kumpli. Cholera, moja cizia, albo moja żona, wciąż ma za mało. Z Ireną nie było takich kłopotów. Nigdy nie musiał się usprawiedliwiać, wymawiać. Od razu złapała ich rytm treningowy, ten ich zakonny rygor. Tylko wtedy, kiedy na pewno nie groziło to spadkiem formy, przejmując inicjatywę, preparowała wspólną rozkosz na wielkim swoim tapczanie.

A gdy po rozmowie z owym monachijczykiem przyszła jej do głowy ta myśl – Ikony! – był to jakby pomysł scenariusza, tyle teraz snuje się po ekranach gangsterskich filmów. Nawet miała ochotę opowiedzieć to któremuś ze znajomych filmowców. Jeśli zassie pomysł, zażądam scenografii. Tak właśnie pomyślała. Ale potem dostrzegła realną możliwość. Zyga, pomyślała, Zyga. Jego wyjazdy. To jest to!

Znów spotkał jej wzrok w lusterku. Irena zapinała guziki arcyskromnej, specjalnie wybranej na dziś sukienki. Wranglerowskie ciuchy upchała do walizki.

– Koszulę, ubranie i buty już ci tu przygotowałam – powiedziała. – Tylko się jeszcze zaczesz. Pomyślałeś choć raz, co będziemy robić po meczu?

– Najpierw chcę być wygrany.

– Powiedziałam ci, że go zatłuczysz. Niech ci tylko wyjdzie ten twój prawy prosty.

Cesała się na pamięć, miała twarzyczkę skromnej dziewczynki, trochę przypominającą lisi pyszczek.

– Pomyśl, co będziemy robić po meczu – powtórzyła i zaśmiała się gardłowo.

Kiedyś, gdy nic ją bokserzy nie obchodzili, walka przerażała ją i napawała odrazą. Teraz, gdy Zyga wchodził na ring, doznawała pokrewnej seksowi emocji. Gdy zwyciężał, histerycznie, czując omdłałość kolan, ze swe go żoninego miejsca w pierwszych rzędach powrzaskiwała: Zyga knock-out! albo: Zabij go! Gdy Zydze szło źle, uczucia, jakich doznawała, były jeszcze dziwniejsze. Raz po takiej walce wygranej z najwyższym trudem, gdy był w drugiej rundzie liczony, a potem zrewanżował się morderczym prawym – czekając na werdykt sędziego – doznała nagle silnego i zaskakującego orgazmu. Wydało jej się, że wszyscy to zauważyli. Była speszona. Potem zaczęły ją prześladować to sadystyczne, to masochistyczne zachcianki. W czasie tej podróży spróbuje i tego. Mój gladiator. Ależ będzie zdumiony. Każe mu. Będzie posłuszny. I jemu to na pewno zasmakuje.

– Wydoję z tego Niemca, ile się da – powiedziała uśmiechając się do tych myśli.

– A jak!

Poczuła podniecenie. Usprawiedliwiła się w myślach. Jestem wygłodzona. Dlatego wciąż o tym myślę.

– Małe hoteliki – powiedziała. – Dużo pływania. Żadnych treningów.

Wina tyle, ile zechcemy. Wszystkiego tyle, ile zechcemy.

– A nie lepiej za to co kupić? Albo fermę, co? Kaczki?

– Znowu zaczynasz z tym swoim kupić co za to?

– O, raj! – powiedział.

– Niczego więcej nie chcę, tylko wydać te dolary. I pożyć! Wiesz, ile mam pomysłów? Do łóżka. Na plażę. I w morzu. Tyle, żebym płakała. Że już nie mogę. Będziesz musiał się tak starać, żeby mi się bez przerwy nogi uginały w kolanach. Rozumiesz? Teraz ja poprowadzę, a ty się przebierz.

Zyga zjechał na pobocze, zatrzymał wóz.

– Ja się w trymiga przebiorę i dalej poprowadzę – powiedział. – Wolę przebierać się, jak wóz otwarty.

Przebiegli w rzęsimym deszczu zmieniając się miejscami. Irena z przodu, Zyga z tyłu.

Droga była wciąż zupełnie pusta. Tak było lepiej. Świadkowie niepożądani, chociaż już odskoczyli z piętnaście kilometrów. Gdy to wszystko układała, nie przypuszczała, że przeżycie będzie tak denerwujące. Teraz, choć było po wszystkim, jeszcze czuła zdumiewające, nigdy nie zaznane napięcie. Wyobrażenia zaczęła podsuwać różne możliwości kompromitujących wspaniałych. Dobrze, że to już za nimi. Dobrze, że deszcz tak leje. Rozpadało się jak na zamówienie. Deszcz zamaże wszystkie ślady. Dobrze, że to taki smutny dzień, zapędzający ludzi pod piec.

Patrzyła w lusterko, jak Zyga przed chwilą. Lubiła patrzeć na jego ciało harmonijnie umięśnione. Najpiękniejsze męskie ciało, jakie знаła. Żaden tam monstualny, obrosły hipermięśniami kulturysta. Ale i nie cherlak-intelektualista z kawiarni plastików. Nie cmokier z Kanonki. Nie sflaczały podrywacz-profesjonalista. Ci byli dobrzy na swój sposób. Mieli modnie przystrzyżoną inteligencję. Obiegowe, raczej zgrane pomysły. Nawet zбочzonka seryjne, banalne. W istocie były to tylko jakby wprawki. Seks-zabawy bez znaczenia. Zyga najlepszy. Z nim niczego nie trzeba wymyślać. Czysty, świeży, mało używany. Towar z pierwszej ręki. Imponowała jego

nieudawana męskość. Wcale nie trzeba było wspierać jej intelektem. Starczała sama za siebie. Ile warta w czasach inflacji samców? Trzeba to ocenić, chronić, przechowywać. Miała go tylko dla siebie. Wystarczyło trzymać go w ryzach, prowadzić, narzucić styl gry.

A zdobyła Zygę w okolicznościach, których wspomnienie wciąż jeszcze śmieszyło. Kupiłam go, myślała, zapracowałam na niego. Kolega, specjalista od plakatów, zaciągnął ją kiedyś do sali treningowej. Popatrzysz, mówił, to trzeba raz w życiu zobaczyć. Już rzymskie matrony lubiły sale ćwiczeń. Matrony! Oburzyła się. Lepiej zrozumiesz mój pomysł, nalegał. Wiesz, jak cenię twoją wyobraźnię.

Bardzo był dumny z każdego swego pomysłu. Akurat teraz miał olśnienie. I to w przededniu mistrzostw. A prócz olśnienia i zamówienie na plakat. Właśnie – zamówienie, a nie żaden tam udział w konkursie. Dawało mu to, jak mówił, szansę. I to międzynarodową. Plakat pójdzie w świat, rozumiesz?

W ich branży wszyscy żyli nadzieją zamówienia – życiowej szansy.

W mrocznej salce ujrzała Zygę. Śmiesznie tańczył. Udawał, że walczy. Była to klasyczna forma treningu, jak jej powiedział kumpel, niby to znawca boks. Walka z cieniem.

– Nie lubię boks – westchnęła Irena.. – Nie lubię brutalności.

– Nie bądź takim aniołkiem – śmiał się kumpel.

– Jesteś głupi.

– Znam go – powiedział kolega. – Mieszkaliśmy kiedyś w tym samym bloku.

– Pięknie zbudowany. – Irena odkaslnęła, bo miała tego dnia chrypkę.

– Nic z tych rzeczy! – zaśmiał się kumpel. – Mają teraz seksgłodówkę.

Z powodu formy.

– A długo trwa taka ich głodówka? – Uśmiechnęła się. – Ja bym poczekała.

- Naprawdę jesteś amatorką takiego surowego mięsa?
 - Czy ja wiem? Może i spróbowałabym – powiedziała szczególnym tonem. – Jestem teraz bez przydziału.
 - Chcesz, to zrobimy interes – zaproponował.
 - Jaki?
 - Pomożesz mi przy plakacie. Koncepcja. Dyskusja. Sama wiesz co i jak. Potem ci to zaaranżuję. Chcesz?
- Uśmiechnęła się do niego promiennie.
- Co do potem to się jeszcze namyślę. Ale przy plakacie pomogę.
 - Ręka?
 - Ręka.

Plakat zdobył nagrodę miesiąca. Irena zobaczyła go na rogu Alei i Nowego Świata. Kolega miał pracownię na Kubusia Puchatka. Gdy zadzwoniła do drzwi, otworzył i zrobił znaczące oko.

– Irka, ja muszę na pół godziny wyskoczyć! – zgrywał się. – Zabaw gościa. Kolega. Mieszkaliśmy w tym samym punktowcu. Sportowiec, wyczytnowiec. Znaczy, niegroźny dla dziewcząt. Prawda, Zyga? – i w przejściu szeptem do Ireny: – Wróć za trzy godziny. Macie dużo czasu.

Teraz w lusterku widzi Irena, jak Zyga zręcznie zawiązuje włoski, kolorowy krawat. W ogóle Zyga jest bardzo zręczny. Jego palce mają jakby własną, autonomiczną inteligencję. Jest już w jasnym garniturze. Irena bardzo go lubi w, tym uniformie. Nie żaden tam goryl, gladiator, pan z obstawy, jak go złośliwie nazywają jej koledzy z Akademii, a młody i raczej przystojny, jasnowłosy mężczyzna z łagodną twarzą, której uderzającej miękkości, nieprawdopodobnej u boksera, przywodzącej na myśl jednego z bohaterów *Mysz i ludzi* Steinbecka, nie pozbawia nawet nos o złamanej chrząstce, spłaszczony brzydko i zdradzający profesję.

– Jestem gotów – powiedział i zaciągnął zamek walizki. – Tej Praksyteles, czy jak ją, nie da się schować do walizki. Za duża.

Ostrożnie kładł pakiet z ikonami pod oknem, za siedzeniami.

– Uważaj, żeby się nie zniszczyły – ostrzegała. – Pamiętaj, że ta farba ma swoje lata. Lepiej owiń to jeszcze w plastyk.

– Jest przecież w worku z folii.

– Owiń jeszcze w ręcznik. Będzie bezpieczniej.

Zrobił to. Sprawdziła, o ile posunęła się strzałka na zegarze.

– Mamy czas – orzekła. – Jesteśmy do przodu o pół godziny.

– To dobrze.

Osunęło się z niej napięcie, zniknęło poczucie grozy i absurdalna myśl o świętokradztwie.

– Miałabym pomysł na te pół godziny – powiedziała cicho. – Świetny pomysł.

– Twoje pomysły! – nastraszył się Zyga.

Szybko przebiegł na przednie siedzenie, sprawdził, czy nie zabłocił butów, zatrzaskał drzwiczki, rozsiadł się wygodnie za kółkiem. Nie spojrzął w jej stronę. Włączył motor.

– Jestem podniecona – powiedziała Irena. – Nic na to nie poradzę.

Wzruszył ramionami. Ruszyli gwałtownie, pecyny błota biły w tył wozu. Zyga wyprowadził go na środek szosy i nacisnął na gaz. Irena przymknęła oczy, oparła kark o zagłówek. Oddychała głęboko.

– Co się ze mną dzieje? – powiedziała. – Dlaczego jestem taka poruszona? Co, Zyga? Czuję się, jakby na moich oczach... Jakbym przeżyła coś sprośnego. Coś cholernie podniecającego.

– Odbiło ci znowu?

Co za dziwny romans, myślała. Co właściwie nas łączy. I dlaczego to takie silne? Nikt tego nie może zrozumieć. Nikt z moich. Najmniej Halina. Ale i ojciec. Nikt z jego kumpli. Ja sama też tego nie rozumiem. Zresztą co tu rozumieć?

Nachylony nad kierownicą, milczał. Znała swą władzę nad nim. Był

bezwolny w jej rękach. I miał to wypisane na swojej chłopięcej twarzy. Prowadził wóz z wielką szybkością, czuła jak fiat raz po raz zarzuca na zakrętach.

– Gdzie jest ten koniak? – spytała.

– W schowku, pod mapą.

Sięgnęła tam po płaską piersiówkę Stocka.

– Chyba nie będziesz piła? – nastraszył się.

– Dlaczego nie?

Odkręciła metalowy kapsel i pociągnęła z butelki dwa pełne, głębokie łyki, które sparzyły jej usta i przetyk. Gorąco rozlało się w żołądku i od razu poczuła, jak alkohol uderza do głowy, do oczu, bo właśnie oczy pierwsze zareagowały, tak jakby nagle zrobiło się więcej światła i widoczność się poprawiła, i brunatno-szary koloryt jesieni nabrał ciepłego blasku. Jeszcze raz przyłożyła butelkę do ust.

– Nie pij tyle.

Zakręciła butelkę i schowała ją.

– Jeśli mój pan sobie życzy, żebym nie piła – powiedziała – to nie piję.

Głos jej miał szczególną nutkę.

– Nie zaczynaj!

Zjeżdżali z podgórza serpentynami, ryzykownie biorąc wiraże. Otoczyły ich łąsy, a szosa wymyta deszczem była zupełnie pusta. Wycieraczki pracowały w nerwowym pośpiechu, padało coraz gwałtowniej.

– Powinniśmy się na chwilę zatrzymać, żeby deszcz umył wóz – powiedziała. – Tył jest cały w błocie.

Już wiedział, do czego zmierza. Irena, pełna zwycięskiej wesołości, a zarazem w przyjemny sposób, na gorąco, wilgotnie, pożądliwie omdlewająca, cała zwróciła się w stronę Zygi i sięgnęła ręką.

– Mój pan – powiedziała.

– Nie wygłupiaj się!

– Mój centaur. Mój gladiator! Czuję się jak te patrycjuszki... Żebyś jeszcze cuchnęła czosnkiem, baraniną, kwaśnym winem...

Było tak, jak tego pragnęła.

– Widzisz – powiedziała. – Ty też chcesz. – Jej palce szamotały się z eklerem.

– Ale moja forma...

– Wyśpisz się.

– Radeberger! Kurdebalans, jaby on to widział!

– Ale nie widzi.

– Przecież nie tu – powiedział i zatrzymał wóz na poboczu drogi. Oparł kark na zagłówku, przymknął oczy.

– Właśnie tu – zdecydowała i rozpięła ten oporny zamek.

– Co ty ze mną robisz – powiedział bezradnie.

– Ty zrób to ze mną – zaśmiała się. Naciskając lewar, położyła oparcie fotela. Musiała cofnąć rękę i to przyprawiło ją o jeszcze ostrzejsze pożądanie. Opierając się o tylne oparcie dyszała, gorączkowała się, lecz nie pomagała mu w niczym. Czuła, jak jego twarde palce, dygocące z pośpiechu, obnażają jej biodra. Uklęka szerzej. Moment oczekiwania, od którego serce traciło rytm. I zaraz gorące, brutalne rozpychanie, bez żadnych pieszczot, bez gry miłosnej, wtargnięcie w głąb jej ciała, ruchy, które były samym instynktem, starym jak gatunek, i mącąca myśl fala przyboju. I to poniżenie, że nic nie znaczy bez niego. I niekontrolowane własne wychodzenie naprzeciw. Uczucie wzlotu, gwałtownego spadania, kurczowe zaciśnięcie powiek, zagryzanie warg, palce wbite w plastik oparcia. Pulsujące w podbrzuszu spełnienie. Ciężar zwalającego się na nią bezwładnego ciała. Ciężki jego oddech. Wolno gasnący spazm, jak wiele kolejnych, coraz niżej opadających, gorących wodospadów.

– O raju! – jęknął – Co ty ze mną robisz?

Chwilę trwała bez ruchu, z twarzą w oparciu. Wreszcie odgarniając spódnicę, usiadła na zimnym plastyku. Tkwił już za kierownicą. Mocował się z zamkiem spodni. Miał ponurą minę.

– Ręce mi się trzęsą – powiedział. – W mózgu mi chlupie. Będę wyglądał!

– Ty mój byku! – powiedziała. – Jak ty to robisz? Czuję ciebie aż tu, wysoko.

– Klacz – powiedział. – Piłować, żeby rozpękła. Mogę mieć mecz z głowy.

– Możesz mnie nawet uderzyć – zaśmiała się. – Czuję to w całym ciele. Jak ja to lubię. Jak ja tego potrzebuję – i zaraz z troską w głosie: – Chcesz, to ja poprowadzę, a ty sobie pośpij.

– E tam... – zachnął się. – Piłasz. Jesteś wlana.

– Wciąż jeszcze czuję ciebie, o, tu – powiedziała i położyła jego rękę wysoko na swoim brzuchu. – Pulsujesz tu, we mnie.

Szarpnęła dźwignię i oparcie fotela podniosło się.

– No to jazda! – powiedział już zwykłym głosem. – Czujesz się na orbicie, co?

– Czuję się dobrze obsłużona – zaśmiała się. – Jest mi dobrze. Mam wszystko, czego chcę. I jak chcę. Będę tego miała, ile zechcę. O, raju, te chłopaki przed tobą to były gówniarze. Ruszaj, na co czekasz?

Wóz poszedł z alarmującym jak sygnał karetki jazgotem opon na mokrej nawierzchni, w huku uderzającej z boku w karoserię wichury. Deszcz z pasją chlastał w szyby. Na skraju lasu białe i nagie brzozy sypały garściami brunatnego listowia i kołysały się jak tłum odmawiający modlitwę. To wrażenie liturgicznych pokłonów narzuciło się Irenie wyjątkowo sugestywnie. Pomyślała o rysunku piórkiem: wydłużone, białoczarne postacie lamentników, wzniesione ku niebu ramiona. Grafika. Fajne to!

– Dobrze, że pada. Wymyje wóz – powiedziała.

Zyga nie odzywał się, dostrzegła, jak zadrgały mu mięśnie szczęk. Był wściekły. Oczywiście na siebie.

Syta i zadowolona, wsłuchiwała się w obolały bezwład podbrzusza, w omdłałość ramion, odrętwienie kolan i pulsowanie krwi w skroniach. Lubiła ten stan po bitwie. Jest dobrze, jak jest. Westchnęła. Wyciągnęła dłoń i jej wierzchem dotknęła policzka Zygi. Ten gest był przeznaczony dla niej samej. Jej miał sprawić przyjemność.

– Jestem wykończony – westchnął.

Sięgnęła za plecy po sportową torbę. Dobyła paczkę papierowych chustek i plastikową butelkę wody kolońskiej.

Opuściła boczną szybę. Huk szybkiej jazdy wtargnął do wozu wraz z podmuchem zimna.

– Co robisz? – powiedział z irytacją Zyga.

Zapach jałowy i samczy nie był już podniecający. Wytarła uda wodą kolońską. Przemyla dłonie. Szyję za uszami. Myśli nabierały rzeczowej wyrazistości. Często tak właśnie było, iż rozkosz oswobadzała ją ze stanu zależności. Nie była już zdominowana przez swą kobiecość. Czuła się odprężona. Nie tylko w sensie seksualnym. Również i psychicznie, po tej udanej eskapadzie, której przecież trochę się obawiała. Wszystko mogło się zdarzyć – lecz nie zdarzyło się nic. Jakby los specjalnie im sprzyjał. I jeszcze to erotyczne, tak dobrze wkomponowane intermezzo.

Zaproponowała wodę kolońską Zydze. Odmówił nerwowym ruchem głowy.

W poliuretanowym opatrunku wiozła ikony, Nikołą i Madonnę Peribleptos: twarz nieludzka, piękna i jakby szydercza. Niewrażliwa na radość i cierpienie, wzloty i upadki, rozkosze i grzechy ludzkości. Bizancjum, pomyślała. Droga ikon z opactwa Athos, przez cały półwysep, aż tu. Na zawsze anonimowość twórcy, mnicha w stanie łaski, modlitewnej kontemplacji, który tworzył postacie ludzkie wyzbyte człowieczeństwa aż – w jego przeświadczeniu – do granic boskości. Na pewno modlił się, nim brał pędzel do ręki. Wiara wiodła jego natchnienie. Uprawiał swą sztukę w mistycznym stanie, jakby powiedział profesor. Cóż to były za czasy: można było tworzyć arcydzieła! Człowiek był mały. Ślepy jak szczenię. Wiara. Nadzieja. Miłość. Wszystko to jeszcze istniało naprawdę.

W drastycznym kontraście ujrzała samą siebie, nachyloną nad deską kreślarską. Sztuka? Uśmiechnęła się pogardliwie. Dziś wszyscy malujemy myśląc – tak czy owak – o honorariach. To jest mistycyzm naszego procesu twórczego. Ile dostaniemy? No i może jeszcze ten niepokój, co powie o nas krytyk, zaprzyjaźniony lub wrogi. Dziś sztuka powstaje z jednego tylko rodzaju spekulacji. Nie chodzi o to, żeby dać. Chodzi o to, żeby wziąć.

Żeby zdobyć jak najwięcej. Żeby zarobić. Ugruntować, swą pozycję. Zwrócić na siebie uwagę. Żadnej pokory. Żadnej wiary. Żadnej w istocie nadziei. I chyba żadnej miłości. Miłość niebiańska. Miłość ziemską. Dawno wyrosła z zainteresowań rewelacjami seksuologów. Raziły ją wszelkie na ten temat dywagacje. Nie znosiła rozmów o miłości fizycznej. Nie lubiła wspominać i swego zaskoczenia: to tylko tyle? Nic więcej? A potem, już na Akademii, poddając się obowiązującej modzie na cool love – znów zawód. Tylko taki przyjemny spazm? Nic więcej? Akceptowała tę przyjemność, błahą i na pewno nie wartą patetycznej mitologii. Miała kochanków. Niektórych lubiła. Do innych czuła później ciężką, przykrą antypatię. Ale uniesienia, porywu, momentu zachwytu i zatracenia się nie przeżywała.

Jakie to nieoczekiwane, że ten małomówny chłopak tak ją zniewolił. Przyczyna była tylko w niej samej. Widocznie jako kobieta dojrzałam dopiero teraz. Dobrze jest, jak jest.

Uśmiechnęła się do wspomnienia: Miny koleżanek i koleżków, gdy powiadomiła ich – bez zapraszania na ślub, bez żadnej tam uczyty weselnej czy choćby lampki wina – że pobierają się z Zygą, z tym bokserem. Byli zaskoczeni ci wrogowie konwenansu, zgorszeni, jakby popełniała megalians. Małżeństwo z bokserem? Więc to jest to, co ty lubisz? Mięśnie?

– Kochanek lady Chatterlay – powiedział Jacek, szczególnie jakoś wzburzony. – Zwycięstwo czystego doboru naturalnego?

– Zwycięstwo rozsądku – powiedziała Irena.

– A czy wiesz, co to jest encefalopatia bokserka? – spytał zdradliwie przyjaciel-intelektualista. Była to znów rozmowa na noże, próba zadania Irenie możliwie najboleśniejszego ciosu. – Nie słyszałaś o encefalopatii? To taka miła dolegliwość. Każdy bokser to zna. Czasem encefalopatia jest ugnarowana padaczką. Czasem utratą pamięci. Każdy lekarz sportowy może na ten temat rozwodzić się całymi godzinami. O czym nie opowiadają! Ho, ho! Bo lekarze w ogóle są przeciwnikami boksu. Z wyjątkiem, oczywiście, lekarzy klubowych, żerujących na boksie. Zatem obniżenie

sprawności intelektualnej. Zaburzenia pomięci. Każdy cios w głowę, rozumiesz? Radzę zasięgnąć opinii adwokata-specjalisty od rozwodów. Powinnaś się zabezpieczyć. Grozi ci rola dożywotniej pielęgniarzki debila. Jak twój amant po knock-oucie, nie daj Boże, skretyniej, nie dostaniesz rozwodu. Jest taka formuła. Nie można porzucać w chorobie, kalectwie itd. Współczuję ci szczerze.

– On walczy technicznie, nie siłowo – powiedziała spokojnie Irena. – I jest inteligentniejszy od tuzina krytyków i historyków sztuki. A czynną karierę sportową kończy po mistrzostwach Europy.

– Tylko do czasu tej emerytury chroń jego mózdzek.

– Będę chroniła.

– Aha, i jeszcze jedna sprawa. Wiesz, że bokserzy mają przymusowe okresy celibatu? – powiedział zdetronizowany pretendent do jej łask.

– Jestem ostatnio mało wymagająca. Chyba się starzeję.

Zaczęła w tym właśnie czasie przeżywać natłok pomysłów. Rysunki nigdy nie przychodziły jej tak łatwo. Powstawał wyrafinowany cykl ilustracji, winiet, ozdobników, przerywników i frontyspisów do Owidiuszowskiej *Ars amandi*. Dziwne rysunki, ją samą zaskakujące. Przykłady kobiecej hegemonii w sztuce miłosnej. Mężczyźni na tych rysunkach, silni i piękni, pokonani i bezwolni, służyli tylko rozkoszy kapłanek jakiegoś tajemniczego, okrutnego kultu. A one uwodziły. Rozdziewiczały. Gwałciły. Zadręczały. Pożerały. Jak modliszki czy żarłoczne, owadożerne kwiaty. Nachylały się nad ciałami zbezczeszczonych ofiar.

Odczuwała i potrzebę jakiejś szalonej eskapady, przygody, ryzyka. Śniła jej się południe, morze ciepłe i pełne życia. Olśniewające skały pod lazurowym niebem. Widoki pocztówkowe. Landszafty. Kadry z byle jakich filmów w technikolorze. Wszystko to zaczęło kusić, rozumiała, że chodzi o pokusę powrotu do raj. Bez ograniczających rygorów wycieczki. Bez

natręctwa przymusowego towarzystwa. Ujrzała ten cel i choć nigdy dotąd nie próbowała swych sił w organizacji choćby wystawy, choćby obozu zimowego, choćby wakacji w kraju czy za granicą (zawsze uchylała się od takich prac, zawsze zwałała to na kogoś innego) właśnie tę rolę – organizatora – wzięła na siebie.

Ta ich podróż wakacyjna miała wyrwać Zygę z rygorów klubowych. Chciała mieć go dla siebie. Sceneria miała temu służyć. Niech ma wrażenie, że wstąpił do rajy. Tak powinna się skończyć jego czynna kariera. Koniec z boksem. Niech potrzyma się z dala od kumpli, trenerów, i działaczy, wiecznie pochylonych nad kalendarzem imprez. Trzy miesiące z dala od nich. Wolność. Wybieramy wolność. Nikt nie będzie znał ich adresów.

Trzeba było na to pieniędzy. Dużo pieniędzy. Złożyła wnioski na przydziałowe sto kilkadziesiąt dolarów turystycznych. Niecałe trzysta dolarów! Myślała początkowo o jakiejś aukcji własnych prac. Przedyskutowała to z goszczącym w Warszawie włoskim marszandem.

By ów Włoch-koneser, zjawił się w jej pracowni wraz z młodą, zdzirowatą tłumaczką, trzeba było chytrych sposobów, intryg i w ogóle niezwykłego cwaniactwa. Włoch obejrzał jej prace ilustratorskie, bąknął, że to bardzo dobre, nawet świetne, ale włoska książka to klasa dla siebie. I kadry plastyków. I konkurencja... Bardzo, bardzo trudno. Irena zagrała *va banque*. Pokazała mu swój (tak to w myślach nazywała) majstersztyk: *Ars amandi*. Włoch spytał, czy zna twórczość Ropsa i Beardsley'a. Śmiał się: ostrzegano mnie, że Polska to kraj hegemonii kobiet, dyktatury feminizmu. Włoszki służą rozkoszy mężczyzn. Z pani rysunków wynika, że u was rolę służebną pełni mężczyzna... I tak rozwiął jej złudzenia. Bo wydać tego we Włoszech nie uda się. Pruderia! Niestety!

Wtedy przypomniała sobie opowieść o cerkiewce skrytej w górach.

– Śpisz? – Głos Zygi był zgaszony, nie swój.

Otworzyła oczy. Mijali jakąś wieś. Na drodze, w gęstym deszczu

rozsypywał się wychodzący z kościółka ortalionowy tłum. Za samochodem pognały kundle obszczekując zajadłe intruzów: znak, że mało tu jeszcze samochodów. Ukłucie niepokoju: żeby nikt nas nie zapamiętał. Na wypadek śledztwa.

– Która godzina? – Zyga był zachrypnięty, musiał odkaslnąć.

– Jesteśmy przed czasem – powiedziała i ziewnęła leniwie. – Wszystko poszło świetnie.

– Dogodziłem jak ksiądz Magdzie, co?

– Udałeś mi się.

– Tobie dobrze. A ja? – użalił się. – Wiesz, jaki jestem teraz?

– Głupi! – powiedziała pobłaźliwie. Była pewna, że teraz wszystko pójdzie jak z płatka. Musi się udać. Zyga wygra. Musi się wszystko udać na piątkę z plusem.

Ale on narzekał.

– Wiesz, jak to wysysa formę? Noc w podróży... Ten twój numer...

– Wszystko będzie dobrze. Jak przyjedziemy, rozłożysz w wozie siedzenia i prześpisz się.

– Kiedy nie chce mi się spać. Jestem... Jestem taki pusty. Nie lubię tego.

– Tylko na chwilę zajrzymy tam, na tę ich galówkę. Potem idź do wozu. Otul się pledem. Wszystko będzie dobrze.

– Widzisz – zaczął Zyga i zawahał się. – Żebym miał to zgrupowanie za sobą. Nie zapadła jeszcze decyzja. Grzywalski jest dobry. Młodszy ode mnie. Sam, gdybym miał decydować... Czy ja wiem? Twardy jest. Chce się bić. Niczego się nie boi. I Radeberger waha się. Na sparringach punktowaliśmy fifty-fifty. Ja więcej umiem. Ale on jest jak stalowa sprężyna. Młody. Ofensywny. Muszę nadrabiać rutyną. Mógłbym być ciut lepszy. Bom go rozszyfrował. Ma taki moment, jak wyprowadza lewy prosty, że lubi się odkryć. Ale jeśli mi tąpnie kondycha.

– Nie tąpnie.

– Z tego może wyniknąć paskudna krewa. Gdyby nie daj Boże trenerzy

dowiedzieli się o tym moim skoku w bok.

– Co za pomysł? Nie nabijaj sobie głowy. Zobaczysz, będziesz miał teraz skok formy.

– Po tym, jak się spompowałem tą podróżą. Nerwy. I w ogóle... Jak mi coś nie wyjdzie.

– Ty głupi! – prawie krzyknęła. – Wszystko ci wyjdzie! Rozumiesz? Wszystko ci świetnie wyjdzie. Wystarczy, że będziesz wierzył w siebie. Ja w ciebie wierzę!

Spojrzał na nią z ukosa. W łagodnych oczach miał tylko niepokój. Ani śladu gniewu, żadnych pretensji. Tylko niepewność. Poddawał się raz jeszcze.

– E tam! – powiedział cicho – Powinno mi wyjść. Trzeba tylko ostro. A z głową.

Był taki właśnie: łatwy do prowadzenia, gotów do zgody. Przyjmujący jak rzecz oczywistą prymat Ireny. Jej poddany. Relikt epoki matriarchatu. Dawało to nie zaznany nigdy dotąd spokój. Stan sytego zadowolenia, który kiedyś pół żartem, pół serio nazwała spadkiem po Katarzynie Wielkiej. Mój Orłow. Mój Potiomkin. Mój gwardiejec. Taka już jestem. Tak pojmuję związek uczuciowy. Tak zostałam stworzona.

Przymknęła oczy.

Myśli popłynęły bocznym korytem, leniwie. Zaczęła robić bilans. Trzydzieści lat, na koncie sześć ilustrowanych książek dla dzieci. Mój Boże, dorobek! Recenzje i oceny były uprzejme, ale w istocie pozbawione krztyny entuzjazmu. Na tej drodze do niczego nie dojdzie. Co więc zostaje? Tak zwana twórczość uboczna? Okrągłe porcelanowe płytki o średnicy trzy i pół centymetra. Kupiona okazynie dwuoczną lupa na specjalnym statywie. I malarstwo na porcelanie. Godziny spędzone nad tym przyrządem, muśnięcie pędzelkiem, wskrzeszenie sztuki zapomnianej. Rokokowe, raczej frywolne, w stylu Watteau, scenki pastoralne. Lupa pozwala ujrzeć te twarzyczki o wymiarach milimetrycznych, w każdym szczególe przesłodzonych, lalkowatych rysach. Przyjaciółka, specjalistka od metaloplastyki, opowiadała

w srebro wisiołek w stylu z tamtej epoki. Jeszcze pooksydować. Nieco specjalnego werniksu, który po pewnym chemicznym zabiegu starzeje się. Sprzedaje się to korzystnie, przeważnie cudzoziemcom. Jeśli klient jest wymagający, można takie małe cacko oprawić w złoto.

To było wyrobnictwo, tylko sposób zarabiania pieniędzy. Natomiast okres rysunków z cyklu Ars amandi zawdzięczała przeżyciom z Zygą. Dlaczego perwersyjni partnerzy, dlaczego ekscesy nigdy nie zainspirowały jej twórczości? A z Zygą – wciąż rodziły się nowe obrazy. I dziś wyobraźnia podsunęła jej nowy pomysł: bluźnierczy jak czarna msza, ale ciekawy. Anioł? Wystarczy aniołowi nadać cechy płciowe, by przeobrazić go w Apollina. Cykl mitologiczny? Legendy starochrześcijańskie mają tak liczne podteksty erotyczne. Na przykład historia świętej Marty. Lub Tais. A może przygody miłosne bogów z ziemiankami? Bogów i bogiń. Z wszystkim, co na ziemi żyje. Byki, krowy, łabędzie, węże, delfiny, konie, barany, panerotyzm.

Wóz kołysał miękko. W ciepłe otulała ją melodia szybkiej jazdy. Na wirażach opony jęczały histerycznie, kobiecym głosem. Było dobrze. Zyga tak dobrze prowadziła. Był aintelektualny. Cóż z tego? Jej ojciec był intelektualistą. Kiedyś go podziwiała. Cóż z tego?

Na jej nowych rysunkach – nagle ujrzała je wyraźnie – wszyscy bogowie będą mieli twarz Zygi, ukrytą w kędzierzawej brodzie, lub młodzieńczo nagą. I jego ciało: krępe, muskularne, budzące zaufanie. Trzeba, by te rysunki nie miały żadnej artystycznej genezy, nic podpatrzonego. Muśi przemyśleć to, co czuje. I kreska. Jak zrobić, by jej kreska była czymś absolutnie indywidualnym?

Znów wiraż z pośpiewem opon. I stan jakby nieważkości. Te zależności – myśli Irena – fizjologia, przyroda, to, co poznawalne, i to, czego nigdy nie zrozumie. W odruchu wdzięczności kładzie dłoń na ręce Zygi leżącej akurat w tej chwili na przekładni biegów. Zaraz cofa dłoń, szybciej jeszcze Zyga chwyta oburącz kierownicę.

Jakieś gwałtowne ruchy. Wóz ostro zarzuca. W ułamkach sekund bezwładność wciska Irenę w drzwiczki. Uczucie lęku. Potem szarpnięcie w lewo. Rzuca ją na ramię Zygi. Czuje, jak on walczy, widzi, jak w poślizgu obracają się wokół osi ściany domów, coraz bliższe, biegną wokół nich, jeszcze parę szybkich chybnięć – wywrócimy się? – i wóz staje w poprzek drogi. Jakieś twarde stuknięcie, brzęczące żelastwem uderzenie, coś zgrzyta na blasze karoserii.

I Zyga klnie:

– Ty kmiecie!

Otwiera drzwi, głowę wciągnął w ramiona, wyskakuje z wozu jak na ring. Spod kół wywleka jakiś zewłok, kukłę: obwisłe ramiona, czarne ubranie zbrukane gliną, czapka nabita na oczy, podarty w strzępy płaszcz ortalionowy. Irena wyskakuje z wozu. Staje obok samochodu i patrzy, jak Zyga ustawia tego nieszczęśnika pod płotem, wali nim w dechy ogrodzenia, aż poddaje się ono i chwieje. Szarpie za klapy tego denata i bije po pysku, chlast, chlast, dłonią niezwiniętą w kułak, na odlew, aż mokry, alarmujący dźwięk leci w pusty zaułek przedmieścia.

– Pijana świnió! – wrzeszczy Zyga. – Ryło zapite!

Błysk wspomnienia: Radeberger na jakiejś uroczystości nachylony ku niej gderze swym sznapsbarytonem: Bo, widzi pani, Zyga ma serce do wal-ki, to klasa chłopak, póki krew mu nie uderzy do głowy. Póki nie wpadnie w tę swoją złość. Ale wtedy – amen. Jak chwyci go wściekłość, posoka zaleje oczy, nic nie widzi, piana na pysku. I krecha – już przegrał. Już wtedy sam się odłoni, sam się nadzieje na byle jaki cios.

Tak jest teraz. Zyga się nie kontroluje. Wpadł w furię. Otwartą dłonią z prawa na lewo, chlast, chlast, i jeszcze raz. Pijak coś bełkoce. Głowa już bez czapki lata to w tę, to w tamtą stronę. Krew leci mu z nosa, z rozbitych warg, Zyga go puszcza, wtedy wsparty plecami o płot osuwa się, siada z wyprostowanymi nogami, deszcz rozmywa krew płynącą po brodzie.

Zyga spluwa pod nogi. Wyciąga spod przednich kół dziwacznie

poskręcany rower. Ciska go pod płot. Potem przez sekundę patrzy Irenie w oczy, chce coś powiedzieć, lecz tylko sapie jak rozwścieczony zubr. Nachyla się nad błotnikiem, prowadzi dłonią po rysie wzdłuż błotnika aż do drzwi.

– Niech go trup popieści – mówi. – Cały błotnik zarysowany!

Deszcz zmoczył mu włosy. Kosmyk ich przykleił się do czoła. Znów odwraca się i rusza ku pijakowi, który znieruchomiał z głową opartą na piersi. Refleks Ireny daje znać o sobie. Rzuca się w tę stronę, zabiega drogę, chwytą Zygę za ramiona.

– Oszalałeś! – mówi. – Wracaj do wozu!

Otrząsa z siebie jej ręce.

– Diabli nadali chmyza!

– Wracaj do wozu! – krzyczy Irena.

– Ja go nauczę!

Zagradza mu drogę i wbija w szyję paznokcie.

– Wracaj do wozu – mówi szeptem i zmusza by spojrział jej w oczy. – Czyś oszalał?

– Wóz porysowany! – krzyczy Zyga. Ale już nieco ochłódtł i gdy Irena wskaże mu na wszystkie wokół opłotki i domy, rozgląda się jak przebudzony. Uliczka jest wciąż jeszcze pusta. Zaslania ich zbawienny płot, za którym rozplecił się bez w gęsty żywopłot.

– Ty głupcze! – krzyczy Irena. – Szybko do wozu. Jeszcze tego brakowało, żeby tu nas zapamiętali. Już nas nie ma!

Skinieniem głowy potwierdza, że tak, że już mu przeszło. Wciąga głęboko w płuca powietrze.

Biegną do wozu, zatraskują drzwi i od razu na pełnym gazie rwą prosta drogą, byle dalej od tamtego miejsca. Irena odwraca się i przechylona do tyłu, przez tylną szybę sprawdza, co się tam dzieje za nimi. Nic się nie dzieje. Oddycha z ulgą.

– Nie za mocno mu przylałeś? Jak wpadniesz w złość...

– Tylko krew puściłem mu z nosa. Zupełna dętka. Po chuchu pięćdziesiąt procent alkoholu we krwi.

Irena ogląda się przez tylne okno. Widzi pusty wylot uliczki.

– Chyba go nie zabiłeś – mówi. – Nikogo nie widać. Nikt nas nie widział.

– Ale zadrapanie.

– Zatrzemy błotem. Nikt nie zauważy.

– Skręciłem w ostatniej chwili. Dlatego stuknąłem go tylko błotnikiem – mówi Zyga. – Gdyby nie mój refleks...

– Twój cudowny refleks! – mówi Irena pogardliwie.

Chwilę milczą. Potem on dorzuca już całkiem cicho:

– Nawaliłem. Za ostro brałem ten zakręt. Za ostro jechałem przez miasteczko.

– Co się z tobą dzieje – zrzędzi Irena. – Te twoje napady złości. Ty masz refleks? To ja mam refleks. Gdybym się nie w mieszała, szarpałbyś się z tym pijakiem. I mielibyśmy za chwilę kupę świadków na karku.

Zyga rzuca jej jeszcze jedno niepewne, ukradkowe spojrzenie.

– Podrapałaś mnie – mówi: – Kocica.

– Tygrysica – mówi Irena – Wampirzyca! Jak trzeba to jestem wampirzyca. Strzyga. Upiór. Chłepcę krew mężczyzn. Nie wiedziałeś o tym?

Spogląda niepewnie.

– O, raj, co z ciebie za człowiek – wzdycha.

– Kobieta – poprawia Irena.

Wyciąga z torebki chusteczkę i buteleczkę wody kolońskiej. Gdy zmoczona chusteczką dotknie zadrapania, Zyga krzywi się.

– O, raj, cóż z ciebie za tupeciara – mówi.

– Taka, jakiej ci trzeba.

Na liczniku, na tym prostym odcinku dobrej drogi strzałka waha się między sto dwadzieścia a sto czterdzieści.

– O mały włos... – zaczyna znów po chwili Zyga, ale Irena przerywa mu:

– Nie wracaj do tego. Nic się nie stało.

Na płaskiej nizinie mijali teraz coraz gęściej rozsiane wioski. Zwykła

niedzielną przejażdżką. Prosta droga wysychała po deszczu, ludzi na niej było coraz więcej, dzień przygasał przed nowym deszczem. Zaroiło się po sumie niedzielnie. Wracały do domów bryczki i wozy, i samochody, minęły ich zatłoczone autobusy, a także miejscowe, wymyte deszczem syrenki, fiaciki, fiaty. Chłopaki brawurowo zajeżdżały swe motocykle. Zyga zwolnił, prowadził ostrożnie, zaniepokojony tamtym prawie wypadkiem. I tak aż po pierwsze domy miasta.

– Nikołąkę zatrzymam dla siebie – powiedziała nagle Irena. – Jakoś go zlepię do kupy. Niech dziadek odprawia emerytalne modły w mojej pracowni. Przypomina mi staruszkę, który był u nas w Akademii modelem. Nie robił tego dla forsy. A nuż się uda, powiadał, może któryś z tych smarkaczy okaże się geniuszem. Miał nadzieję, że choć jeden jego portret przejdzie do historii sztuki. – Spojrzała bokiem na Zygę. – Słuchasz, co mówię?

– A jak?

– To powtórz.

– Że lubisz jakiegoś starego faceta. I chcesz mieć w pracowni ten święty obrazek. Tego Nikołąkę.

– Gołąbek, nie uważasz na lekcji – powiedziała surowo.

Zatrzymali wóz za rogiem, w tym samym miejscu, gdzie Zyga niedawno na nią czekał. Jeszcze rzut oka na zadrapanie: nic go nie ukryje, rysa idzie przez prawy błotnik, aż do połowy drzwi.

– Paskudna krecha. Lakiernik weźmie pięć patoli jak nic – mówi Zyga.

– Nie podoba mi się to, wcale nie podoba.

– Myślisz, że tamten zgłosi pobicie na milicji?

– Taki przyprawiony? Żeby świecić oczami na kolegium?

– No właśnie... A ja – Irena zmienia temat – miałabym straszną ochotę obejrzeć te ikony.

– Teraz? Tu? Oszalałaś?

– Chociaż Nikołąkę...

– Wybij to sobie z głowy.

– Masz rację.

Deszcz ustał, więc ruszają prawie biegiem do szkoły, po schodkach do hallu, i są na miejscu, akurat gdy przebrzmiał ostatni akord muzyczny. Zyga stoi za Ireną, oburącz trzyma jej ramiona. Mówi szeptem:

– Odbiło mi czy co?

– Przestań.

– Mógłbym tego pijaka załatwić, taki byłem wkurwiony.

– Nie panujesz nad sobą.

– I to przed meczem. Radeberger zawsze mówi...

– Przestań o tym myśleć!

Na sali wybuchają oklaski. Oni wciąż jakby wpół objęci. Widownia wstaje z miejsc, rusza ku wyjściu. Zyga chce puścić ramiona Ireny, ale ona przytrzymuje jego dłonie. Wyglądają na zakochanych.

– Jak wam się podobało? – pyta Stefan.

– No, wiesz... – mówi Irena.

Śmieją się wszyscy pobłaźliwie. Halina wygląda, jakby to było jej święto. I ojciec jest zadowolony, że tu przyjechał. Może nawet, spotkawszy tu swą młodość, „heroiczny okres” – jak to nazywa – może nawet znów jest szczęśliwy?

Część druga

STEFAN

Nie chciał tam jechać. Gdy przeczytał list od doktora Kowalczuka – za dawnych lat nazywali go Grubym Kowalem – przydługi i, jak to określił w myślach, „wazeliniański” list, zapraszający na te jakieś pompacyjne uroczystości, pierwszym odruchem było zmiąć go i cisnąć do kosza. Wstrzymał się. Zostawił list na biurku. Jak było do przewidzenia, wpadł w ręce Haliny.

Stefan czuł się zmęczony. Łatwo się irytował. Wszystko działało mu na nerwy, nawet opiekuńcze obyczaje Haliny. Ze szkodą dla własnej pracy spełniała funkcję sekretarki wybitnego małżonka, rolę zapobiegliwej gospodyni domowej, i nawet czasem, bez szczególnego zresztą powodzenia, usiłowała matkować Irenie, oraz Zydze, jej nowej zdobyczy.

Gdy teraz z naciskiem powtórzyła:

- Musisz jechać! – zachnął się.
- A może nie mam ochoty?

Miasteczko było wspomnieniem młodzińskiej wiary w przyszłość i ówczesnego zagubienia w mrocznej teraźniejszości. Budziło jakieś niejasne wątpliwości, spychane w podświadomość poczucie winy. Nie lubił o nim myśleć. Tam po raz pierwszy stawał przed koniecznością podjęcia nieodwołalnych decyzji. Tam dokonał zasadniczego wyboru. Czy poszedł słuszną drogą? Czy mógł wybrać inną? Czy więcej zyskał niż stracił?

- Będą mówili, że się puszysz – argumentowała Halina.
- Gwizdź na to, co będą mówili.

– Koniecznie trzeba żebyś pojechał. Dobrze ci to zrobi.
– Znakomicie mi to zrobi, prawda? – zaśmiał się i z pasją zatrzasnął szufladę biurka. – Mówisz, jakbym nie miał Żmudzińskiego na karku...

Halina kartkowała kalendarz, sprawdziła datę.

– Wypada w niedzielę. Nawet dobrze się składa.

– Akurat w tamtą sobotę mam kolegium – powiedział.

– To je opuścisz.

– Jakie to proste, prawda? – wybuchnął. – Po co mówisz takie bzdury? Akurat to kolegium miałbym opuścić? To tak, jakbym miał wyjechać w dniu, w którym przygotowali dla mnie gilotyne.

– A czy nie warto? Zamiast się denerwować?

– Nieobecni nie mają racji – powiedział.

– Jak uważasz – zgodziła się z westchnieniem. I ją męczył panujący między nimi stan napięcia. Męczyła i własna sytuacja.

W imieniu Stefana napisała do doktora Kowalczuka chłodny list, że pięknie dziękuje za zaproszenie. Jeśli tylko będzie to możliwe „w nawale zajęć”, to oczywiście przyjedzie. Podsunęła mężowi do podpisu arkusik, pokryty piękną czcionką włoskiej maszyny. Warknął nieprzyjaźnie, ale podpisał.

– Wysłałam poleconym – powiedziała. – Grzecznościowy gest. Do niczego nie zobowiązuje.

– I tak nie pojedę!

Potem jednak odwiedził ich, po telefonicznej zapowiedzi, ów reporter z telewizji. Stefan odbył z playboyem długą rozmowę. Stała się ona jakby ekshumacją przeszłości, która – odkopana spod trzydziestolecia – ożyła i już nie dawała spokoju. Wciąż wracał do niej w myślach, przypominał sobie zapomniane sceny, epizody. Tak jak ostatnie „gadanie” z Jasiem Kowalczukiem pamiętnego dnia, gdy poczciwy Owczarczyk, ojciec Anny – po wyzwoleniu już jawnie nazywany profesorem – przywiózł z Rzeszowa nominację na dyrektora gimnazjum i imponujące blankiety ich konspiracyjnych matur. Stali z Grubym przed gankiem dworku starego Kowalczuka, jedyne domu w miasteczku, którego drzwi nigdy nie były barykadowane,

bo każdy mógł potrzebować lekarza. Stefan patrzył na jesienne niebo. Chmury zdawały się zaczepiać o rozchwiane wierzchołki drzew. Sam czuł się taki: miotany wichrem. Świadectwo dojrzałości! Myśląc o nim czuł się nagle postarzały.

– Jadę do ciotki. Na studia – powiedział Gruby. – Chyba jednak na medycynę.

– Też gdzieś się ruszę – powiedział Stefan.

– Zostawisz Annę?

– Może pojedzie ze mną.

– Musi zostać ze starym.

– To pojedę sam – powiedział ze zniecierpliwieniem.

– Ty musisz w świat. – Gruby pokiwał głową. – To jasne. A ona musi tu zostać. To przecież też jasne.

– Zamknij się.

– Wiesz, że jestem twoim przyjacielem. Co ci będę dużo mówił. Tak musi być.

I był to sąd miasteczka. Nikt mu nie mógł wziąć za złe, iż ruszył w świat. A potem, że wstąpił na tę drabinę, sięgającą – z perspektywy mieściny – prawie nieba. Zaszedł tak wysoko, iż śmieszne byłoby wspominać szczenięcą miłość jako alternatywę takiej kariery. Teraz, po latach, nie odczuwał żadnej, absolutnie żadnej potrzeby obejrzenia miasteczka od nowa. Lepiej nie próbować! Piękno niegdysiejsze na pewno dawno wyblakło. Lecz wspomnienia, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, nabierały wyrazistości.

Wrócił tam raz tylko, w przerwie semestralnej. Na podbieszczadzkich równinach nadal szalał różnokolorowy terror. Ludzie nie byli pewni dnia ani godziny. Czarna rozpacz panoszyła się w drewnianych chatach i nielicznych murowanych domkach. Zabarykadowane drzwi. Okna z ciężkimi okiennicami. Milczenie. Tak wyglądała tu wolność, w całej Polsce niełatwa.

Przyjechał wojskowym samochodem pełnym żołnierzy. Złapała ich w drodze zamieć. Grzęźli w zaspach. Odkopywali wóz. Szuflowali śnieg. Podkładali pod koła faszynę. Podróż ta, marne kilkadziesiąt kilometrów,

trwała całą dobę. Tak jak ci żołnierze, marzył straszliwie. Odmroził rękę. Anna z trudem ocaliła go od zapalenia płuc. Pił niezawodny lek: samogon z miodem, dwie pełne szklanki, jedna po drugiej. Upił się od razu w drebianzi. Bełkotał coś, chwytając ją za rękę. Mimo że był pijany, zapamiętał jak cofnęła rękę niechętnym ruchem.

– Tu, u was... – bełkotał – Anno, tu, u was...

– Widzisz, jak jest.

– Zostałaś na taki los.

– Nie mówmy o tym.

Było to takie bolesne. Kto wziął więcej? Nie potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie, pewny, że nigdy już nie dał tyle z siebie innej kobiecie. Naszło go wspomnienie początków ich miłości, gdy w naiwnym porywie postanowili, że nie przekroczą progę, póki nie będą małżeństwem. Przysięgli sobie nawet, a potem, w nadziei, że ta przysięga obroni ich od pokus, stawali się coraz śmielsi. I coraz łapczywsi. Aż po noc, gdy złamali przysięgę. Anna go wiodła. Bronił się, lecz ona przyciągała go i coraz ciaśniej obejmowała ramionami. Szeptala: co tam przysięga! Nie męcz mnie dłużej. Nie mogę dłużej czekać. Cóż więc dziwnego, że się łatwo usprawiedliwił. Nie mogłem inaczej. Postąpiłem uczciwie. Napisał coś w tym sensie. Zdobyła się w odpowiedzi na pokrępowany frazes: musisz myśleć przede wszystkim o swojej przyszłości. A tamto (ich związek) nie jest aż tak ważne. Sama tego chciałam, pamiętasz? I doszłam już do wniosku, że więcej w tym było egzaltacji i poetyzowania niż dojrzałego uczucia.

Wkrótce po tej zimowej eskapadzie, gdy wydali się sobie nawzajem już tacy obcy, Anna wyszła za Józefa Bochnię, kierowcę, porządnego człowieka, dużo starszego, kochającego się w niej od lat, o czym wszyscy w miasteczku wiedzieli. Gdy spadła na niego ta wiadomość, doznał ukąszenia zazdrości. Już wtedy czuł, że z żadną inną kobietą nie przeżyje takiego napięcia uczuciowego. Wyobraźnia podsuwała obraz Anny obejmującej Bochnię – ciężkiego, mrukliwego mężczyznę. Szepcząc: „Zrób mi to, nie męcz mnie dłużej”. Obraz nieprzyzwoity i prostacki. Jak obsceniczny rysunek

na ścianie szaletu. Wyobraziwszy sobie taką scenę, już nie myślał o Annie jak dawniej. Poczuł się wolny. Wyzwolony.

W oczach ludzi z miasteczka sprawa Anny wyglądała tak (wiedział o tym od podpytanego Dziada), że kręciła ze Stefanem Maziarzem w czasach, gdy mieszkał u nich a jej ojciec tolerował taką nieprzyzwoitość, bo może i łowił Stefana na zięcia. Zawsze mawiał, że to chłopak z przyszłością. Po wyjeździe Maziarza z miasteczka, Anna znalazła sobie innego. I wyszła za mąż. Lecz i potem wiodła wesołe życie. Gdy na stacji u nich stał student-geodeta, na oczach całego miasteczka kręciła z nim romans. Kto tylko nie widział, jak się gźili, nawet przy nie zamkniętych oknach, korzystając z tego, że Bochnia był wciąż na wyjazdach. Z latami zbrzydła i postarzała się. Teraz, już we wdowieństwie, chorowała. Banalna historia.

Zatem chyba nie sprawa Anny była przyczyną wahań, jakie Stefan odczuwał na myśl o wyprawie do miasteczka?

A jednak wystarczyło przymknąć oczy, a już jawiła mu się wizja kraju młodości. Rynek niegdyś handlowy, pełen zgiełku, obudowany w czworobok zżartymi przez czas i grzyb dwupiętrowymi kamieniczkami, jeszcze w czasie wojny zamienił się w kamienne cmentarzysko. Gdy Stefan tu przybył, Żydzi już wyginęli. Nikt po nich nie zamieszkał w tych domach. Runęły dachy i powały. Osypały się tynki. Sterczały tylko frontowe ściany z zamazanymi przez deszcze szyldami: Abram Ojcower – handel żelazny, Chil Wolf Mozes – wełna, wata, watalina, Hurtownia worków, lnu i konopi – Cycowski Icek. Świadek egzystencji świata, który już nie istniał. Czasem tylko ktoś wspominał, że ten Ojcower był najbogatszy w mieście. Mozes zwariował we wrześniu 39 roku. A Cycowski, jeden Cycowski uratował się i wraz z rodziną zdołał uciec – Boże, kto by pomyślał! – aż do Turcji.

Życie pod koniec wojny tliło się tylko na Przedmieściu Rzeszowskim, w chatkach, zawsze śmierdzących zaczynem bimbru, wokół magazynów siana i zboża. I w ruderach biedoty na Zborówce, wokół dudniącego niestrudzenie tartaku, w którym Stefan pracował razem z Jasiem Kowalczykiem i panem Dziaduszyckim.

Po latach pięćdziesiątych, już po wyjściu z kicia, pan Dziaduszycki odwiedził go. Do Warszawy przyjechał pierwszy raz bez zapowiedzi, było to w niedzielę. Zjawił się o szóstej rano, z walizką w rękę. Szukał protekcji dla zdającego na politechnikę syna. Stefan coś tam mu pomógł. Teraz chłopak był już po studiach, pracował u Kasprzaka. A pan Dziaduszycki zawsze, gdy odwiedzał syna, przywoził im torbę orzechów i drugą grzybów suszonych, zjadał kolację, opowiadał co nowego w miasteczku, szarmancko całował rączki pań, rozmarzał się po czwartym czy piątym kieliszku i na odchodne wzdychał: „Ech, Stefan, Stefan, jak to wszystko szybko poszło, co?”

Halina kiedyś spytała męża, dlaczego nie lubi miasteczka.

– Dziwisz się? – odpowiedział wzruszając ramionami. – Po tym, co tam przeżyłem...

– Ale ja odnoszę wrażenie, że ty nie lubisz ludzi stamtąd. Że odwiedzi-ny Dziaduszyckiego zawsze ci psują humor.

– Stary idiota! – wybuchnął Stefan, co mu się rzadko zdarzało. – Nie znoszę ludzi, którzy zasklepili się w tamtych czasach. Nie poszli naprzód.

– Ale to przecież pocziwina. Widać na pierwszy rzut oka...

– Eksponat! – powiedział Stefan – Tacy ludzie, jakby ci to wytłumaczyć, Polska dnia dzisiejszego... Zresztą sama chyba rozumiesz. Nie można żyć na cmentarzu.

Zawiadomienie o uroczystościach oraz oficjalna prośba o udział w Komitecie Honorowym miały innego nadawcę. Helena z uznaniem oglądała czerpany papier, naśladownictwo starodruku zdobnego w herb miasta i uprzejmie wyrażała podziw dla roboty plastyka. Tak, jakby ją grafika cokolwiek interesowała. Nigdy tego nie okazała Irenie.

– Mój drogi – powiedziała. – Jak ty, sobie wyobrażasz swą tam nieobecność? Mogą to wziąć za jakąś demonstrację. I tak ostatnio utrzymujesz zbyt mało stosunków z ludźmi.

– Dobrze, dobrze – powiedział.

– Dziwaczejesz – orzekła Halina, bo ten pasywny ton nie spodobał się jej. W ogóle nie podobały się jej rozliczne przejawy starzenia się męża.

W najbliższą niedzielę, już po bytności playboya z telewizji, gdy Stefan zdecydował się pojechać, nieoczekiwanie w czasie wspólnego obiadu do akcji wkroczyła Irena.

– Chcę ciebie zobaczyć w tamtym plenerze – powiedziała do ojca. – Chcę wyobrazić sobie, jak to było.

– Nie jeździłem tam od lat.

– Chcę tam pojechać razem z tobą. Mam prawo. Taki wojaż ze sławnym ojcem!

Zyga uśmiechał się i patrzył w okno.

Zatem ułożono harmonogram wyprawy. Jadą niezależnie od tego, o której godzinie skończy się kolegium. Wyjazd sprzed biurowca. Najpierw poprowadzi Irena, która lubi nocne jazdy. Jak Irena się zmęczy, od połowy drogi zastąpi ją Zyga. Bo Zyga też pojedzie. W takiej dalekiej podróży dobrze mieć go ze sobą. W miasteczku będą rano. Zajadą do doktora Kowalczuka. Halina: zaraz do niego napiszę w twoim imieniu. Wrócą możliwie najprędzej, bo Zyga też urywa się ze zgrupowania przed mistrzostwami. No i Stefan musi być w Warszawie w poniedziałek. Halina: Sprawdziłam w twoim terminarzu. Masz komisję o jedenastej. Irena: Doceń, proszę, że Zyga urywa się na tę dobę ze zgrupowania nielegalnie. Robi to na moją prośbę. Stefan: Czy więc warto go fatygować? Halina i Irena: Tak. Warto (To unisono, z podejrzanie sympatycznymi uśmiechami). Ma być ktoś z „Polityki”. I ten redaktor z telewizji. W twojej sytuacji to się liczy. Halina już coś podpowie dziennikarzom. Na przykład taki obraz z przeszłości: Stefan Maziarz na czele obrońców miasteczka. Po drodze może wymyślimy coś jeszcze lepszego!

Było to – o czym nie wiedział – podsumowanie wcześniejszych rozmów Ireny z macochą.

– Ojciec wydaje się przemęczony – zaczęła z dwuznacznym uśmiechem Irena.

Halina uniosła oczy ku niebu.

– Skreśliłam z jego planu prac wszystkie drobne bzdurki. – powiedziała.
– Ale od czerwca ma takie sytuacje stresowe. Ten Żmudziński!

– Stresy! Kto ich nie ma?

– Ale twego ojca próbują brać na cel – dramatyzowała Halina. – Potrzebny jest ktoś na pożarcie dla tłumów – dorzucała znacząco. – Chyba rozumiesz, jak to rzutuje na jego samopoczucie? I na jego plany? Miał nadzieję, że otwiera się przed nim taka droga...

– I tak zaszedł wysoko.

– Ty tego nie zrozumiesz. – Halina przybierała ton pobłażliwy. – Żyjesz w innych... w innych obszarach ambicji (lubiła się tak wyrażać). Dla niego to najważniejsza sprawa. Sprawdzić się. Wziąć na barki jeszcze więcej. I udowodnić. Sobie. Innym...

Irena uśmiechała się wzgardliwie.

– Choroba władzy – wydymała wargi. – Ja tego nie rozumiem.

– Chyba nie starałaś się nigdy zrozumieć ojca.

– Nigdy nie zrozumiemy do końca drugiego człowieka – powiedziała Irena. – Nawet ojca. Nawet własnego kochanka. To jest właśnie nasz los: jesteśmy tak czy owak skazani na samotność...

– Filozofia – przerywała jej Halina.

– Pewnie, że filozofia – przyznawała Irena i myślała: Ciekawe, czy oni jeszcze spółkują?

Sobotnie kolegium bardzo się przeciągało. Wreszcie Stefan ukazał się w jasno oświetlonym prostokącie przeszklonego hallu. Ujrzeni go z samochodu zaparkowanego przed wieżowcem, jak schodził w tłumie mężczyzn po pięknych stopniach z kieleckiego marmuru. Z daleka widoczna, zupełnie siwa głowa, wysoko wzniesiona nad innymi (sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu) sprawiała, że wydał się nie tylko leaderem, lecz niemal i patriarchą zaaferowanego, rozgadanego tłumy. Wiódł debatujących jeszcze na schodach kombatanów bitwy, zwanej międzyresortowym kolegium. Czy odniósł zwycięstwo? Wyszedł z biurowca zmordowany. Dostrzegli, to, gdy

tylko oderwał się od tłumu i ruszył w ich stronę. W białym świetle lampy ręciowej jego twarz była szara, wargi i powieki miały ołowianą barwę.

– Aleście się naczekali – stęknął wsiadając obok Haliny. – Naprawdę nie mogłem wyjść nawet na chwilę.

– Widzimy, jaki jesteś wykończony – orzekła Halina. – Szkoda twoich sił. Tylko się rozdrabniasz.

– Nie wracajmy już do tego – poprosił.

– Jeżeli chodzi o nas, nic się nie stało – powiedziała za wszystkich Irena, zdumiewająco dziś cierpliwa.

– Ruszyłeś chociaż do przodu? – spytała z niepokojem Halina. – Co Żmudziński? Wyjdzie na twoje?

– Złapał kozak Tatarzyna...

– Zyga może ojca nauczyć jak wychodzić ze zwarcia – powiedziała Irena.

– Z ciosem! – powiedział poważnie Zyga. – Obowiązkowo z ciosem!

– Jedźmy! – westchnął Stefan.

Z parkingu ruszały liczne wozy, nagle w światłach reflektorów i pod ulicznymi lampami zrobiło się niebiesko od spalin.

– Jedźmy! – powtórzył.

Prowadziła Irena. Wywiodła wóz z ręcznikiem z tego tłoku i już skręcili w aleje. Halina obserwowała męża. Jak on się postarzał! Podała mu ręcznik i butelkę. W wozie zgęstniał zapach kwaśnej, męskiej wody kolońskiej. Plamy światła raz po raz dobywały z mroku jego wymęczoną twarz. Na moście opuścił szybę. Wóz napełnił się zimnym powietrzem znad Wisły.

– Od śniadania chyba nic nie jadłeś.

Zapaliła boczne światelko i na kolanach rozłożyła turystyczny, zaopatrzeniowy, jak to nazywała, neseser.

– W termosie jest herbata. Na zimno pieczony kurczak, kanapki z wędliną, ser. Wystarczy, czy staniemy gdzieś na kolację?

– Jeść w ogóle mi się nie chce – powiedział Stefan. – Nie mam siły. Do stałem w kość!

Rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk. Oddychał głęboko. I nagle, nieoczekiwanie dla wszystkich powiedział:

– Jak to dobrze, że tam jedziemy! Na dwadzieścia cztery godziny zapomnieć o wszystkim!

– Od początku mówiłam, że tego ojcu trzeba – stwierdziła Irena.

– Czuję się jak rozładowany, stary akumulator. Tylko na złom! – mówił Stefan z ustami pełnymi kurczaka, parząc wargi gorącą herbatą. – Żeby tak machnąć ręką, zostać tam jeszcze dzień, dwa...

– Zyga musi wracać – przypomniała Irena. – Bezwzględnie!

– Moglibyście wziąć wóz, a my z Rzeszowa sypialnym – ochoczo zaproponowała Halina. Parę dni odpoczynku tam, na tej półwsi! Uważała, że potrzebny im jest głęboki oddech, dotlenienie się. Choćby dzień, dwa relaksu. Ale on, trzymając niepewnie plastikowy kubek pełen wychlapującej się, gorącej herbaty, tylko wymownie zamachał wolną dłoń.

– Nie ma mowy! Żmudziński skorzystałby z okazji. Byłoby po wszystkim. Teraz jest taki moment: nie możemy spuścić z siebie oczu ani na chwilę. Kto kogo? Nie rozumiesz?

– Oczywiście, że rozumiem – powiedziała Halina. – Ten Żmudziński. Zawsze jakiś Żmudziński! Znasz mój pogląd. Choćbyś wylazł ze skóry i tak nad twoim grobem będzie w końcu przemawiał jakiś Żmudziński.

– Znowu zaczynasz!

– Już ani słowa na ten temat – obiecała. – Wzięłam z sobą reladorm. Zażyj dwie tabletki, zrzuć marynarkę, z tyłu leży pled. Powinieneś być jutro wypoczęty. Żmudziński!

Oddał pusty kubek. Na szosie było jasno, widzieli przez moment wyraźnie swoje twarze.

– O wszystkim myślisz. – Ujął jej dłoń, przycisnął do policzka.

– Maszynkę do golenia też wzięłam – powiedziała Halina i cofnęła dłoń. – Teraz cisza. Staraj się zasnąć.

– Znacie ten kawał? – zapytał Zyga. – Facet przychodzi do lekarza, ma zabandażowaną głowę. Co panu? pyta lekarz. Mam poparzone uszy. Jak to się stało? Prasowałem spodnie, zadzwonił telefon. Jestem roztargniony. Zamiast słuchawkę, przytknąłem ilo ucha żelazko. No, a drugie ucho? pyta lekarz. Jestem roztargniony, mówi facet, jak sobie oparzyłem ucho, chciałem zadzwonić po pogotowie. I zamiast przyłożyć słuchawkę do drugiego ucha, przytknąłem do niego żelazko.

Noc była wilgotna. Szosa o tej porze pustoszała. Nie za często oślepiały ich reflektory mijanych samochodów. Stefan, idąc za radą żony, zdjął marynarkę i krawat. Powiesił to z boku, na plastikowym, nadmuchiwym wieszaku. Rozsiadł się możliwie najwygodniej i otulił ciepłym wełnianym pledem. Nerwy miał jeszcze napięte. W myślach powtarzał najważniejsze fragmenty swego wystąpienia, swe argumenty, repliki. I odtwarzał zażarty spór ze Żmudzińskim, starym lisem, nie przebierającym w środkach. Wojna, myślał, teraz już nie mogą się wycofać. Teraz nikt już na nasze miecze nie poleje oliwy. Albo ja, albo on. Albo beknę za to wszystko, albo on. Najgorsze, że dziś taki remis. W przyszłym tygodniu trzeba zaczynać od nowa.

Żeby już nie myśleć o tych szarpiących nerwy godzinach kolegium! Wszystko miało zwykły przebieg: najpierw opracowano założenia wstępne, zarysowywały się kontrowersyjne, ba, nawet antagonistyczne poglądy partnerów. Wiele godzin sporów ujawniało właściwie tylko to, że każdy obstawał przy swoim. Że zabrakło miejsca na manewr: zupełnie jak tym dwom baranom, co się spotkały na kładce. Porównanie narzuciło się samo. Zatem na kładce, łeb w łeb. Można by co prawda z tej Stefana tezy i Żmudzińskiego antytezy wypracować jakąś syntezę.

Ale kto miał to zrobić? Pomyślał o starym człowieku, od którego należałoby tego oczekiwać. Tylko zmiany na szczycie mogły przynieść rozwiązanie. Młodych trzeba, młodych! Powiedzmy, młodych umysłem. O zmianach mówiono już od pół roku. Ostatnio jako jedną z możliwości

wymieniano i profesora Stefana Maziarza.

Spojrzał z ukosa na Halinę. Orientowała się w tej strategii. Śledziła uważnie pole walki. I miała mu chyba za złe, że odchodząc od prac naukowych tak się zaangażował w ten przypominający kwadraturę koła dylemat. Nie wierzyła, że to ma sens. Podejrzewała, że to sprawa tylko ambicji. Gry prestiżowej. Raz po raz w blasku mijanych światła widział jej twarz i ten znajomy wyraz: miała mu za złe, wydymała charakterystycznie wargi.

– Jeszcze i to – pomyślał. – Jeszcze i te jej pretensje!

Spróbował wymknąć się, uciec. Skierować myśli w inne koryto. Wyciągnął rękę i dotknął ramienia córki:

– Jak jedziemy? – spytał półgłosem.

– Tak jak ustaliliśmy: Lublin, Stalowa Wola, Rzeszów.

– Może jednak lepiej byłoby slipingiem? – bąknęła Halina.

– Pociąg odszedł przed godziną – powiedziała Irena. – Ojciec nie zdążyłby. Od razu wiedziałam, że tak będzie.

– Spać, spać – powiedziała Halina. – A my będziemy cicho.

Naciągnął na głowę pled, odgrodził się od blasków raz po raz zalewających wnętrze wozu. Moje kobiety, pomyślał. Irena z jej słabostkami. Taka zbakierowana. Świątek artystyczny. Mody na różne deliria. Może ten chłopak wyprowadzi ją z impasu? Nawet go dosyć lubię. Czego, jak czego, ale zięcia boksera nie spodziewałem się. Moje kobiety: Halina. Kim ona właściwie jest? Samodzielnym pracownikiem naukowym? Pomocą domową? Od czasu do czasu seksterapeutką? Ksantypą? Jaka jest rola kobiet w Polsce? Są szarymi eminencjami. I dobrze. I słusznie. Jest jak jest. Mnie to urządza. Czy mogło być lepiej?

Zmęczenie mąciło myśli, pozbawiało je logicznego ciągu. Znów ujrzał twarz swego adwersarza, tego demagoga-nieuuka Żmudzińskiego. Uważał jego teorię za dowód nieuctwa, krótkowzroczności. Za bluff. Znów poczuł, że go nienawidzi. Chyba nikogo w życiu nit nienawidził tak jak tego

prącego naprzód karierowicza. Ale ja mu nie dam przejść! Nie zrobię mu wolnej drogi!

Reladorm zaczynał działać. Poczul się nieco rozluźniony i już oddychał swobodniej. Irena włączyła ogrzewanie, a Halina nieco uchyliła po swojej stronie wywietrzniki..

Powiało smugą wilgotnego chłodu. Osłonił się od niej pledem.

Przypomniał sobie, i nie sprawiło mu to przykrości, jak po raz pierwszy wraz z Haliną czuwali całą noc, wtedy, podczas kolejnego kryzysu Marty, jego pierwszej żony, matki Ireny. Lekarz dał zastrzyk nasenny i przyznawszy, że nic więcej nie może zrobić, ulotnił się. Stefan otulał Halinę pledem. Musi pani pospać choć parę godzin – szeptał dotykając jej nóg w nylonowych pończochach, ramion prawie nagich pod cienkim sweterkiem, biodra opiętego tweedową spódnicą. Okrywał ją pledem, tym samym, jaki wzięła dziś w podróż, angielskim, przywiezionym z Londynu, z szetlandzkiej wełny. Doznawał wówczas podniecającego uczucia. To było nieprzyzwoite. Powinien był opanować się. Lub ostatecznie – zaaranżować z tą swoją asy-
scentką jakąś schadzkę w przyzwoitszych okolicznościach. W sympatycz-
niejszym otoczeniu. A nie podniecać się jej bliskością, gdy tuż obok Marta
rzęziła w trwającej od miesięcy agonii. Wspomnienie było wstydlive i
wyblakłe. To było już tak dawno. Był czas! – pomyślał. Nasze zabawy w
seks. A teraz czuł jej zcodzienniałą bliskość. Reladorm zapędzał go z wolna
w sen. Odchodził, dźwigając coś ciężkiego – chyba swoją studencką karto-
nową walizkę, spiętą paskiem od spodni – drogą wyprażoną w słońcu, bie-
gnącą pod górę, stromą i męczącą. Spieszył się, miał bardzo mało czasu.
Tempus fugit powtarzał za poczciwym starym profesorem Owczarczykiem.
Tempus fugit. Asfalt, rozwałkowany jak ciasto, kończył się. Dalej była łąka,
zwiądała w upale. Potem jakieś rozlewisko, błota, tatarak. I nagle na rękach
niósł Martę w sukience z organdy. Dziwił się. Czy nie lepiej było zosta-
wić ją w domu? Na tarasie pod jabłką. W ogródku na Mokotowie czuła

się przecież najlepiej. Więc po co ją niósł w te dzikie wertepy.

Obudził się i spostrzegł, że jada przez opustoszałą nocną ulicę Lublina. Halina spała. Irena już nie prowadziła wozu, a Zygą nocna jazda całkiem zaabsorbowała.

Moje kobiety, wrócił do swych myśli nie przerwanych snem. Zastanowił się, co właściwie oznaczał ten symbol; niósł Martę na rękach. Dźwigał ją.

Małżeństwo z Martą było nieudane. Nigdy nie był tym fiaskiem zaskoczony. Tak jakby spodziewał się go. Jakby przewidywał, założył z góry, że tak to już będzie. Że taką cenę zapłaci. Za co? Córka profesora, jedynaczka, rozkapryszona i przywykła do licznych adoratorów, wybrała spośród nich niespodzianie nawet dla delikwenta – właśnie Stefana. Otóż to: Marta go wybrała.

A w opinii kolegów wyszedł na łowcę posagowego. Wcale nie zamierzał się oświadczać o jej rękę. Emablował córkę profesora niejako z obowiązku asyntenckiego. Miał nawet wówczas jakieś łożkowe flirty na boku. Ale Marta go wybrała. Zaaranżowała podwieczorek imieninowy i gdy nie spodziewał się tego zupełnie, oświadczyła, że mówiła już z rodzicami. Pani profesorowa akurat częstowała go drugim kawałkiem tortu! Że więc mają zgodę rodziców. I mogą się pobrać po wakacjach. Pani profesorowa oznajmiła tonem nie znoszącym sprzeciwu, kochani moi, zamieszkacie na razie w tych dwóch pokoikach od ogródka (willa na Mokotowie). Podała mu wraz z talerzykiem, na którym leżał drugi kawałek tortu orzechowego, swą pulchną, ale jak się później okazało, twardą rękę, do pocałowania. A profesor (pantoflarz rzadkiej klasy) klepnął Stefana po ramieniu i bąknął, że w tej sytuacji będzie mówił mu po imieniu. Że nawet lubi to imię, bo miał kiedyś przyjaciela, i tak dalej, i tak dalej...

Mógł jeszcze dać wtedy drapaką. Przeżył taką pokusę, dość ostrą. A jednocześnie posłusznie włożył pod pantofel, miękki z pozoru i przytulny. Ta willa. Impresjonistyczna gra światła w ogródku. I kolacyjki smaczne, w rodzinnym nastroju. Życzliwe poparcie profesora.

Zresztą Marta odcięła mu drogę odwrotu. Był to manewr stratega. W panińskim pokoiku od ogródka odbyła się ich przedmałżeńska premiera, jeszcze przed wakacjami, na które później wyruszyli z profesorstwem do Kazimierza nad Wisłą. W ów dzień Marta wysłała rodziców do ciotki w Radości i pewna, że mają dom tylko dla siebie, sprowokowała Stefana do uwiedzenia. Odegrała dramatyczną rolę. Jej histeryczne jęki i świadomość zadawanych dziewczynie tortur, sprawiły, iż Stefan miał moment słabości. Potem górę wzięła mściwa chęć zadania bólu, skancerowania, jak mówią kolekcjonerzy, tej laleczki z saskiej porcelany.

Jak to już dawno! Zapadał głębiej w sen, pełen zwidów przeszłości. Znów Marta. Jej długi i ciężki poród, gdy i życie Ireny wisiało na włosku. Godziny spędzone w hallu kliniki. Stefan wtedy już zdawał sobie sprawę, że ten związek stał się nieudaną próbą odtworzenia tamtej miłości. Z Anną. Cudownej choroby, przebiegającej w tak wysokiej temperaturze. Czy można było przeżyć to powtórnie? Żyjąc z Martą często myślał o Annie. Masochizm. Rozdrapywanie ran. Irena miała sześć lat, gdy u Marty pojawiły się pierwsze objawy sclerosis multiplex. Więc jeszcze i nowe poczucie winy, spychane w zakamarki świadomości. Profesor-pantoflarz nie żył od roku. Pani profesorowa mieszkała w Krakowie z synem i katowała synową. Na wieść o chorobie córki zjechała natychmiast do Warszawy. Następne dziesięć lat były dla Stefana okresem pokuty czyścicowej. Za wiarołomstwo? Za zdradę Anny?

Ważne sprawy rozgrywały się poza domem. Pod jego wieczną nieobecność Irenę wychowywała, oczywiście źle, babka. Odbiło się to fatalnie na życiu dziewczyny, samowolnej, przedwcześnie dojrzałej. Martą opiekowali się najlepsi lekarze i łąsa na pieniądze pielęgniarka. Wszystkim rządziła po dyktatorsku pani profesorowa, aż po ów szczęśliwy dzień, gdy na skrzyżowaniu alej karetka jadąca na sygnale usunęła ją raz na zawsze z życia Stefana. Zwały mu się teraz na głowę rozliczne kłopoty, i może zmąciłyby nawet radość po utracie pani profesorowej, żeby nie następną kobietą,

która weszła w jego życie.

Asystentka, Halina Orzechowska, była piękną i mężczyźni oglądali się za nią na ulicy. Stefan od dawna z rozterką popatrywał na jej długie, wspaniałe nogi. Incydent z otulaniem tych nóg zdarzył się nieco później. Miał posmak zdrożny, podniecający, prawie perwersyjny.

– Moje kobiety! Szkoda, że tak szybko to spowszedniało – myśli Stefan.

Anna. Marta. Halina. Inne się nie liczyły. Aha, jeszcze córka, Irena. Inne naprawdę nie miały żadnego znaczenia.

Ciężkie, niemile przebudzenie w mijanym Rzeszowie. Neony. Pusty plac z czarno-białym w świetle reflektorów pomnikiem. I reladorm raz jeszcze wciąga w mroczną scenerię jakiegoś posępnego snu. Znow przebudzenie: niepokoje i kołatanie serca. Stoją na parkingu w sosnowym lesie. Cichy szmer deszczu. Przeblask dnia na mokrym asfalcie szosy. Na dzień dobry głośno kracze gawron na gałęzi. Dzień jakiś zgaszony, mętny. Uczucie znużenia, ból głowy. Spojrzenie na zegarek. Dochodzi piąta. Zyga grzebie się w motorze, wykręca świecę, potem przedmucha jakiś przewód. Marszczy przy tym śmiesznie czoło i z wydętymi policzkami przypomina Stefanowi barokowy maskaron. Kogóż to sobie moja Irenka wybrała? myśli ze zdziwieniem. Nic nie ma do zarzucenia temu chłopcu, prócz tego, że jest zdumiewająco obcym ciałem w ich rodzinie. Halina bała się tego związku. Podnosiła alarm.

– To ze strony Irki demonstracja – tłumaczyła. – To nie małżeństwo, a jedna z jej zgrzyw.

– Uspokój się – powiedział wtedy. – Dziewczyna ma swoje lata. Swój rozum. Nie mieszajmy się.

– Na amerykańską modłę! – buntowała się Halina. – Żeby tylko zwrócić na siebie uwagę!

– Uspokój się – łagodził – chłopak, jak chłopak. Może właśnie takiego jej trzeba?

Zamyka oczy, otula się pledem. Znow zasypia i długo muszą go budzić z głębokiego, dającego wreszcie wypoczynek snu. Najpierw wesoły głos

Haliny: Śpiochu! Czyjaś ręka szarpie za ramię. Irena śmieje się głośno. Ktoś ściąga z niego ciepły, nagrзany pled.

– Tato, chcesz przespać cały ten dzień?

Stoją na poboczu, na grzbiecie zalesionego wzgórza, drzwi samochodu otwarte, owiewa go ostre, aromatyczne powietrze. Jest jaśniej, na chwilę ustała mżawka. Za rowem, blisko, w barwach późnej jesieni znajomy las. I to powietrze: omywa, odświeża, chciałoby się wierzyć, że odmładza. Spośród drzew wychodzi Zyga. Krępa sylwetka, okrągła głowa, jak to określiła kiedyś Halina z przekąsem: „cofnięte czółko”. Uczucie sympatii dla chłopca.

Wszystko zagłusza wybuch gadulstwa kobiet. Czy zjesz co? Czy najpierw się umyjesz? Tu, w strumyku? Czy może zaczekasz do miasteczka? Już je stąd widać. Wyłazi z samochodu, rozgląda się. Tak, to znajomy las, choć i on się postarzał. Od razu cała kawalkada wspomnień. Teraz późną jesienią – inaczej. A wtedy: sierpień. Na tej łące, tuż pod lasem, z rudymi pniami sosen za plecami... Trawa wędnąca w woniach, od których głowa robiła się ciężka jak od bimbru. Wyssany z zakamarków pamięci smak tamtej chwili. Jej nastrój. Nic więcej. O czym mówili? Czy w ogóle coś mówili? Czekali na coś, co nadchodziło. Atmosfera była naładowana napięciem jak przed burzą. Dawno, bardzo dawno!

Odrywa wzrok od pól podchodzących jak dawniej stromym zboczem pod sam las. Patrzy na most, na czarną, żelazną kratownicę. Bóg raczej wiedzieć, jakim cudem ten most przeżył tyle wojen, tyle przemarszów różnych armii, ofensyw, odwrotów. Były tu jakieś bitwy. Most zamiast wylecieć w powietrze tyle razy – jakoś przetrwał. Widać tak zostało postanowione. To powiedzonko profesora Owczarczyka, który był zawsze filozofem-fatalistą. Czy może stoikiem. Stefan nie jest stoikiem, ani fatalistą. Na most nie chce patrzeć. Nie chce wspominać.

Za mostem zakręt drogi, widoczny jak na dłoni. Drzewa wyższe obecnie niż wtedy. A miasteczko jakby mniejsze, choć przybyło domów, co stąd od

razu widać. Budynki pudełkowate, dwa szkolne pawilony, prostokąt odbudowanego rynku, o barokowych fasadach, których dawniej nikt nie podejrzewał pod grzybami przybudówek i odpadających tynków. Na przedmieściach sporo domków i willi. Nie czerwone dachy czterospadowe i nie strzechy i przegniłe gonty – jak niegdyś – a płaskie to wszystko i jakby prefabrykowane.

Mimo to miasteczko zachowało swą naiwną, jakby XIX-wieczną malowniczość. Swój, sielski romantyzm. I to powietrze! Romantyzm! Tak to teraz wygląda. Ale wówczas? Cóż było tu romantycznego prócz ich młodości, wiary, nadziei? Prócz miłości? Stefan przeciąga się, otrząsa z resztek snu. Romantyzm, myśli, jakże mylne są takie pojęcia.

– Jedziemy! – mówi. – Jak znam życie, stół u doktora Kowalczuka już zastawiony.

– Umyłem się w strumyku! – Zyga ma jeszcze mokrą twarz, śmiesznie prycha. – Woda jak kryształ.

– Jedziemy – powtarza Stefan. – Wolę się golić w ciepłej wodzie. Jasio Kowalczuk na nas czeka.

Siada z przodu obok Ireny.

– Będę wskazywał drogę.

Wiatr huczy w żelaznej kratownicy mostu. Potem pierwsze zabudowania. Jakies chłopcy łążą słamazarnie pod mleczarnią. Niedzielne czy prowincjonalne tempo? Dwie furki zaprzężone w wypasione koniska. Ciężarówka pełna aluminiowych konwi.

Skręcają w uliczkę starych domków krytych czerwonym gontem. Tu się nic nie zmieniło.

– Szewska. Nawet nazwa ta sama – konstatuje Stefan.

Kaplica ojców reformatów. Stary cmentarz. Placyk z klombami i lampą jarzeniową, ho, ho! A za nim szkoła tysiąclatka, taka sama jak wszędzie, dziś udekorowana na biało-czerwono. Nad drzwiami ogromny orzeł upięty z białej tkaniny, robota fachowa, wojewódzka. Szkoła rozparła się naprzeciw barokowego kościoła i klasztoru. Kryty czerwoną dachówką murek, jak

dawniej, jak wtedy, obronnie opasuje sakralia. Jest szary. Wówczas w nocy, był od łuny czerwony, jakby schlastany krwią. Niedobre wspomnienie pełgających grozą ciemności. Dudnienie palby, krzyk kobiet. I dzwon rozkołysany wysoko na wieży kościelnej. Zanoszący się pogrzebowym wołaniem na trwozę.

– Skręcamy w prawo – mówi Stefan.

Wjeżdżają w ulicę zabudowaną „willami” miejscowej high society. Niektóre jeszcze nieotynkowane, inne o oknach jeszcze zachlapanych wapnem. Giełda gustów i upodobań. Mozaiki z kolorowych stłuczek fajansu i szkła. Układanki z kolorowych kamyków. Okruchy luster. Irena chichocze, pokazując coś tam. Stefan czuje się prawie dotknięty tą pogardą córki. Milczkiem rozgląda się. Tablica jest na furtce w tym miejscu, gdzie kiedyś stał drewniany dworek doktora Hilarego Kowalczuka. Jan Kowalczuk, lekarz chorób wewnętrznych przyjmuje itd., itd.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Stefan.

Ani śladu tamtego drewniaka. Na jego miejscu willa ogromniasta, otynkowana zbyt jaskrawo, żółto z pomidorowymi esami floresami. Zadbany, krótko strzyżony trawnik przed gankiem i szpaler róż już otulonych w chochoły. Z domu wychodzi mężczyzna w ciemnym ubraniu, wymachuje rękami w serii powitalnych gestów. Stefan wysiada z samochodu i przygląda się kumpłowi sprzed lat, zmienionemu i nie zmienionemu zarazem, tak jakby tusza, otyłość, ogórkowatość chroniły przed niszczącym działaniem upływu czasu. Bo Janek wygląda właściwie tak, jak zawsze wyglądał. Wyłysiał tylko, wypiął brzuszek, zrobił się bardziej podobny do ojca.

Nim z wozu wysiądą panie i Zyga, grubas otwiera bramę i chwyta w objęcia Stefana.

– Chłopie! – mówi. – Tyle lat...

– Czas ucieka – bąka Stefan.

Przez dwadzieścia lat nawet nie korespondowali.

– Czas? Nic mu do nas. Nie dajemy się! – mówi doktor Kowalczuk i odstepuje o krok. – A ty wyglądasz jak aktor filmowy.

– Mocno zramolały.

Całują się. Bez tego nie może się obejść.

– Myślałem, że będziesz mercedesem – mówi lekarz.

– Wolałem ciasnym, ale własnym. Sądząc po brzuszku, ty chyba też poruszasz się na czterech kółkach,

– Mam starą skodę – mówi gruby Jaś. – A brzuszek to z dobrego życia. Rozumiesz, konował prowincjonalny...

– To taki przytyk, że uciekłem do Warszawy?

– Co też! – oburza się Jasio. – A miałbyś tu ze swym talentem co do roboty? Nuże, przedstaw mnie paniom!

Szarmancko całuje rączki dam, ściska prawicę Zygi. – Co, zięć? Tę swoją nieletnią już wydałeś za męża? – Śmieje się jowialnie i zgarnia wszystkich szerokim gestem. – Proszę, proszę, w skromne progi. Czekamy, doczekać się nie możemy!

A na progu już i żona, i matka, i teściowa, i córka, tudzież dwóch młodszych, jota w jotę podobnych do Jasia chłopaczysków. Wszystko to wita warszawskich gości z rewerencją, zaciekawieniem. I zaraz każdy z przybyłych ma swego anioła stróża. Dom jest bardzo obszerny, Stefan przypomina sobie drewniany dworek przerobiony przez pana Hilarego ze starej karczmy, bezkształtny, zapadły w ziemię. Był czas, że czuł się tam jak u siebie. Stary doktor bardzo go lubił. I nawet proponował: jedźcie, chłopcy, razem na studia. Co by było, gdybym wtedy przyjął tę propozycję? Może osiągnąłbym godność kierownika sanepidu w Bochni? W myśli tej jest tyleż pobłażliwości co pogardy. Jak można żyć w takiej głuszy? Z dala od miejsc, gdzie wszystko się decyduje? Nie usiłując wyrzucić swego wpływu na przebieg wydarzeń? Chorobliwa ambicja, jakby powiedziała Halina. W Polsce każdy osobisty sukces łączy się bądź z czyjąś chorobliwą ambicją, bądź z karierowiczostwem. Kariera! – myśli – Ja wtedy już wiedziałem, że tego słowa nie należy wymawiać ze wzgardą. Kariera. Wielkie nieba!

W łaźniach – jest ich trzy – odbywają się ablucje po podróży. Potem

w gościnnych pokojach pełnych solidnych starych mebli panie poprawiają makijaż, Stefan się goli, Jaś stoi za jego plecami i wygłasza kolejny monolog:

– Tyle lat! – zaczyna od początku. – Nie traćcie was z oczu. Pilnowałem. Jak pnieś się. Trzymałem kciuki. Nawet udał mi się taki slogan: Stefan to po sześćdziesiątym siódmym roku dokonał Wielkiego Skoku. Dobrze, co? W ogóle robiłem ci tu propagandę. Szkoda, żeś stąd nigdy nie kandydował. Ale i tak, co tam, nasz chłopak, tak się tu mówi. To honor dla naszego miasteczka. A już najbardziej dla twych kumpli. Iluż nas raptem zostało? Na palcach jednej ręki. Mam chyba prawo zaliczać się do twoich eks-kumpli? No, sam powiedz, przecieżeśmy byli kiedyś, ech! Co, stary? Pamiętasz, jakieśmy razem bimber pędzili? Jak nas nakrył ojciec? He, he, pamiętasz? Stary puknął się w czoło i mówi: Nie umiecie, gówniarze, porządnego zacieru przygotować. Stary to był, co? A wiesz, jaką miał śmierć? Ludzie mówili, że sobie na nią u Pana Boga rzetelnie zapracował. Był zdrow jak rydz. Nigdy mu nic nie dolegało. Na kolację pojadł salcesonu. I ze mną kielicha strzelił. Nalewki na smorodinach. Poszedł spać. Chrapał. Rozumiesz? Chrapał, aż dom się trząsał. Przysięgam Bogu, że chrapał, wszyscyśmy słyszeli. A rano mortus erat. We śnie. Wyobraź sobie.

– Piękna śmierć – mówi Stefan, trochę zmęczony gadatliwością Jana. Zawsze był taki: papla, gaduła, pleciuch. Aż się tej jego wady w tamtych czasach obawiał. Kto wie, czy to nie wpłynęło wówczas na decyzję, żeby z nim nie jechać.

Lekarz nagle poważnieje.

– Dawniej ludzie się modlili: Od nagłej śmierci uchroni nas Panie. W młodości my też tak wdychaliśmy, pamiętasz? – (Stefan tego nie pamięta). – W tamtych czasach nagła śmierć... Co będę zresztą mówił, sam wiesz. Ale teraz, kiedyśmy już na progu starości...

– Jużemy starzy, mój drogi – poprawia go Stefan. – Próg już za nami.

– E, co też gadasz! Najlepsze jest oczywiście zdrowie aż do późnej

starości. Ale na drugim miejscu... Nagła śmierć, dobra śmierć, tak uważam, ja, konował. Lepsza niż wszystkie te dogorywania, tuziny kolejnych operacji. I reanimacje. A jak twoje zdrowie?

– Średnio – mówi Stefan i to prawda, bo Halina bardzo go pilnuje. Okresowe wizyty u kardiologa. Żadnych papierosów. Co wieczór spacer przed zaśnięciem.

– Bo ja nie narzekam – mówi lekarz i dumnie wypina brzusek. – Wątroba tylko czasem, jak sobie pofolguję. Lubisz wypić?

– Nie bardzo mogę.

– Dawniej za kołnierz nie wylewałaś. Wyglądasz, chwalić Boga, zdrowo. I w domu lekarza będziesz mógł spokojnie popić. Biorę na siebie odpowiedzialność.

Stefan nie może już powstrzymać się od tego pytania:

– Co robi stary Owczarczyk?

– Dożywa swego. Głuchy jak pień.

– No a... – zaczyna Stefan i milknie.

– Anna kwęka. Z jej zdrowiem nie najlepiej – mówi Jaś. – Prawdę mówiąc, ten Bochnia nie potrafił jej wziąć w garść.

– Przecież on nie żyje?

– Tak. Ale ja mówię o jej młodych latach. Lubiała pohulać.

– Dajmy temu spokój – mówi Stefan. Robi mu się gorzko.

Stropił się Jaś, minę ma niepewną.

– Nie wysłałem ci wtedy kondolencji... Po śmierci twej pierwszej żony...

Stefan wzrusza ramionami. Po co wspominać?

– Twoja nowa pani... Poprzedniej nie miałem zaszczytu... Twoja pani to rasowa kobieta. Gratuluję.

Rasowa kobieta! To wyrażenie doktora Hilarego Kowalczuka, mężczyźni o Halinie często tak mówią. A tymczasem ona przecież jest taka nudna...

– Jasiu, Jasiu – powiada Stefan i objąwszy; go za ramiona śmieje się. – Stara, kochana pierdoło!

– No i proszę – lekarz trochę się obraża. – A cóż ja takiego powiedziałem?

– Tylko tyle, żeś mnie zadziwił. Taki z ciebie znawca kobiet?

– A ty pewnie myślisz, że tylko wy w Warszawie się znacie – powiada Jaś wydymając policzki. – Ja tu na pięć mil wokół główny znawca. Jak się taki amorek urodzi, kto go pierwszy ogląda? Ja. Pan doktor! Jak cycuszki jej podrosną, kto je pierwszy pomaca? Ja. A potem, jak w życiu taka cizia zrobi fałszywy krok. Komu pupę wypnie, żeby sprawdzić, ciąża czy nie ciąża, ha?

– Jesteś ginekologiem?

– Omnibusem, mój drogi. Ale żaden łapiduch tu ze mną nie wygra. A już szczególnie jeśli chodzi o córeczki. Ludzie przez pamięć ojca mają i do mnie zaufanie. Dyskrecja, Dobra rada. I tylko moja pani mnie pilnuje, że bym nie został za damskiego krawca. Ech, bracie! – i nagle zmieniając intonację: – A kiedyś ty ostatni raz widział tę swoją Annę?

Niemily to akcent rozmowy. Zagalopował się Jaś, ale i połapał od razu. Zrobiło mu się przykro. Lepiej było zamilczeć, nie wspominać.

– W czterdziestym siódmym chyba – mówi Stefan.

– Tak? – lekarz ucieka z oczami gdzieś w bok, byle nie spotkać wzroku Stefana. – A myśmy się ostatnio widzieli w czterdziestym ósmym?

Istotnie był wtedy rok 1948. Stefan miał właśnie jedno z tych nie kończących się, decydujących, jak wówczas uważał, zebrań. Prowadził je i w zapale neofity, napięty, zemocjonowany, gotował się do ciężkiej walki. Wtedy właśnie, zza prezydialnego stołu, wywołano go do telefonu.

– Ponoć bardzo ważna sprawa – powiedziała koleżanka z sekretariatu. – Tłumaczyłam, że jesteście zajęci. Ale ten ktoś mówi, że to sprawa życia i śmierci. Tak jakoś powiedział: Może to sprawa życia i śmierci...

Stefan wziął z jej rąk słuchawkę.

– Maziarz przy aparacie – powiedział niecierpliwie. – Słucham, kto mówi?

Zmieniony, pokryty brzęczeniem uszkodzonej aparatury głos był trudny do rozpoznania.

– To ja. Słyszysz mnie, Stefan?

– Co za ja?

– Kowalczuk.

– Ach tak! – powiedział Stefan. Odwrócił się do sekretarki plecami i patrzył na ścienny kalendarz z wizerunkiem traktorzystki.

– Słuchaj, stary – powiedział tłumiąc irytację. – Ja teraz nie bardzo mogę!

– Musimy się spotkać – nalegał tamten.

– Nie wiem, do której tu potrwa.

– Będę na ciebie czekał. Tylko gdzie?

– No, jeśli chcesz, jeśli możesz... Ale nie wiem, czy to się skończy przed północą.

– Będę czekał.

– No to w moim akademiku. Powołaj się na mnie. Pokój trzydzieści siedem.

A potem, o drugiej w nocy, półgłosem, by nikt nie słyszał tej rozmowy prowadzonej w ciemnościach, w kącie korytarza.

Jaś: Musimy jakoś pomóc! Przecież wiesz, co to za człowiek.

Stefan: Jak ty sobie to wyobrażasz? Pomóc?

Jaś: Przecież ty masz stosunki.

Stefan: Chyba żartujesz. Stosunki? Wielkie nieba, chłopie, na jakiej ty planecie żyjesz?

Jaś: Ale pomyśl tylko. Przecież on jest kompletnie bezbronny. Jak dziecko. I takie absurdalne zarzuty.

Stefan: A skąd je znasz?

Jaś: Dowiedzieliśmy się. Wiesz. Ojciec zna dużo ludzi. I od razu pomyślałem, że trzeba o pomoc do ciebie.

Stefan: Możemy sobie najwyżej w tym ciemnym kącie pobiadolić. Ale pomóc? Nawet nie ma co próbować. Wybij to sobie z głowy.

Nie tylko dlatego, że to byłoby samobójstwem. Ale również ze względów pryncypialnych. Przecież my właściwie o tej sprawie nic nie wiemy.

Jaś: Jak to nic nie wiemy?

Stefan: Mówię przecież wyraźnie: nic nie wiemy. Nic konkretnego. Nie znamy wyników śledztwa. Ty na przykład opierasz się wyłącznie na domniemaniach.

Jaś: Podejrzewasz Dziada?

Stefan: Skądże znowu! Nie podejrzewam. Ale nic nie wiem. Brak nam wiedzy o elementach sytuacji. Mój kochany, cóż my moglibyśmy powiedzieć w tej sprawie? Że bardzo lubiliśmy tego człowieka?

Jaś: Lubiliśmy? Już mówisz w czasie przeszłym?

Stefan: Nie łap mnie za słowa. Wiesz, co miałem na myśli.

A potem przez długie lata irytacja na samo wspomnienie tej rozmowy. Boże, co za bałwan! Jak on mógł żądać ode mnie czegoś takiego. Jak on to sobie wyobrażał? Ze co ja mogę? I z goryczą: Przecież byłem wówczas pętkiem. Dopiero terminowałem. Nikt się ze mną wtedy jeszcze nie liczył.

Dlatego i teraz nastrój jakby słodko-kwaśny. Chociaż dla niepoznaki dużo uśmiechów, serdeczności. Pani doktorowa to pulchna, blond-różowa belle femme. Stefan może wyobrazić ją sobie sprzed lat trzydziestu: wiochna, z mamusią na karku, obliczającą, ile to wart jest stary doktor Hilary ze swą odwieczną, szeroką praktyką. A dzieci? Irena już zaprzyjaźniła się ze swą imienniczką, której trzykrotnie nie powiodły się egzaminy na ASO w Krakowie, mimo takich i owakich zabiegów tatusia. Chłopcy już rozszyfrowali Zygę i gapią się wzrokiem pełnym uwielbienia. W jadalni zastawionej biedermajerowskimi meblami, które Stefan pamięta z najdawniejszych lat, stół ugina się pod półmiskami szyneczki i poledwiczki, rybki w galarecie, serka i miodku (to pani doktorowa ma zwyczaj zdrabniać piśszcztliwie wszystkie rzeczowniki). Kawusia prawdziwa lub czeska, jeśli ktoś woli, ze śmietanką. Ewentualnie angielska herbatka.

– Będą wszyscy zapowiadani goście – mówi Halina. – Pani doktorowa właśnie mi wyliczyła, kto potwierdził swój przyjazd.

– Trzeba było opracować jakiś... jakiś protokół dyplomatyczny.

– Jeżeli już mowa o dyplomacji. Wypadnie nam się pośpieszyć. – Lekarz spogląda na zegarek. – Początek uroczystości za godzinę. Byłoby niezręcznie...

– Oto czym się różni wasze życie od naszego. – Stefan sam się dziwi, że stać go na taką obłudę, bo życie tu, w tej dziurze, wydaje mu się nie do zniesienia. Jałowe, nudne. Ale trzeba brnąć w te nieszczeroci: – Wy tu, u Pana Boga na zapiecku, uważacie, że się śpieszycie, jak na śniadanie macie godzinę. A my tam, w tym piekle...

– ... cywilizacji – uśmiecha się Halina, tak jakby brała udział w amerykańskiej kampanii wyborczej.

– ... w tym kołowrotku – poprawia Stefan – cieszymy się, jak mamy na śniadanie dziesięć minut!

– Przesada – krzywi się Irena. – Niech tato mówi za siebie. Tak dobrej szynki nie jadłam od Bóg wie jak dawna.

– No i taka nasza, prowincjuszy, wygrana! – rozpromienia się Jaś. – Czas mamy na własność. Nie to co wy. Ledwie wam w pacht oddany. Lepszy u nas chleb. Lepsza szyneczka. I nalewka własnej roboty. Komu kropelkę?

Śniadanie – wędlinki, rybka, śledziki, nalewka, wszystko to jakieś niedzisiejsze, jakby tylko co wydobyte ze spiżarni gościnnego starego domu doktora Hilarego. Wielkie żarcie trwa trochę zbyt długo, póki Halina nie wykrzyknie ostrzegawczo:

– Która to już godzina?

Teraz doktorostwo w pośpiechu słuchają wyjaśnień, że Zyga musi pobiegać w lesie, taki obowiązek, sprawa kondycji, bo jest przed mistrzostwami. Jeszcze w czasie śniadania pani doktorowa dowiedziała się, że zięć Stefana jest bokserem. Zdumiała się, zrobiła okrągłe oczy. Chłopaki zaczęli się dopraszać, że wezmą udział w treningu. Irena miała kłopot, by im to wybić z głowy.

Po drodze do szkoły, gdzie uroczystości miały się lada chwila zacząć, Jaś dał upust żalom. Choć to on był inicjatorem uroczystości. I wmurowania tablicy. Choć więc wszystko to on zainicjował (mówi to śmiesznie, płaczkliwie, co go o lat trzydzieści odmładza). Choć przepchał pod prąd taką myśl. Taką inicjatywę! Potem sprawę przechwyciły miejscowe kacyki. Ludzie na rym terenie całkiem nowi. Dokooptowano pro forma różnych działaczy ze szczebla wojewódzkiego. Tamci, obcy, będą grali pierwsze skrzypce. A ich, sól – rzecz można – tej ziemi, potraktowano ledwie jako gości. Zaproszonych gości.

– Tak, tak! Jestem taki sam zaproszony gość, jak i ty – biada Jaś. – Nie pisałem ci o tym, bom się bał, że nie przyjedziesz. Wszyscy inni nasi też tylko zaproszeni goście. Rozumiesz? Gdybyś nie przyjechał, to ja bym w ogóle dziś tam nie szedł. Ambicja rzecz ludzka. Przyszło nam na to, żeśmy zaproszeni na nasze własne wesele.

Przed szkołą mimo mżawki zebrał się tłum. Stefan rozejrzał się za telewizją. Dostrzegł znajomego reportera, pozdrowił go ruchem dłoni. Dziennikarz ukłonił się czołobitnie. Tratując klomby ustawiała się wojskowa orkiestra. Ściągano spiesznie futerały z połyskujących instrumentów. Na widok lekarza i idącego z nim siwego, wysokiego mężczyzny ludzie dali przejście. Przeleciał szmer, potem zrobiło się cicho. Jaś popchnął Stefana przed sobą ku grupie korpulentnych czterdziestolatków w cywilu i w mundurach. Zaczęły się powitania. Notable traktowali Stefana z przesadną atencją. Otoczyli go ciasnym wiankiem. Przedstawiali się wymieniając dobitnie nazwiska. Zaczęły padać takie określenia jak „nasza warszawska znakomitość” „tutejszy rodak, który zaszedł tak wysoko”, czasem inne, na siłę żartobliwe: „nasz człowiek w Warszawie”, „nasze szerokie w Warszawie plecy”. Bijąc przed Haliną pokłony, całowali jej dłoń. Stała przy Stefanie jak żołnierz na honorowej warcie i uśmiechała się jak ze zdjęcia reklamowego – to jest to, Coca-Cola.

Z tłumy wypłynął redaktor telewizji. Stefan z kwaśnym podziwem spoglądał na jego uniform. Spodnie z teksasu wpuszczone w frymuśne wysokie

buty. Skórzana kusa kurtka koloru buraczków. Czapeczka przypominająca kolarzy z epoki Dynasów. Taki strój robił wrażenie na tutejszych mężczyznach nienawidzących swych świątecznych, oficjalnych garniturów.

– Wszystko okay! – relacjonował redaktor. – Już zdążyłem zrobić i klasztor, i ten most. Bardzo mi pomogła rozmowa z państwem.

– A pogoda? – spytała z powątpiewaniem Halina. – Nie przeszkadza? I będziecie kręcić na dźwięk? Stuprocentówką?

– Oczywiście – powiedział tamten i Stefanowi wydało się, że zrobił do Haliny oko. – A jeśli idzie o obraz, przefiltrujemy. Te chmury nam wtedy zagrają. Atmosfera grozy. Wyobraża to sobie pani?

Halina nadal robiła słodkie oczy do telewizyjnej znakomości, a Stefana zaanektował jakiś zdyszany grubas. Zapowiedział, że potem, to znaczy, po części oficjalnej, muszą pomówić o ważnych sprawach. Bardzo o tę rozmowę prosi. Stefan pokiwał głową. Będzie mnie nudził, pomyślał, przygotowany, że jego bytność w miasteczku pociągnie za sobą takie konsekwencje. Tamten ucieszył się i zamilkł. Halina, wreszcie porzucona przez faceta z telewizji, szeptem zapytała:

– Kto to?

Stefan uniósł w odpowiedzi oczy ku niebu.

– Skąd ja mogę wiedzieć? Mówią do niego towarzyszu sekretarzu. Może to ktoś ważny? Cóż ten chłystek z telewizji chciał od ciebie?

– Chłystek? Dlaczego chłystek? To kulturalny i sympatyczny człowiek – powiedziała. I znów uśmiechnęła się promiennie.

Jakby nie dosłyszał jej słów. Rozglądał się za znajomymi. Przede wszystkim wypatrywał Anny. Teraz wyraźnie czuł, że boi się tego spotkania. Był zmęczony po całonocnej podróży, nalewka doktora trochę go podciągnęła, ale wystarczyło przymknąć oczy, by Wyraźnie zdać sobie sprawę z tego przykrego, wywołanego chyba emocją uczucia osuwania się: jakby

tracił siły i pewność siebie. Przejściowe miasteczko było znów tamtą miejsciną z czterdziestego trzeciego. Okupacyjne wspomnienie nabierało mocy. Tyfus złapany w podróży. Stefan leżał w wykrochmalonej nocnej koszuli profesora Owczarczyka, na sienniku wypchanym twardo słomą, gorączkował i raz po raz stawał na progu śmierci. Dnie przygasłe, zasnuwane deszczem, kojarzyły się, gdy odzyskiwał przytomność, z Zaduszkami. Było mu obojętne, czy wyżyje. Anna nachylała się nad nim. Ileż to razy, wtedy i potem, była jego pielęgniarką? Czuł dotknięcie jej chłodnej dłoni na czole (gorączka; potem przekonał się, że Anna ma dłonie suche i gorące nawet w najostrejsze mrozy).

Anna! Niełatwo po latach orzec, kto wydał wyrok na ich miłość. Dość to śmieszne i naiwne: szukać po tylu latach winnego. Bo i różnica w społecznej hierarchii – on teraz na górze, Anna gdzieś bardzo nisko. To podkreślało, jak przegrane jest jej życie. Jak odmiennie potraktował ich los. On, lot ku górze. Wzbijanie się. Wyżej i wyżej. I ona tu, w tych żalonych dołach. Różnica, której nie da się zatrzeć. A może tylko ja tak to odczuwam, pomyślał. Jestem przewrażliwiony.

Sekretarz coś szeptał do ucha, a Stefan nie słuchał, nie mógł oderwać się od tych myśli. Obiecywałem... Czy istotnie obiecywałem? Anna musiała czuć się zdradzona. I jeszcze to małżeństwo z podstarzałym Bochnią. Mogła po naszej miłości wchodzić do jego łóżka? Przyjmować jego pieszczoty? Rodzić mu dzieci? Powinna była walczyć. Pomóc mi, gdy miałem – jak to nazwać? – chwilę słabości. Gdzie jest teraz? Jak wygląda? Wspomnienie tamtej dziewczyny, zawsze radosnej, z włosami rozwianymi na tych ostro tu wiejących podgórskich wiatrach, pamięć promiennych oczu i spojrzenia, jakim go kiedyś witała – sprawiały ból. Raz jeszcze pomyślał gorzko, że małżeństwo z Martą nie miało sensu. Że i on zapłacił wysoką cenę. A nawet – że to jego nieudane małżeństwo było z winy Anny: pozwoliła mu odejść. Potem wyszła za męża. Powinna go była zatrzymać. Powinna była narzucić

mu swą wolę. Byłem młody, co wiedziałem o życiu? Anna ma teraz ponad pięćdziesiąt lat, zmieniała się zapewne nie do poznania. Przez chwilę szukał jej wśród kobiet wyglądających na tutejsze. Wśród starych bab. Odgadywał, w którą to pomarszczoną, bulwiastą twarz czas zmienił zachwycający go kiedyś owal, migdałowy wykrój oczu, usta, może nieco zbyt zmysłowe.

Nagle pamięć zaskoczyła go obrazem wyrazistym i jarzącym się kolorami. Była wiosna. Późne popołudnie. Okno na facjatce otwarte. Wiatr raz po raz łopotał firanką z wyblakłego kretonu. Anna naga, z włosami, które spływały po plecach, nagle dźwignęła się z łóżka (leżała od ściany). Było ciasno, niewygodnie. Na czworakach przeczołgała się nad nim. Przez moment czuł na twarzy jej gorącą pierś. I zapach, który tak lubił. Potem, stanąwszy na podłodze, w tym skośnym blasku, szybko przyskoczyła do okna. Przez sekundę jej piersi o wielkich ciemnych sutkach, płaski brzuch i trójkąt złotych włosów podbrzusza znalazły się w blasku zachodzącego słońca. Zatrasnęła okienko. Szczęknęła zasuwka. Teraz, unosząc ręce, zaciągnęła firankę. Zgąsło ostre światło. Zrobiło się mleczno, opalizująco, pastelowo. Znow była tak blisko, że policzkiem dotykał jej uda.

– Mógł nas ktoś zobaczyć ze ścieżki.

– Boisz się?

– Niczego się nie boję.

Wstąpiła na łóżko. Nie zginając nóg w kolanach przeszła nad nim. Świadomie bezwstydna, cudowna, nieporównana. Jakże ją wówczas kochał! Gdzie tam było do niej Marcie czy nudnej w istocie Halinie.

Dlaczego więc na przekór tej miłości wybrał wówczas Warszawę? Dlaczego nie pociągnął Anny za sobą?

Wśród postarzałych kobiet nie odnalazł twarzy przypominającej jego Annę. Natomiast w drugim rzędzie dostrzegł pana Dziaduszyckiego. Dał znak ręką. Dziaduszycki spoglądał zbaraniałym wzrokiem i nagle w pośpiechu zdjął kapelusz. Ukłonił się. Stefan obok niego ujrzał inwalidzki wózek i Bolka Litwina, dziwnie nie zmienionego, choć już siwego, pochylonego

nieco do przodu, tak że wyglądało, jakby chciał oprzeć głowę na własnych kolanach.

– Będziecie chyba, towarzyszu, przemawiać? – zapytał półgłosem sekretarz. – Wszyscy na to czekamy.

– Ale nie pierwszy! – zastrzegął się Stefan. Tylko on stwarzał pozory, że jest dziś tutaj osobą prywatną. Dla innych persona grata.

– Tak, tak, ma się rozumieć – powiedział tamten. – Najpierw gospodarze.

Za mównicę służył najwyższy stopień schodów wejściowych. Wstąpił nań młody mężczyzna.

– Dyrektor szkoły – poinformował szeptem sekretarz.

Tamten poprawił źle zawiązany krawat i głosem, w którym słyszało się tremę, powitał gości – z ukłonem – łaskawie przybyłych na naszą skromną uroczystość. Wymieniał tych gości długo, z kartki. Stefana oczywiście jako pierwszego. Z dodatkiem „naszego kochanego”. Przy tym określeniu głos mu wyraźnie się nadłamał. Schował wreszcie kartkę do kieszeni i poprosił towarzysza wojewodę a odsłonięcie tablicy i wygłoszenie przemówienia.

Wojewoda wykorzystał okazję, przemawiał długo, kwieciście. Zaczynał od historii. Potem, świadom tego, że większość zebranych to ludzie młodzi, przeszedł do teraźniejszości. Ukazał ją zrazu w pawich kolorach. Potem podmalował ten obraz wyraziście litanią aktualnych trudności. Uzyskał wcale zręcznie efekt światłocienia, co z kolei pozwoliło mu spojrzeć w przyszłość i było to oczywiście spojrzenie przekonywająco optymistyczne.

Stefan w tym czasie zaszedł od tyłu dyrektora szkoły. Położył mu rękę na ramieniu i szeptem, do ucha, spytał, czy stary profesor Owczarczyk jest gdzieś tu, w tym tłumie?

– On już nie wychodzi z domu – powiedział belfer. Popatrzył na pytającego ze zdziwieniem i zmusił się do demonstracyjnego współczucia. – Co robić, wiek!...

– Tak, tak – przerwał mu Stefan. – A jego córka?

– Pani... pani Bochnia? – zastanowił się dyrektor i rozejrzał po tłumie.

– Jakoś jej nie widzę. – Powiedział to niepewnie i Stefan domyślił się, że pedagog może i nie zna podstarzałej, od paru lat już nieuczącej koleżanki.

W tym momencie huknęła orkiestra. Poderwały się wrony z drzew i dzwonnicy. Wojewoda pociągnął szarfę. Biało-czerwona, namokła od deszczu, zwisła ciężko wzdłuż ściany, odstłoniła tablicę z kieleckiego marmuru z orłem, datą, nazwiskiem i jednozdaniowym opisem tamtego wydarzenia.

– Kiedy rozmawiałeś z tym belfrem, wojewoda akurat mówił, jaki z ciebie bohater – szepnęła do męża Halina.

– Pamiętasz, co mówił? – Zaśmiał się cicho. – Chciałbym zobaczyć mi-nę Żmudzińskiego, jak to będzie oglądał w telewizji...

Halina nie zdążyła czegoś dopowiedzieć, bo sekretarz lekko popchnął go ku schodom.

– Teraz wasza kolej, towarzyszu!

Stefan wszedł na najwyższy stopień.

Od razu doskoczył znajomy reżyser popychając przed sobą operatora z przenośną kamerą. Oślepiły reflektory jodowe. Telewizyjny znajomek dyrygował półgłosem:

– Teraz niżej! Perspektywa żabia? Plan amerykański! I najazd, najazd! Do pełnego kadru!

Stefan zaczerpnął głęboko powietrza. Nad głowami tłumu widniał znajomy, stoicko niezmienny, nie poddający się działaniu czasu masyw barokowych kopuł, wież, fasad. Zawiał ostry podmuch. Powietrze też było takie jak dawniej.

– Most między dawnymi, a nowymi laty... – zaczął. Do tej pory nie obmyślił, co mu wypadnie powiedzieć. Odmłodzone, całkiem nowe, a tak dobrze znane miasteczko! Wówczas, przed trzydziestu laty, zmienione w rumowisko. Jak pięknie zieleniło się wiosną! A jak odurzało powietrze tego pogórza. Wiara, nadzieja, miłość! To młodość takie ma imiona. Życie ludzkie nie było warte jednej kuli. W ruinach gnieździł się głód, tyfus. Zawleczona tu przez kozacki trek ospa. Nikt się nie bał tych jeźdźców apokalipsy.

Nikt z młodych. Nie można było uwierzyć w taki absurd jak własna śmierć. Ten przejmujący spektakl był tak wyreżyserowany, że nie mógł się tragicznie zakończyć. Jak to opowiedzieć?

Część artystyczna odbywała się w sali gimnastycznej szkoły, specjalnie na taką okazję przystosowanej i udekorowanej. Stefan wraz z Haliną usiadł w środku pierwszego rzędu, wśród wojewódzkich notabli. Fotoreporterzy błyskali fleszami. Operator telewizji dał znak pomocnikom, którzy lampami jodowymi oślepiali po kolei, najpierw Stefana i wojewodę, potem osłupiały, mrużący oczy tłumek wypełniający salę. Scenka, osłonięta aksamitną kurtyną, kipiała utajonym ruchem. Dyrektor szkoły z przekrzywionym krawatem i zmierzwioną czupryną dwoił się, by właściwie rozsadzić gości i raz po raz zaglądał za kurtynę, rzucał jakieś rozkazy.

Stefan rozejrzał się. Jednocześnie ujrzał reżysera telewizji znów wkraczającego do akcji i w dalszych rzędach tutejszych „zaproszonych gości”. Poprosił wojewodę, by zaopiekował się na chwilę Haliną.

– Z największą przyjemnością zostaną sam na sam z waszą piękną panią – wysilił się wojewoda na komplement.

Halina miała dobry dzień, przypominała którąś z filmowych aktorek francuskich, chyba Jean Moreau. Emanowała czarem kobiety mądrej doświadczeniem bogatego życia. Uśmiechnąwszy się „po amerykańsku” i rzuciwszy mężowi promienne spojrzenie (takie sztuczki nie były jej obce), zabrała się do uwodzenia.

Gdybym tkwił tu, w tej mieścinie... Stefan, przeciskając się przez tłum, wyobraził sobie swój udział w dzisiejszej uroczystości, jeśliby w taki sposób potoczyły się jego losy. Należało stąd uciekać, wiać! Siedziałbym gdzieś tu. Księgowy w tutejszym geesie. Albo nauczyciel, belfer zadreżczony przez gówniarzy i umierający ze strachu, jak wypadnie występ przed tak dostojną widownią.

Wczuł się w możliwość tak okropnej sytuacji, takiej życiowej plajty i zarazem przypomniał sobie wyborcze chwytty Kennedy'ego, Johnsona,

Cartera. Jeśli już tu przyjechałem, męczyłem się całą noc, grajmy tę rolę do końca! Grajmy to w wielkim, nie widzianym tu nigdy stylu! Operator telewizji dawał jakieś znaki. Znów to bezlitosne, białe światło. Stefan stał przed Bolkiem Litwinem. Inwalida, ujrzawszy go, zachnął się, wyprostował na swym wózku, szarpnął głową do tyłu jak znarowiony koń.

– Poznajesz mnie? – spytał cicho Stefan.

Otaczało ich mnóstwo ludzi, którzy z zainteresowaniem śledzili każdy ruch warszawskiego gościa. Pochylił się, by nadać rozmowie cechę intymności. Oparł oburącz o poręcze wózka. Dłonie jego dotknęły rąk inwalidy.

– Pamiętasz mnie?

– Głupie pytanie – powiedział Litwin.

Terkotała kamera, reżyser miał minę ekstatyczną, wniebowziętą z zachwyty.

– Tyle lat – powiedział Stefan i westchnął. – Jeśli pozwolisz, to popchnę twój wózek tam, do przodu.

– Za wielki honor! – mruknął Litwin.

– Chłopie! – powiedział Stefan.

Jakoś przycichło, ludzie się rozstępowali, wylawirował wózek z tłumu, przepchnął go bokiem, pod oknami, przejściem zatłoczonym przez z krakowska poprzebieraną dzieciarnię.

I spojrzął z bliska, prosto w twarz Litwina. Jacy jesteśmy starzy, pomyślał ze zgrozą.

– A może ja nie chcę? – prawie krzyknął Bolek.

Stefan nie zwrócił uwagi na ten protest. Gdy wózek stanął przed pierwszym rzędem krzeseł, zjawił się zaraz dyrektor szkoły.

– Nawet chcieliśmy... – zaczął się tłumaczyć.

– Lepiej niech pan tu postawi jeszcze parę krzeseł – przerwał Stefan.

Dalej wyławiał z tego tłumu zapoznanych, oślepionych reflektorami „zaproszonych gości” – bohaterów: pana Dziaduszyckiego, Jasia Kowalczuka, starego organistę, który zupełnie ogłuchł, ale niezłe się jeszcze trzymał. Sadowił ich tak, jakby to on, przybysz z dalekiej Warszawy, był tu

gospodarzem. Dyrektor szkoły pomagał, speszony i chyba wystraszony. Stefan do wojewody, obracając rzecz w żart, powiedział:

– Towarzysze wybaczą to nasze kumoterstwo.

Tamten odpowiedział, że to radość widzieć taką wierność przyjaźni i tradycji. I taki demokratyzm.

Halina uważnie śledziła, co się dzieje, gdy Stefan demonstrował to nie-liczenie się z konwenansami, taką młodzieńczość, żarliwość serca, wierność dawnym przyjaźniom. Znajomy pan z telewizji zerwał z głowy swą śmieszna czapeczkę i zamachał nią na znak, że dość! Zgasły jody. Operator zdjął z ramienia kamerę. Wtedy Stefan usiadł ciężko obok Bolka Litwina. Umilkł. Bardzo go to zmęczyło. Nie jestem aktorem, pomyślał. Inwalidzie twarz dziwnie się namarszczyła. Nachylił się, jakby chciał coś powiedzieć, ale kurtyna poszła w górę i zaczęły się przydługie występy.

Siedzieli blisko sceny, tak bezpośrednio w jej akustycznym kręgu, a zarazem tak na oczach wszystkich zebranych (a było tego ze trzysta osób), że rozmowę trzeba było zostawić na później. Obserwował dawnych przyjaciół. Jaś był nadęty, obrażony. Może i o to, że ich zdradziłem, pomyślał Stefan. Że w tamtych pierwszych po wojnie latach zerwałem wszystkie związki. Że zawiodłem w sprawie Dziaduszyckiego (tak jakbym wówczas mógł coś w tej sprawie zdziałać!).

Pan Dziaduszycki natomiast doznawał wielkich przeżyć. To była chwila zadośćuczynienia. Nie wydawał się „cięty”. (Takie tutejsze określenie. W czasie śniadania Jaś powiedział tak właśnie: Dziaduszycki to był na ciebie cięty.) Jeśli tak było – minęło. Natomiast Bolek Litwin? Inwalida patrzył przed siebie, znów nisko zgarbiony. Wózek miał dobry, czeskiej produkcji, który Stefan pomógł w ubiegłym roku załatwić. Obyło się bez słowa podziękowania. A wzroku Stefana inwalida unikał.

I nagle pod akompaniament chóralnego śpiewu à la *Dziś do ciebie przyjść nie mogą* Stefan poczuł, że niezbyt go tu, w tym miasteczku, lubią.

Może podziwiają. Ale nie lubią. Dlaczego? Najłatwiej było odpowiedzieć, że to nic dziwnego. Że to naturalne. Że mu zazdrozczą. Ale było coś jeszcze: przeżarte rdzą czasu pretensje. Nieuzasadnione. A może zasadne? Wszystko jedno, czyż to ważne, myśli Stefan. Dotyczyły chłopca niedoświadczonego, zaskoczonego przez wydarzenia. Jak każdy, miałem prawo do błędu. Do amnestii. Do zrozumienia.

Lecz nie trzeba było tu przyjeżdżać. Obeszłoby się beze mnie! O to mogę mieć pretensję do Haliny. Bzdura. Sam zadecydowałem. I po co w kółko robię te remanenty? Po co mi ta ekshumacja przeszłości?

Na scenie młodzież z najstarszych klas odgrywała naiwne scenki, które miały być obrazem ich losu. Losu miasteczka. Dyrektor szkoły prawie na czworakach, by nie zasłaniać miłym gościom, podbiegł do Stefana i wyjaśniał szeptem, że napisali ten dramatyczny utwór członkowie kółka literackiego pod kierunkiem pewnego literata z Wojewódzkiego Koła Pisarzy Wiejskich. Niestety, ów literat złapał jak na złość grypę i nie mógł przybyć. Jak się towarzyszowi podoba?

– No... bardzo. Bardzo dobre! – powiedział Stefan. I nieco głośniejszym głosem, tak, że usłyszeli to i sekretarz, i wojewoda: – Macie świetną młodzież! Można jej wam pozazdrościć.

Nastąpiły sceny pirotechniczne. Helena zatykała oburącz uszy. Stefan, wiedziony impulsem, położył dłoń na suchej, kościstej ręce Litwina. Przybrał taką samą pozę jak Litwin. Pochylił się do przodu, podparł policzek kulką, przymknął oczy. Przywołał raz jeszcze tamten czas. Jak to było naprawdę? Owej zimy Rosjanie utknęli pod przełęczą Dukielską. Tu, w tym podgórzu wśród wypalonych wsi i zburzonych miścin, panował niewiarygodny chaos, walka wszystkich z wszystkimi. Banderowcy. Bandy własowskie. Rozmnożeni przez wojnę zwykli bandyci. Nienawidzący się wzajem Polacy. Któż mógł odróżnić polityczne odcienie? Różnorakie upierzenie drapieżnych ptaków krążących po chmurnym niebie, spadających nagle na upatrzoną ofiarę.

Jak było naprawdę?

Tamten dzień biało-czarny, zasnuty zadymką. O zmroku od strony Przemyśla przygalopował chłop na odkrytej pianą szkapie. Krzyczał: Ludzie, ratujcie się, idzie banda! Ksiądz proboszcz, młody, fanatyczny konspirator, już szarpał sznur dzwonu. Było jak przed stuleciem, gdy nadciągała czerń. Groza. Poczucie bezsiły. Banda liczyła ponoć tysiąc ludzi! Spadły w ciągu tego tygodnia ogromne śniegi. Wschodni mroźny wiatr targał konarami drzew. Stare kasztany i klony wewnątrz murów monasteru trzeszczały i pojękiwały. W zadymce ginęły szczyty drzew, nikt zresztą głowy nie unosił, bo zamieć oślepiła i zginała ku ziemi. Mrok. Kłębienie się śnieżycy. Jęk dzwonu. Żółte światła w ostrołukowych wąskich oknach kościoła. I blaszany jęk dzwonu.

Stefan leżał na swej pryczy, Anna siedziała w nogach, otulona kocem. O czym wtedy mówili? Gdy uderzył dzwon, skoczyli do okna. Z obydwu przedmieść czarne sylwetki już nadbiegały do bramy klasztoru. Ludziska ciągnęły na powrozach konia lub krowę. Dzwon ponad huk tej burzy coraz donośniej wołał na trwogę.

W trójkę – ze starym Owczarczykiem – objuczeni jakimiś tobołami, pobiegli wykopami w zaspach ku bramie oświetlonej płonącym łuczywem. Na podwórku klasztornym rozdzielił ich tłum. Anna z ojcem zniknęły w krążgankach. Stefan natknął się na Grubego Kowala.

I oto stoją osłonięci od wiatru niskim murem. Plutonowy, komendant posterunku milicji, zwany Kuternogą, przyparty plecami do oblodzonych głązów muru. W uszance podwiązanej pod brodą, w kozuchu, z pepeszą na piersiach, wygląda jak ruski piechur. Dopadł go ksiądz, jakby jeszcze wyższy niż zwykle. Oburącz szarpie za wyłogi płaszcza.

– Kapitan poprowadzi obronę! – grzmi basem cerkiewnego diaka. Słyszą to wszyscy mężczyźni otaczający ich ciasnym kręgiem. – Tak będzie!

– Co mi ksiądz rozkazuje! Nie ma żadnego kapitana! – buntuje się plutonowy. – Ja tu dowodzę!

– A rozkazuję! Właśnie rozkazuję! – woła ksiądz. – I zaraz mi tu podporządkować się! Dowodzi kapitan!

Kapitan to pan Dziaduszycki. Gdy jesienią wzywano podziemie do ujawnienia się, kiedy na placyk przed klasztorem zjechało auto pełne agitatorów, żołnierzy PKWN-u i robotników z Rzeszowa, pan Dziaduszycki oczywiście nie ujawnił się, nawet nie wyszedł z kantorku tartaku.

Jakaś luka we wspomnieniach, nim zjawi się w nich ów wpół żywy ze zmęczenia i strachu chłop. Odpluwając krew, opowiada, co się zdarzyło. Ledwie o osiem kilometrów stąd. Cudem – powtarza. – Sam nie wiem, jakim cudem? Uskoczyłem za chlew. Potem ze stajenki szkapę. I nie drogą, a prosto w las. Bokiem. We wsi rzeź. Mordują, kogo w ręce dostaną! Chłop płacze. Wypija jeszcze jedną szklanekę samogonu. Zachłystuje się. Odpluwa czarny skrzep krwi. Znosi się kaszlem. – Wszystkich mordują – powtarza. – Wilki. Dla nikogo litości. Trupojady. Nic, że kobieta. Nic, że dziecko. Ścierwożery. Dla nikogo zmiłowania. Powtarza to w kółko i wszyscy to słyszą.

Plutonowy mamroce do księdza, że podporządkowuje się. I pan Dziaduszycki wciela się w nową postać, by odegrać rolę obrońcy miasteczka. W wyszarzałej kurtce i narciarskiej czapce, nagle z buchaltera zmienia się w dowódcę. I już jest jakby wyższy, głos jego wznosi się nad jęki dzwonu. I twarz mu się zmienia: w poblaskach i dalekiej łuny, i migotliwego światła padającego z witrażowych okien, w czerwonym świetle rzucanym przez płonące łuczywa pan Dziaduszycki ma raptem twarz ni to Skrzetuskiego, ni to Kmicica. Tak przynajmniej wydaje się wówczas Stefanowi.

Pierwszy rozkaz. Obstawić mury. Zwalić pod nie sągi drzewa. To będą stanowiska erkaemów. Bo jest broń: niemieckie breny wynoszone ze skrytki pod dzwonicą. Ruskie diegtiarowy z posterunku MO. Dwa maksymy, które galopem, mimo zasp, przyciąga do klasztoru skądś – chyba z rozwalin ryneczku – paru młokosów. Broni jest dużo. Był rozkaz zdać ją, ale to niczyja własność. Spuścizna wojenna. I dobrze, że jej nie zdali...

Już pełno krów i koni na klasztorным podwórku. Chłop, którego rozbię-
ra wypity samogon, wyciera szkapę wiechciem słomy i opowiada wciąż to
samo, w kółko, bełkotliwie i z rozpaczą, kobietom cisnącym się zewsząd,
by na własne uszy poznać prawdę: Może ich tam jest ze trzy tysiące. Czerni.
Chcą się przebić do Niemca. Muszą przejść tędy. Nie mają innej drogi.

To złe wspomnienia.

Stefan prostuje się. Jest mu duszno. Wraca do terażniejszości. A na sce-
nie zbiorowe deklamacje i śpiewy chóralne. Dłuży się ta część oficjalna, jak
zawsze. Wojewoda ukradkiem ziewa. Szepce coś do ucha sekretarzowi. Ten
rozkłada bezradnie ręce. Dyrektor szkoły to dostrzega. Widać po nim, jakie
to ciężkie, zawałowe przeżycie.

Stefan nachyla się do Bolka.

– Nie odpisałeś na mój list.

– Chodzi o podziękowanie? – chrypi Litwin.

– Co ty opowiadasz!

– Bo ja w każdej chwili... Choćby zaraz – mówi tamten. – Wyjadę pod
scenę i powiem, że ja, Bolesław Litwin, jak mnie tu znają, a znają, i to do-
brze, że ja serdecznie dziękuję łaskawemu...

– Przestań! – Stefan jest zaskoczony tą nieoczekiwaną agresywnością.

– To po co sam zaczynasz? Żeś niby taki łaskawca?

Siedzący tuż za nim doktor czuje, że musi się natychmiast wmieszać.
Przesuwa swe krzesło odpychając nieco wózek Litwina.

– Bolek, ty wiesz chyba, jak ma się stary Owczarczyk?

Tamten łypie podejrzliwie okiem.

– Zdycha pomału – znów pochylony nad swymi kolanami wbija wzrok
w czubki butów. – Po co pytasz? Przecież go leczysz.

– Ja mam z tym Bolkiem życie!

Lekarz klepie Litwina przyjacielsko po ramieniu. Wszystko to chytry
manewr, chce gniew inwalidy (czym, u li? cha, wywołany?) wziąć na sie-
bie.

Ktoś za ich plecami syknął. Umilkli. Stefan raz jeszcze rzucił spojrzenie na towarzyszy młodych lat. Postarzałe, żeby nie powiedzieć, zramolałe relikty przeszłości. Pan Dziaduszycki, w prastarym, schludnym i świeżo odprasowanym garniturku. Z miniaturką krzyża i odznaką ZBOWID-u w klapie. Groteskowy stary sęp (w jakiś szczególny sposób przypomina tego drapieżnego ptaka), z ulizaną, szpakowatą czuprynką przeciętą, jak niegdyś, nieskazitelnym rozdziałkiem. Z twarzą, na której skóra zeschnęła się jak pergamin. Pan Dziaduszycki, w latach okupacji nazwany przez nich, młoko-sów, Dziadem. Skrupulatny, pedantyczny buchalter. I budzący respekt autoritet. obrońca miasteczka. Postać heroiczna, a nawet legendarna. Z bliska widziany: człowiek raczej śmieszny, figura małomiasteczkowa.

W ostatnich latach jedyny łącznik między Stefanem a tym miasteczkiem, między dawnymi a nowymi laty. Otóż właśnie on tamtej nocy – to bohater i obrońca. A wkrótce potem, oskarżony w sprawie jakiejś podziemnej organizacji. Po roku 1956 zrehabilitowany i nawet ułagodzony jakimś „rehabilitacyjnym”. Teraz emeryt wygłaszający w okolicznych szkołach prelekcje. Od czasu do czasu, nie częściej niż raz w roku odprawiający odwiedziny u Stefana. Przy takich okazjach w czasie kolacji zawsze te same, zdawkowe komplementy pod adresem pań. Na odchodne klepięcie Stefana po ramieniu poufałym gestem ze słowami, które brzmią jak cytat czy jakieś zaklęcie: A my tam, chłopcze, w tej naszej miejscinie, ho, ho!

Po jego wyjściu, na twarzach pań zawsze taki sam wyraz rozbawionego zdumienia.

Irena: Po co właściwie on tu przychodzi?

Stefan: Ty tego nie zrozumiesz.

Irena: A ojciec to rozumie?

Stefan: Ale nie potraficie wam tego wytłumaczyć.

Irena: Jakiś kopalniany egzemplarz. Z jakich on Dziaduszyckich? Z tych hrabiów?

Stefan: (śmiejąc się) Nie, moja droga. Z tych dziadów.

A tak naprawdę to Stefan tych wizyt nie lubi. Po piętnastu minutach

wyczerpują się nowinki z miasteczka. O czym rozmawiać? Dziad nie jest skory do wspominków (na szczęście). Natomiast chętnie rozwodzi się na tematy ogólne. Drażni go alkoholizm. Rozwiążłość obyczajów. Złodziejstwo. Te sprawy traktuje arcy poważnie. Wracając do nich wlepia swe żółte, sępie oczy w twarz Stefana. Wisła, mówi, Wisła i jej dorzecze. Ja bym ich wszystkich do takich robót. Do regulacji. Ja bym ich nauczył.

Ich, to znaczy tych, którzy mącą porządek społeczny. Po drugim kieliszku koniaku na żółte jego policzki wypęta ceglany rumieniec. Czasem się zaperza: Co pani dobrodzika o tym sądzi? – pyta Halinę. A ona mówi: No, wie pan... i czyni gest, który może wszystko oznaczać. – Właśnie, właśnie – cieszy się Dziaduszycki – Święte słowa...

Jest śmieszną postacią.

Wtedy, tamtej nocy, Dziad miał inną twarz. I Stefan takim go teraz przez chwilę widzi, jak stoją pod osłoną muru. Wicher miecie nad głowami gęstym śniegiem, który oblepia brwi i wąsy Dziada, wyglądającego jak hetman ze starego sztychu. Zagarnia ramionami pod okap tego murku ich trzech: Litwina, Stefana i Ruzika, (Jak on miał na imię? myśli Stefan. Do licha, jak on miał na imię?).

Nawet głos Dziaduszyckiemu się wtedy zmienił.

– Jeden diegtiarow. Rakielnica. Dwa mauzery – brzmi to szorstko, twardo, rozkazująco. I most. Rezuny nadejdą z tamtej strony...

– Chłop powiada, że od Przemyśla – mówi Litwin.

– Ja teraz mówię! Nic wam mróz nie zrobi. A jak banda się pokaże. Z góry, od lasu. Wtedy rakietka w niebo. I przestraszyć ich diegtiarowem. Idą z taborem. Muszą przechodzić przez most.

– Mamy ich tam zatrzymać?

Stefan czuje miękkość kolan. Wie przecież, co banda robi z mężczyznami. Stary obyczaj. Tatarski jeszcze. Obcięte genitalia w zęby. Leży nieszczęśnik w kałuży krwi. Rozwalone w rozkroku nogi. Podarte spodnie. I

obnażone podbrzusze. Znak hańby, że zwyciężony. Wyzbyty przed śmiercią męskości. Rozwarte bagnetem szczęki, wetknięte w gardło, aż do zachłyśnięcia się krwią członek i jądra.

– Nie ma siły, żeby ich zatrzymać na moście – mówi kapitan. – Rzeka zamarznięta. Macie ich tylko postraszyć. I rakietą. Pamiętajcie. Rakietą! Zrozumiano?

Front tkwi w Karpatach. W Lublinie otwarto uniwersytet. Co ja tu robię – myśli Stefan. – Dlaczego nie wyjechałem? Anna. To ona mnie tu trzyma.

Prowadzi ich Ruzik. Stefan prawie nie zna tego osiłka. W miasteczku otacza go sława herszta wszystkich bójek. Specjaliści od zabijackich wyczynów. Anna go nie lubi. Cham taki, mówi wydymając wargi. Kiedyś opowiadała, jak Ruzik dopadł ją w czasie żniw na wozie wysoko ładowanym snopkami i omal nie zgwałcił.

Za Ruzikiem, dźwigając diegtiarowa, brnie przez śniegi Bolek Litwin. Stefan słyszy jego kunsztowne klątwy. W trzech językach (wszyscy tu potrafią kląć w trzech językach: po polsku, ukraińsku i rosyjsku. Niektórzy jeszcze i po żydowsku, a nawet i po niemiecku, czego uczyli się w CK Armii. Profesor Owczarczyk klnie i po węgiersku. Nauczył się tego przed ćwierć wiekiem od Honwedów. Basama azania!). Litwin klnie Bóg wie kogo. Od momentu, gdy furta, skrzypiąc, zawarła się za nimi, Stefan dygocie. Z lęku? Z zimna? Wciąż myśli o Annie. Że przez nią tu został. Anna pewnie klęczy przed głównym ołtarzem i ciągnie z innymi kobietami to piskliwe, jęczące: „Święty Boże, Święty, Mocny, Święty a Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami”. A on musi zanurzyć się w tę otchłań. Co go czeka? W opustoszałych uliczkach? Za miasteczkiem, na moście? Strach ma ohydny smak, od którego mdli. Dlaczego stary Dziad, pozał się Boże, ten niby-oficer właśnie mnie tam wysłał? Wewnątrz murów zawsze jakaś szansa. Ale tam, w szczerym polu...

Dotarli przed most. Za nimi ostatnie zabudowania. Wąska droga omieciona wichurą ze śniegu, wysadzana po poboczach wierzbami. Drzewa

o sylwetkach wiedźm znękanych przez śnieżycę – w gestach rozpacz. W zaciekłych wirach, w kłębowiskach zadymka naciera to z tej, to znów z przeciwnej strony. Gra na metalowej kratownicy mostu jak na organach. Straszno. Przykucają w trójkę pod jednym z drzew.

– Co, chłopaki? – Ruzik szeroką dłonią zgarnia śnieg z twarzy. – Tu czy na moście?

– Tu – mówi Stefan.

– Gówno – mówi Litwin. – Stąd nic nie widać.

– Idziemy – mówi Ruzik.

Wchodzą na most, cały w zaspach, drżący pod uderzeniami burzy. Piętnaście metrów cesarsko-królewskiej żelaznej konstrukcji. Dalej tyse pole, aż po linię lasu. Czarno-biała kurzawa, nierozpoznawalne kształty, poświęsty, huk w koronach drzew i metaliczne, jakby zardzewiałe postękiwanie mostu. A za plecami jęk dzwonu.

– Nic nie zobaczymy – mówi Stefan. – Na pięć kroków niczego nie widać.

Tamci milczą. Ruzik, który uznał się za dowódcę, machnięciem ręki daje znak. Zalegli w zaspach. Stefan ogląda się za siebie. Raz po raz kurtyna śnieżycy rozrywa się. Wtedy widzi majak: miasteczko ciemne, wymarłe, i tylko kościół, klasztor i zamurze pod kopułą łyskającej łuny.

Nikt z nich nie ma zegarka. Mierzą czas na wycucie. Pada śnieg. Zwolna kostnieją. Trzeba zdejmować rękawice. Chuchać w zgrabiałe palce. Nic nie widać. Żeby chociaż dostrzec linię lasu.

– Pójść by tam, na skraj, gdzie odchodzi w bok dukta – mówi Ruzik. – Co, chłopaki?

Litwin i Stefan milczą.

O tym, jak szybko wszystko potem się rozegrało, jak przyczajony do tej chwili czas nagle skoczył niby drapieżca na upatrzoną ofiarę, o tym, jak noc nagle okazała się nie taka ciemna i jak odmówiła im ukrycia, o tych chwilach, jakich wspominać nie lubił i usilnie starał się zatrzeć je w pamięci, myśli Stefan akurat w chwili, gdy opada kurtyna i sala rozbrzmiewa okłaskami.

Koniec części artystycznej.

Wszyscy, prócz Bolka Litwina wstają. Wielkie szuranie krzesel. Gwar rozmów, śmiechy. Wojewoda wie dzie sekretarza. Zatrzymuje się przed weteranami. Tubalnym głosem mówi:

– Jak się podobało? To były czasy! Przeszłość heroiczna! – On sam nie z tych stron, a spod Bydgoszczy. I rocznik inny, 1931 październik. Ale jak pomyśli! Wczuwa się, znaczy. I w ogóle. – Niech nam długo żyją bohaterowie!

Ostatnie zdanie, to prawie okrzyk, by usłyszała go cała sala. Zrywają się oklaski. Ktoś intonuje sto lat. Wojewoda ściska weteranom dłonie (oczywiście zaczyna od Stefana). Gospodarze uroczystości, nauczyciel i ktoś miejscowy zapraszają do gospody na skromny, rodzinny obiad. Wszystkich. Bośmy przecież rodzina.

A Stefan w tym czasie raz jeszcze rozlicza się z tamtymi chwilami.

Pierwszy usłyszał nadciągającą bandę Ruzik.

– Zaczyna się! – powiedział.

– Nic nie słyszę – mruknął Litwin. – Ani du du.

– Cicho!

Gdzieś tam w lesie, już zupełnie niedaleko zarżał koń.

– Rakieta – przypomniał Stefan.

– Jeszcze nie pora – machnął ręką Ruzik. Dźwignął się na kolana. Wypatrywali oczy. Całkiem blisko usłyszeli przekleństwa. Woźnice klęli na konie z chłopska, po ukraińsku. Szczob ty zczeżł, proklata twoja hodyna. Ruzik uniósł ramię. Z sykiem rakieta pociągnęła za sobą mleczną smugę w nadlatującą chmurę śnieżycy. Wysoko nad nimi nabrała blasku. Ujrzeli skraj lasu i wysypujący się z niego korowód sań i jeźdźców.

– Za most! – powiedział Ruzik.

Przebiegli wzdłuż ośnieżonej kratownicy. Tamci oświetlili teren parasutem. I od razu otworzyli ogień. Wokół zaroilo się od koralików żółtych, czerwonych, zielonych.

– Kłaść się! – wrzasnął Ruzik. – Nastraszymy ich.

Postrzelał z diegtiarowa. Przypomniął sobie, że ma dwa granaty.

– Wesele im wyprawie! – krzyknął.

Skokiem przebiegł most. Ujrzeni, jak zamachnął się, na moment wyraźnie widoczna sylwetka na tle kłębowiska tej zamieci. Czerwone jądro wybuchu granatu. Potem drugie. Ruzik znikł im z oczu.

– Co z nim? – jęknął Litwin.

Moment, o którym Stefan rozpaczliwie stara się nie pamiętać. Upłynęło wiele lat. Tamta noc przeistoczyła się jakby w scenę wyczytaną ni to z Sienkiewicza, ni to z Hemingwaya. Lektura dla chłopców.

– Pilnuj diegtiarowa! – krzyczał Litwin. – Ja go tam nie zostawię.

Nie mam się czego wstydzić, myśli Stefan, Ruzik zginął, bo sam szukał śmierci. Nie byłem żołnierzem. Ani ja, ani tamci. Szczeniaki. Boże, cóż to wszystko ma dziś za znaczenie?

Prowadzi za wojewodą ku wyjściu Halinę. Tuż za progiem dostrzega Irenę i Zygę. Uśmiechają się z daleka. Żyję, myśli. Wszystko to zamierzchła historia. Ogląda się za siebie. Tuż za nim śmiertelnie poważny, przejęty i zachwycony tym uroczystym dniem, podąża pan Dziaduszyci, w odprasowanym garniturze, ze znaczkami ZBoWiD-u i Krzyżem w klapie. Ze stygmatem sklerozy na suchej, jakby sępiej (bo chyba nie orzeł?) twarzy.

Inaczej wyglądał wtedy, z twarzą oblepioną śniegiem, jakby okrwawioną od łuny.

– Gdzie tamci? Gdzie broń? – krzyczał ochrypłym głosem.

– Zginęli. – Stefan szczękał zębami.

– Obaj?

– Pewna śmierć. – Stefan dławił się słowami. – Zginęli!

Dziaduszyci podtykając mu pod nos lufę pistoletu straszonym głosem pytał:

– Gdzie tamci? Gdzie diegtiarow?

A potem z ciemności i kotłującej się nawet tu, za murem, zamieci wynurzył się ten milicjant, Brzeźniak. Kapitan wezwał go ruchem ręki.

– Plutonowy, rozkazał, idziecie z tym chłopcem! I bez tamtych, bez erkaemu mi nie wracajcie. Banda przez most jeszcze nie przeszła. Nuże!

Część trzecia

ZYGA

Stoją w drzwiach wejściowych zatłoczonej sali gimnastycznej, Zyga za Ireną, oburącz trzyma ją za ramiona. Wszyscy wstają z miejsc, oklaski, szuranie krzesel. Koniec galówki. Ale jeszcze czyjś głos wzbija się nad ten gwar. Zyga nie chwyta sensu słów. Kurdafelek, jeszcze jedno przemówienie? Ale to nie oficjalna żadna mowa, bo tłum rusza ku wyjściu. Trzeba się więc nieco cofnąć i stanąć na uboczu.

Oklapły i apatyczny zmusza się do przybrania pozy heroicznej – niech go tak widzą. Uśmiecha się, czuje dłoń Ireny na swojej ręce, jej lekki uścisk. I powinno być dobrze, i przyjemnie, ale uśmiech jest wymuszony. Po diabła mi to było? Radeberger! – myśli ze strachem. – Rany Boskie! Radeberger! I w kółko: Po co mi to było?

Przy jęgo kondycji kilkanaście ostatnich godzin i nawet ten niepotrzebny, wymuszony incydent na poboczu szosy, wszystko to głupstwo. Takie coś nie daje o sobie znać od razu. Albo ściślej: nie daje o sobie znać zwykłymi objawami znużenia. Tylko doktor Laskowicz, klubowy anioł stróż na swoich różnorakich urządzeniach – na tych elektronicznych cackach, o których mówi, że nie ma ich w Polsce żaden instytut badawczy – tylko on potrafiłby coś na tych taśmach i elektronicznych czytnikach wyśledzić. Lecz forma na pewno już zarejestrowała niepotrzebne emocje, napięcie i nie planowany, wymuszony spazm. I Zyga czuje się, jakby na nim dokonano gwałtu.

Jutro sparring z Grzywalskim!

Irena zgadując jego myśli, mówi półgłosem, tak że w tym gwarze tylko on słyszy.

– Znowu ten Grzywalski? Musisz wciąż o nim myśleć?

– Dobry jest, skurwiel.

– Nie powinieneś się martwić. Przestań o nim myśleć. I o Radebergerze.

– Ja się nie martwię. Ja tylko myślę o tym, jak Grzywalski będzie walczyć.

– Zrelaksuj się. Zaraz pójdziesz do wozu. Przepisz się.

Ostatni w tłumie, na samym końcu, wychodzą z sali Stefan, Halina i dostojnicy. Za drzwiami, na schodach już się przerzedziło i Halina – w swej pięknej, przywiezionej z Włoch (z wyprzedaży posezonowej) sukni, w koronie złotych włosów – istna Madonna Peribleptos, uosobienie triumfu, woła na ich widok:

– Oto i nasi młodzi!

I już są blisko. Już Halina obejmuje ramieniem Irenę. Donośnym głosem, z matczyną intonacją, czyni jej wyrzut:

– Dlaczego nie przysłiście tam do nas, w pierwsze rzędy?

– Tu nam było też dobrze – mówi Irena i ujmuje Zygę pod ramię.

Wzruszający widok, para gołąbków!

Wraz z dostojną ekipą wychodzą na dwór. Ciepło, wilgotnie, przedjesiennie. Deszcz nadal siąpi, tłum pomału się rozplywa. Nad Stefanem i wojewodą, ale także nad Haliną i Ireną pojawiają się jakieś przezornie zaplanowane, służbowe, ogromniaste parasoliska.

Miasteczko, niedzielnie zgnuśniałe, odprawia sjętę. Cisza. Przelotową szosą z rzadka szmyrgnie terkocący trabant. Ubogo tu. Dość schludnie. I jakoś wyjątkowo prowincjonalnie. Małe miasteczka w centralnej Polsce żyją ostrzej. Pazerniej. A tu – jaka cisza!

Zyga czuje, że otula go ta cisza pieluchami. Nie może opanować ziewania. Oczy mu się kleją, spać, spać, myśli, o, raj, choć dwie godziny! Uznaje,

że teraz właśnie pora dać nogę. Zaszyć się w wozie. Jakby tak chyłkiem, wzdłuż muru, a potem ścieżką do bocznej furtki? Znów ziewa. Marzy mu się wnętrze wozu, ciepły pled i chwila przed zaśnięciem: sam na sam z myślami.

Nie będzie to przyjemna chwila. Gdy znajdzie się sam, wtedy samokrytycznie, bez owijania w bawełnę nawymyśla sobie. A może po głębokim namyśle i ułożyć jakieś kłamstewka dla trenera.

Radeberger, myśli z troską, ten kat, ten skurwysyn! Tylko popatrz na mnie i będzie wszystko wiedział. Szlajałeś się, powie, życia kosztowałeś? Lecz Zyga nie tego gadania się boi. Nie tych mendoleń. Powtarzanych w kółko pierdołów o spadku formy. To można by wytrzymać. Gorzej, że Radeberger od pewnego czasu ustawia go na bitym polu. Na czym ten manewr polega? Nie tylko na omówieniach po każdym sparringu, kiedy okazuje się, że według Radebergera taktycznie lepszy był przeciwnik Zygi. Że lepiej kontrował. Pewniej wyprowadzał ciosy. Dynamiczniej wychodził ze zwarcia. A to wszystko nieprawda. Tylko radebergerowskie przypierdalanie się. Szukanie dziury w całym. On po prostu przestał na mnie stawiać – myśli Zyga. Ja to wiem. Ja go wyczuwam. Jak bym nie walczył, będzie forsował Grzywalskiego. Muszę mu wystrugać sztuczkę. Muszę teraz, gdy kończy się obóz, zbić Grzywę na kwaśne jabłko. Tak żeby nikt nie mógł mieć wątpliwości. Ale czy to takie łatwe?

O tym myśli Zyga, gdy naraz nad uchem, jak wystrzał na wiwat, tubalny sznapsbaryton:

– Jak Boga kocham! Przecież to nasz Gołąbek!

Tego jeszcze brakowało! Zyga odwraca się, staje twarzą w twarz z apoplektycznym, rozanielonym grubasem.

– No, tak! Gołąbek, onże sam! – huczy jak megafon. – Co za niespodzianka!

Chwyta Zyge w objęcia. Przyciska do piersi. Na chwilę wszyscy wokół milkną. Przez sekundy tylko sapanie, pobrząkiwanie jego krzyży i medali. A potem nowy okrzyk entuzjazmu:

– Nie widzicie, towarzysze, kogo tu gościmy? Mistrza! Sam Gołąbek! Intelktualista polskiego ringu.

Takie określenie wymyślił jakiś dureń z „Przeglądu Sportowego”. Kole-dzy rżeli ze śmiechu. Tarzali się ze śmiechu. Jakoś nic nie wydawało im się tak komiczne jak przezwisko „intelektualista”. Gołąbek-intelektualista! Ile było na ten temat kawałów. Ależ sobie używali! Trenerzy, najpierw stary, dobry buldog Walas, a potem cwany i kąśliwy zły kundel Radeberger, gdy był w złym humorze, ryczeli w czasie sparringu:

– Te, intelektualista, a może by wyżej gardę, co?

Albo:

– Zapomniałeś już, intelektualista, że masz prawą? Że jest coś takiego jak prawy prosty?

Nawet Zośka, dziewczyna, z którą wtedy sypiał, gdy się pokłócili, zasunęła bezczelnie:

– Ojej, ale się z ciebie zrobił intelektualista!

Wpadł wtedy w taką furię, że przegnał dziewczynę z domu o północy. Ciskał za nią po schodach jej ciuchami.

Intelktualista! W istocie pismakowi chodziło o to, że Zyga walczył technicznie. Że postanowił nie dać się nigdy znokautować. Że mu się to długo udawało. Miał swój styl. Lubił walczyć na dystans. Przewagę fizyczną – jeśli się na nią natknął – nadrabiał ruchliwością i pracowitym zbieraniem punktów.

I byłoby tak nadal, gdyby nie ten przekłęty Radeberger! Między Zygą, a trenerem, który w istocie uznawał tylko boks siłowy, nigdy nie było sympatii. No i ten pomysł walki o jedną wagę wyżej.

Mecz z Jugosławią uważano powszechnie z góry za wygrany. W istocie tylko Dilić! Dilić! Tak się nazywał ten goryl. Kończył każdą walkę przed czasem. Własną karierę też skończył przed czasem. Zjechał gdzieś w Czar-nogórze wraz z dziewczyną swym porche prosto w przepaść. Ale to stało się później. A wtedy, przed tym prestiżowym spotkaniem, Radeberger najpierw chytrze obsadził kimś innym wagę półśrednią, w której był niezły wybór. A

Zyge, gdy go wprost zapytał, co to ma znaczyć, bo był przecież w, tej wadze najlepszy, zaczął męczyć:

– Walcz o wagę wyżej.

– Dilić! – połapał się Zyga. – Jeszczem nie zwariował!

– Człowieku – mówił Radeberger – Iwański boi się, nie będzie walczył.

Chodzi o nasz honor. Ty jeden nie przegrasz przez ko. Ty jeden rozegrasz tę walkę na punkty.

– O, nie! – upierał się Zyga. – Życie mi miłe!

Więc Radeberger zaczął go urabiać. I szef sekcji klubowej. Co, u diabła, za tym się kryje, myślał Zyga. Mówił nie. Potem wziął się za niego Radeberger i młody człowiek przypominający Priestlaya, który od niedawna wiele znaczył w sporcie. Okazało się (oczywiście już po meczu), że to właśnie „Priestlay” obiecał pewnej bardzo ważnej osobistości, że ze względów prestiżowych nikt z Polaków nie da się znokautować.

– Nie miałem siły, myśli Zyga. Wiedziałem jaka stawka. A głupi byłem. Mięczak. Gnojek. Nie umiałem powiedzieć – nie! Nabrałem tej cholernej wagi. Trzy kilo plus. Czułem się jak gruba panna na wydaniu. Nogi nie pracowały. Ręce chodziły z opóźnieniem. Boże, jak ja się pocilem na tym ringu. Już w drugiej rundzie byłem groggy. Gdyby nie sztuczki doktora Laskowicza, który oglądał mi łuk brwiowy, słabo zresztą krwawiący, tak długo, aż złapałem oddech i znowu zobaczyłem świat, wynieśliby mnie z ringu. Ten goryl mnie wykończył. Dawniej nie bałem się walki. Walka to walka. Tak było. Nie znałem tremy, nerwowych wyczekiwań. Dilić zabił we mnie wiarę. Jeden z jego ciosów mało mi nie urwał głowy razem z płucami. Od tego czasu skończyła się radość przed meczem. Chyba przestano od tej porażki nazywać mnie intelektualistą.

Aż tu nagle ta fura mięsa przypomniała sobie intelektualistę ringu. Diabli nadali.

– Niech pan da spokój – mówi Zyga. – Zostawmy tę mowę,

– Skąd się tu, synu, wzięłeś? – cieszy się działacz nie zwracając uwagi na kwaśną minę Zygi.

– To mój zięć – wtrąca prawie z dumą Stefan.

– I niech pan mi go nie uszkodzi – dodaje Irena, bo grubas wciąż jeszcze trzyma Zyge za ramiona i potrząsa nim jak wspaniałą zdobyczą.

Wybuchą gromki śmiech. Działacz, wyższy od Zygi o głowę, brzuchacz i w ogóle hipopotam, wypuszcza z rąk chłopca. A Zyga ze zgrozą myśli, że nici z odpoczynku. Teraz już na pewno nie uda mu się ukradkiem prysnąć.

– Proszę, co za wspaniała rodzina – mówi wojewoda. – Z takiego zięcia możecie być naprawdę dumni! A wasza, towarzyszu, córka, czym się zajmuje?

– Ba! – mówi Stefan i śmieje się. Nigdy nie traktował poważnie artystycznego powołania córki.

Do głosu dochodzą gospodarze.

– Obiad, towarzysze, obiad!

Brzmi to rozpaczliwie: coś się przypali, coś wystygnie! I myśl o obiedzie wszystkich od razu absorbuje bez reszty. Ruszają więc całą grupą, skupieni pod parasolami, ku gospodzie zarezerwowanej specjalnie na dzisiejszą uroczystość. Zyga, czule objęty ramieniem działacza – kto to jest, u licha, i gdzie myśmy się spotkali – nie może sobie przypomnieć, utożsamia go przez chwilę z grubym, prowincjonalnym sprawozdawcą. Ale nie, tamten jest z Łodzi. To znów, brr, z samym Radebergerem, podobnej tuszy, tylko z twarzą naznaczoną bokerską przeszłością. Złamany nos nadaje jej wygląd gladiatora. Działacz niczym nie ma naznaczonej twarzy. Kto to jest? Gdzie myśmy się spotkali?

A tamten mówi do Zygi po imieniu. I zaraz dobiera się chłopakowi do spraw osobistych. Włazi z kaloszami do duszy.

– Jakie masz, synu, plany na przyszłość?

Zyga nawykł do tego pytania. Reporterzy od niego zaczynają zazwyczaj wywiady. Pada przed i po każdej ważniejszej walce. Ile razy na nie odpowiadał?

– Mam akurat zgrupowanie – wykręca się. – Przed mistrzostwami.

– Nie o to pytam – powiada grubas. – Co potem?

– Wakacje. Z żoną.

– Słyszałem, że kończysz z ringiem – powiada grubas. – A dziewczyny to ci można pogratulować. Mój Boże – mówi ze zgrozą w głosie. – Ileż to się napatrzyłem: chłopak jak złoto, a wpadnie w ręce jakiejś... i klops. Twoja – (wciąż używa tego „ty”) – twoja jest plastyczką?

– Jak najbardziej.

– Wziętą?

– Zależy, jak to rozumieć.

– Ma dużo roboty?

– Starczy.

– Dużo zarabia?

– Obleci.

– Bo, widzisz, ja węższ, węższ – mówi działacz. – Coś niecoś obito mi się o uszy.

Spogląda znacząco, z ojcowską życzliwością.

– A konkretnie? – pyta Zyga usiłując nic nie zdradzić wyrazem twarzy.

– Sytuacja w waszym klubie. Sam wiesz. Czyż nie tak?

Zyga namarszczył się ze stroskaną miną.

– U nas tak się mówi: boks w innych klubach stanął na krawędzi przepaści. Ale my mamy to za sobą. W naszym klubie myśmy już zrobili krok naprzód!

I to się mści – powiada działacz. – Działaczom ujdzie. Płacą zawodnicy.

– Niby tak.

– Po co ci to? Na co ci to? Ty byś tu do nas, w te nasze rajskie strony!

– Mój klub... zaczyna Zyga.

Ale działacz przerywa mu:

– Nie z tej beczki. Wiem, że masz kłopoty. Wszyscy tam żyjecie nerwami. Niezdrowo.

Kaperowanie, myśli Zyga i jeży się. A grubas śmieje się od ucha do ucha.

– Ty mnie nie bierz za wędkarza – mówi. Wiem, co to boks. Zęby na tym zjadłem. Zawsze byłem entuzjastą twego stylu. Zawsze ciebie najwyżej punktowałem. A w twoim klubie? Byłem u Szefa na naradzie, jak przetrzeńliście ten ostatni pechowy mecz. I wtedy wasze bossy, a tak mówiąc między nami, i wasz trener, jakże go przezywają? Nie Pilsner?

– Radeberger.

– Ano właśnie. Radeberger. Zatem wszyscy oni ślinili się. Że tak. Że owszem. Że pora się przestawić. Że oni stawiają na młodych. I że to da rezultaty za parę lat. Rozumiesz?

– Co tu rozumieć? – mówi Zyga niechętnie, bo to dla niego sprawa bolesna.

– Patafiany! – krzywi się działacz. – Was rzucili na pożarcie. Zamiast przyznać, że to ich wina. Że źle prowadzą sekcję. Ty, synu, posłuchaj. Nasze spotkanie, wiesz sam, nie zaplanowane. Może to szczęśliwy los? Ja rozumiem: wierność dla barw. Tyle lat w jednym klubie. A z drugiej strony: Któż to ci twoi radebergerzy? Zasańcy, ot co. Zmarnowali taki klub! Więc żeby się nie rozwodzić. My tu przyjmujemy ciebie z radością, z otwartymi ramionami.

– Nie jestem już aktualnie taki młody.

– Jesteś arcy mistrz! – mówi z przekonaniem działacz. – Daję ci jeszcze parę lat najwyższej formy. A nie zechcesz, to taki trener śni się nam po nocach.

– To nie takie proste.

– Co nie proste? Etat? Wiesz, jakie mamy tu zakłady przemysłowe? Co tam wasza Warszawa! Znajdą się etaty. Damy o trzy, powiedzmy, cztery tysiące więcej, niż masz w Warszawie. Mieszkanie? Cycuś, jakie zechcesz. Z czystym powietrzem na dodatek. Nie to, co te wasze warszawskie spaliny. Czterootylek ołowiu. Niedotlenienie mięśnia sercowego. A u nas, ech! – i grubas wciąga w płuca czyste, orzeźwiające powietrze – Poczujesz się, chłopie, młodszy. Odejdzie ci ochota na emeryturę. Najlepiej to zrozumiesz na ringu.

– To nie takie proste – powtarza Zyga.

– Co nie jest proste? Żona? Damy jej etat. W Warszawie o takim i marzyć nie może. Co tylko zechce. Pracownia, wzornictwo, instruktaż. Wiesz, jakie będzie miała tu wystawy? No i pomożemy. Mamy chody, żeby wystawiała za granicą. Z forszą nie będziecie wiedzieli co robić.

Grupa rozsypała się w procesję, na przodzie, w tej nikłej mżawce, pod parasolem gospodarz wiedzie Stefana i wojewodę. A za nimi kroczą parami panie, panowie, co się dżdżu nie boją. Pochód zamyka działacz za swą ofiarą. Coraz zastępuje drogę Zydze, przytrzymuje go, zmusza, by przystanął. I wbija swe argumenty w ten twardy, okrągły, krótko ostrzyżony, uparty łeb.

Tak docierają do gospody. Szef i kelnerzy w kitlach czystych, od wielkiego dzwonu, oczekują czcigodnych gości w otwartych drzwiach. Panienki pod wodzą bufetowej, wytapirowane i w ogóle na wysoki połysk, z biciem serc tkwią tuż za tymi oszklonymi wrotami. A procesja zatrzymuje się na tarasie. Zamykają się parasole. Kończą rozmowy. Towarzystwo znów się zintegruje. Gospodarz czyni jakieś gesty, pokłony. Staropolskie, gościnne zaproszenia. Zyga szuka wzrokiem Ireny, potrzebuje jej pomocy. Wzięło ją między siebie jakichś dwóch facetów, zajęta jest rozmową. A grubas nie uznaje przerwy w działaniach ofensywnych. Nadal dręczy.

– Chłopie – mówi – synowi rodzonemu bym inaczej nie radził. A może boisz się kłopotów z transferem? Już my to załatwimy.

Zyga uśmiecha się. Nagle ta pokusa, o której wie, że na pewno go nie uwiedzie, bo Irena za nic by Warszawy nie rzuciła, że ta pokusa-miraż ma jeden wspaniały urok: oto widzi siebie stojącego przed Radebergerem, różnica wzrostu około piętnastu centymetrów, musiałby zadrzeć głowę, by spojrzeć staremu oprychowi prosto w oczy, czego nigdy nie czyni, zawsze go wysłuchuje pokornie, z oczami wbitymi w splecione własne dłonie, taki nawyk, więc oto widzi siebie patrzącego mu prosto w oczy i mówiącego

świętą prawdę: mam was dość, mam was w dupie, działacze, i pana, panie trener, przez którego kretyńskie rady przegrałem może i swoją szansę życiową.

Gospoda usadowiła się w ryneczku między barokowymi kamieniczkami pachnącymi świeżym tynkiem. Ma przeszklony fronton i boczne ściany, dużą, chromową ladę bufetową, stoliki o żelaznych nóżkach, zgrzytających na kaflach podłogi, krzesła też żelazne, z siedzeniami obitymi granatową dermą. Wszystko obliczone na masowy przepływ turystów. W sezonie letnim tu tłoczno: chłopcy i dziewczęta objuczeni plecakami pożerają tu swe grochówki, kaszanki, rzeszowską na gorąco. Po sezonie przygodni kierowcy, traktorzyści i miejscowe pijaczyny zachowują się przyzwoicie, bo o krok posterunek. Dziś odświętnie: gospoda zakupiła nowe lniane i kolorowe obrusy, każdy kąt wypucowano na wysoki połysk. Za bufetem na regale rozparły się: polskie żyto, jarzębiak, drogie francuskie napoleony. Pełna gala.

Goście, zaproszeni według rozdzielnika, zgłodnieli, w ogólnym radosnym ożywieniu hurmą wlewają się do tego akwarium. Zajmują miejsca przy stolikach jak popadło. Jest to tylko pozór, bo w istocie działa dość dyskretne sterowanie. Już wyodrębnia się grupa najważniejszych gości. Pośrodku sali stół honorowy (z dziesięciu zsuniętych razem stolików). Tam obowiązuje szczególnie sprawna organizacja. Czuwa nad porządkiem kilku wytrawnych specjalistów od takich jubelków. W rezultacie Stefan i Halina usadowieni zostają na honorowych miejscach. Działacz-kibic wyciąga szyję, rozgląda się i pikuje w samo epicentrum tego high life'u. Zygą przez moment nikt się nie interesuje. Refleks! Wykorzystuje okazję, by oderwać się, uskoczyć w bok, odszukać Irenę.

– Czego chciał od ciebie ten grubas? – pyta go, czujna, jak się okazuje, i wszystkowidząca. – Co to było za takie wielkie gadanie?

– Co zawsze. Kaperował.

Irena uśmiechnęła się z przymusem.

– Z Rzeszowa?

– Może z Mielca.

Wzięła go pod ramię, czuł jak wtula się w niego.

– Wciąż zmęczony?

– Boję się, że za mocno stuknąłem tego pijaka.

– Zawsze musisz się martwić na zapas? Szybko zjedz i uciekaj się przespać. To jeszcze potrwa. Ja muszę zostać. Ze względu na ojca. Kto wie, czy nie będzie odprawiał jakichś wizyt kurtuazyjnych.

Siadają razem, tyłem do tych z prezydium, tuż przy drzwiach. Stoliki przygotowano na cztery osoby. Zaraz dołącza jakiś młody, wyglądający na działacza facet z szyderczym uśmiechem w oczach. Przystojny. Jakże by inaczej. Zyga przywykł, że Irena przyciąga takich przystojniaków. Zawsze krąży koło niej paru takich obrzymasów. Przysiada się i kapitan milicjant. Ten dla odmiany bardzo poważny.

– Stolik dla przedszkolaków – mówi Irena. – My, młodzi! Przyszłość narodu!

– Żeby nas tu dobrze, przy tych drzwiach, obsłużyli – martwi się młodzieniec. – Jak jest bufet, trzeba się pchać! Prawo walki o byt. Na rozum, to jesteśmy ostatni w kolejce. Tyle tu dostojników.

– Życie przed nami – mówi Irena. – Mamy czas.

Kapitan zapala papierosa, częstuje Irenę, potem mężczyzn. Zyga bąka, że nie pali. Milicjant patrzy mu prosto w oczy badawczo, beznamiętnie.

– Ja was skądys znam – mówi śpiwnym, tutejszym akcentem.

– O, raju! Alem głodny! – powiada Zyga i rzuca Irenie znaczące spojrzenie.

– A jednak ja was znam – mówi milicjant.

Organizatorzy wypożyczyli na ten dzień z całej okolicy co lepsze i ładniejsze kelnerki. Ubrali je w ludowe stroje. Dziewczyny szybko, zręcznie (uprzejmie nawet) obsługują zatłoczoną salę. Ustawiają na stolikach butelki czystej i kieliszki. Roznoszą zakąski (jajko mole, ryba po żydowsku, befszytk tatarski). A potem barszczyk z krokiciekami, rumsztyk z cebulką

(i oczywiście z pieczarkami) oraz krem wieloowocowy, wuzetki i kawę.

Tempo obsługi ostre, więc przy stolikach uwaga skupia się na jedzeniu. Rozmowy przycichły. Tak się to teraz rozgrywa: przy prezydialnym stole jakieś przemówienia, toasty, oklaski. Tu, pod drzwiami, szybka, intensywna konsumpcja. Milczkiem, milczkiem! Młodzieżowiec rozlewa wódkę do trzech kieliszków (Zyga nie pije).

– Zdrowie pani. W ogóle za pomyślność i te pe.

– Organizacja, co? – Milicjant rozgląda się po sali. – Robimy postępy.

– Uroda polskich dziewcząt. Sławna polska kuchnia – powiada Irena. – Tysiącletnia tradycja.

– No to siup! – powiada kapitan. – Skąd ja was znam?

– Za tych, co na morzu!

– W czasie tej akademii ku czci, jak już nie mogłem wytrzymać – opowiada młodzieniec – obejrzałem sobie ten klasztor, w którym oni się wtedy bronili. – Dłonią na płask poprawia staranne uczesanie. – Wie pani, to musiał być prawdziwy western! Ja zupełnie tego nie mogę sobie wyobrazić. Mieli przecież ledwie kilka pukawek. A ten murek. Po kolana...

– Odważni – powiada milicjant. – To się liczy.

– Mnie taka odwaga nie imponuje – orzeka młody człowiek. – W takiej sytuacji nie mieli wyjścia. Musieli się bronić.

– Ba! – mówi z pełnymi ustami milicjant.

Przy kremie znów chwila refleksji.

– Wie pani, to, co powiedziałem o odwadze... Bo ja to się boję tylko jednego – peroruje młody człowiek, najedzony i chyba senny, bo to czyste, ostre powietrze wszystkich rozbiiera. – Ja się boję tylko starości.

– Emerytury? – pyta Irena.

– Nie. Na emeryturę poszedłbym choćby dzisiaj. Byle sutą. Ale starość... Pić nie można. Jeść nie można. Kochać nie można.

– Każdy wiek ma swoje uroki – powiada kapitan.

– O, raju! Jeszcze jakie uroki! – wzdycha młody człowiek. – Widziała

pani tych bohaterów dnia? Zbowidowcy z ekshumacji. A przecież oni też byli kiedyś młodzi. Jak ich nadgryzła skleroza!

– Byli młodzi, ale w jakich czasach – powiada kapitan. – Aż strach pomyśleć, co tu się działo!

– Każdy żyje w jakichś czasach – mówi młody. – My mamy też swój przydział: stresy, konflikty, przedwczesne zawały.

– Bo jemy za dużo – mówi kapitan. – Odżywiamy się niehigienicznie. .

– Ja też miałam ciężką młodość – wtrąca Irena. – Musiałam do szkoły chodzić pod górkę.

Wszyscy prócz Zygi śmieją się. A on myśli: nie podoba mi się to, wcale nie podoba. Nigdy w życiu niczego nie rąbnąłem. Takie coś, kto by pomyślał! Ani ja, ani brat, ani ojciec. Wszyscy wiedzieli, że jesteśmy porządni ludzie. Całe miasteczko.

Nagle tęsknota za dzieciństwem, za rodzinnym miasteczkiem. Sto kilometrów od Warszawy. Tam było życie! Wspomnienie glinianek. Jak fajno latem pływać w żółtej, aż gęstej wodzie. A wydawało mi się, jakem wyskoczył do Warszawy, żem Pana Boga za nogę złapał.

Za plecami znów ktoś przemawia.

– Słuchajcie, słuchajcie! – młodzieniec, nachylony nad stolikiem, rozlewa resztę wódki. – Za ćwierć wieku... O nas tak będą. – I refleksyjnie: – Dlaczego, mnie dzisiaj nachodzą takie myśli?

– Taki bankiet to kosztuje, ho, ho! – mówi Zyga. – Na pewno z pięćdziesiąt patoli.

Kelnerki roznoszą do kawy półpełne kieliszki.

– Winiak – mówi młody, powąchawszy, z miną znawcy. – Mogliby szarpnąć się na napoleona...

Zyga, nie dojadłszy kremu, zwraca się do Ireny:

– Chyba pora, co?

– Panowie wybaczą – mówi Irena. – Daleka droga i w ogóle. Mąż prowadzi wóz...

Młody człowiek patrzy na Zygę, wysoko unosi brwi, wygląda na to, że

chce protestować. Lecz nagle na jego twarzy zjawia się chytry wyraz zadowolonia: teraz na odmianę uśmiecha się do Ireny porozumiewawczo i znacząco. Zyga udaje, że tego nie dostrzega. Zawsze tak jest. Dlaczego mężczyźni traktują Irenę jak łatwą zdobycz? Mylą się, bo Irena od czasu, gdy jest z Zygą, nigdy go nie zdradziła. Rzecz szczególna. Zyga jest tego pewien, chociaż nie mówili na ten temat, on wie, że nie musi się niepokoić. I jest o Irenę zupełnie spokojny. Wstaje, grzecznie się kłania.

– Weź moją parasolkę – mówi Irena. – Znów pada.

Bierze więc grzecznie małą, składaną, japońską parasolkę Ireny. Kapitan unosi się z krzesła, ale Irena mówi:

– Nie trzeba, nie trzeba, żegnamy się po angielsku.

Zyga raz jeszcze się kłania, tak jak czyni to na ringu. Nic, że świetnie uszyte ubranie, że poprawne maniery, wystarczy na niego spojrzeć. I każdy już wie, że to bokser. Zawodnik wagi półśredniej. Sześćdziesiąt siedem kilogramów twardych kości i żelaznych mięśni napinających cienką welnę. A jak się lepiej przypatrzeć: chłopak, który lubił kiedyś pływać w gliniankach. Duma swego miasteczka.

Za drzwiami restauracji, sieczony przez drobny, zimny deszcz, zatrzymuje się na moment. Nie otwiera parasolki, patrzy za siebie, w głąb tej knajpy, przez zalane deszczem szyby. Młodzieniec, nachylony ku Irenie opowiada coś śmiesznego. Ona ma beztroski, rozmarzony wyraz twarzy. Ta Irka! Jej pomysły! Udało się co do joty! Cwana gapa! Wszystko poszło po jej myśli. Zawsze wszystko idzie po jej myśli.

Kapitan MO patrzy w oszklone drzwi, za którymi stoi Zyga z miną, jakby dręczyła go niepewność gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach go już widział. Zyga ma ochotę pokazać mu język. Pokłóciłby się z kimś, zrobiłby jakąś drakę. Przekłada z ręki do ręki japońską parasolkę, czarną w czerwone chryzantemy, w jego odczuciu żalobną i dla młodej kobiety niestosowną (Irena jest innego zdania). Rusza uliczką ku klasztorowi. A potem w zaułek miejscowego high life'u. Otwiera wóz i wsiadłszy nieruchomieje z głową na oparciu. Przymknąwszy oczy myśli: Zyga, Zyga, co z tobą będzie? Dręczy

go kac moralny, chandra czy może niewiadoma nadchodzącego. Co dalej?

Ring się kończy. Jak się urządzać? Inni to mają lby! Taki Ryps w wadze ciężkiej zorganizował sobie fabryczkę, robi w materiałach budowlanych. I jest do przodu. A ja? Na co czekałem tyle lat? Gentleman ringu! A w kieszeni płótno! Więc może i trzeba pomyśleć o tym, co mi truł ten kaperujący grubas z Rzeszowa? Póki mnie jeszcze chcą. „Zyga” Gołąbek, waga półśrednia, zawodnik starszego pokolenia... Przecież się kończę, myśli, czy nie lepiej dać dyla z Warszawy?... Ogromna rutyna, kawał historii naszego boksu, wciąż jeszcze trudny do pokonania... Czy nie lepiej zejść Warszawce, kibicom, konkurencji z oczu? Świetny technik, klasowy, bardzo efektowny, spryt, inteligencja. I doświadczenie. Gówno prawda, myśli Zyga. Kończę się. Wszyscy o tym wiedzą.

Odchyła fotel do pozycji półleżącej. Nie chce się mu sięgać po koc. Rozluźnia krawat, rozpina kołnierzyk. Robi się błogo. Jest, jak jest! Lubi samotność. Może wtedy spokojnie porozmyślać. Pomartwić się. I nacieszyć swoją przeszłością. Teraz nadarza się sposobność. Do szczęścia brakuje, by sięgnąć za siebie i na oślepiec, grzebiąc w torbie, znaleźć kasetę z taśmą.

Miał dwadzieścia trzy lata, gdy w jakiejś strefie wolnoctowej kupił magnetofon kasetowy. Inni kupowali ciuchy, dolary. W domu wręczył japońskie cacko matce. Od tego czasu nagrywała mu wszystkie jego walki, każdą transmisję radiową czy telewizyjną. Całe trzy rundy. W mistrzostwach krajowych. W walkach na wyjeździe. Inni zbierali zdjęcia, wycinki prasowe. Zyga w tajemnicy przed koleśkami nosił zawsze w torbie te swoje kasetki. Gdy czuł się zagrożony, gdy całkiem zwyczajnie miał stracha przed groźnym przeciwnikiem, słuchał maminych nagrań. Tak jak nastolatki słuchają muzyki, ulubionego szlagieru. Wciąż w kółko, i jeszcze raz, i jeszcze raz, ad libitum.

Sprawozdawcy mówili o nim dobrze, był ich ulubieńcem. Wstydził się, ale te dusery w konserwie podnosiły go na duchu. A teraz była ku temu pora: czuł się niepewnie, Dał się. Wyprawa z Irką całkiem go zmydliła.

Alem się omsknął, myśli wkładając kasetę do radiomagnetofonu. Nacisnął klawisz. Głos sprawozdawcy sportowego napełnił wóz. Tego właśnie teraz potrzebował. Wspomnienie tamtej chwili! Sprawozdawca aż chrypiał z emocji:

– Proszę państwa, zaczyna się trzecia runda, w lewym narożniku nasz reprezentant Gołąbek, nie muszę go państwu wskazywać, znacie dobrze tę sylwetkę, dziś błyszczący doświadczeniem w tej walce, idzie do przodu pochylony, nie za nisko, nie za nisko, dobra pozycja, chowa się za gardą, czy siła i młodość sprosta rutynie, teraz piękny cios, trafił lewym i zaraz poszedł cios z prawej ręki, przeciwnik chce się rewanżować, ale te kontry, te kontry są wysokiej klasy. Gołąbek jest mniej zmęczony od swego przeciwnika, który bardzo odczuł ciosy w drugiej połowie poprzedniej rundy. O, teraz, teraz, tamten się odsłonił, Gołąbek to wykorzystał i cała seria, prosty prawy, lewy, prosty lewy, co za seria, trzecia runda, a mimo to co za dynamika!

To się liczy, proszę państwa, to się liczy, widownia huczy, emocja, proszę państwa, dobra walka, tak jak spodziewaliśmy się wszyscy, znamy Gołąbka, to technik. O, jaki sygnalizowany cios przeciwnika...

Tak, tak, myśli Zyga. Ale to już prawie dwa lata temu! Magnetofon trzeszczy i trzeba go przyciszyć. To wrzask widowni. I jakby zaskoczony głos sprawozdawcy:

– I już po wszystkim! Ten prawy prosty Gołąbka, precyzyjny, jubilerski. Trudno było to nawet dostrzec. Ułamek sekundy. Sędzia liczy. A Gołąbek odchodzi w swój narożnik. On wie, proszę państwa, on wie, że to już koniec!

Znów ryk widowni i sprawozdawca rzeźi falsetem:

– Tak, proszę państwa! Sędzia daje znak! Koniec spotkania.

Mój Boże, myśli Zyga. Zawsze słuchając tego fragmentu tak właśnie myśli: Mój Boże!

W fotelu to krótka chwila, nawet przyjemnie posłuchać. Być kibicem. Ale wtedy, na ringu. Przecież dobrze pamięta: Gołąbek świeższy. Gołąbek

dynamicniejszy... Gówno prawda. Nogi miałem jak z waty. I tamten skurwiel trafił dwa razy bardzo mocno pod prawy łokieć, myśli Zyga, nie miałem siły się kryć, czy taki facet z mikrofonem wie, jak boli cios wyprowadzony pod łokieć, w prawy bok? Rutyna. Dwieście dziesięć pojedynków. Sto dziewięćdziesiąt dwa wygrane. Jakoś to przetrzymałem. Ten pułkownik. Chyba jednak Rzeszów. Szkoda, że nie spytałem o nazwisko. Dobrze byłoby urwać się z Warszawy. Tu, u podnóża tych gór. Spokój. Takie powietrze... Mieć już to za sobą.

Wyciąga rękę, naciska klawisz. Magnetofon milknie. Tego mi było trzeba na deser, myśli. Dostyc tego rozklejania się. Co mnie dziś napadło? Dam sobie radę. Na Grzywalskiego mam sposób. Załatwię go na ich oczach. Żeby mi tylko Radeberger nie zrobił jakiegoś świństwa. A w Monachium palnąć się nie dam. Najwyżej przegram na punkty. Nie. Nie przegram. Znam tego Niemca. Wiem, jak z nim walczyć. Żeby tylko nie był taki cholernie ruchliwy. Ale nie dam się zaskoczyć. Będę go trzymał w pódystansie.

Śpi zawsze bez snów. Budzi się, gdy tamci otwierają drzwi samochodu.

– Zyga! – Irena jest już obok niego. – Śpiochu! Jak się czujesz?

– Jak król – powiada zaspanym głosem.

W wozie zapachniało alkoholem, perfumami Haliny. Stefan hałaśliwie się śmieje i kordialnie klepie Zyge po ramieniu.

– Chłopie – mówi. – Gdzieżeś się zmył? Brakowało nam ciebie.

– Musiał się trochę przespać – odpowiada za niego Irena. – Będzie teraz prowadził. Drugą noc z rzędu.

– Połowę drogi – mówi Stefan. – Potem ja poprowadzę.

– Piłeś – przypomina Halina.

– Ech – bagatelizuje Stefan. Jest w heroicznym nastroju. – Wypiję kawę i będę dobry.

Nawet postępuje się zwrotami z żargonu Ireny.

Na dworze jest niebieski przedmierzch, W domach pozapalano światła. Niebo pełne szybkich chmur. Na szybach ciężkie, rozpryskujące się krople.

Halina kumosi się na tylnym siedzeniu i coś tam przekłada, przepakuje. Zyga, z dłońmi na kierownicy, czeka. Próbuje się pośmiać.

– Znacie ten kawał? – pyta. – Zięć wraca do domu. Otwiera mu teściowa z miotłą w ręku. A zięć pyta: Mamusia robi porządki czy zbiera się trochę pofruwać?

– Co jest w tych słoikach? – pyta Stefan. Często tak ostatnio bywa: przed chwilą żartował i już jest rozżłoszczony.

– O, raju – wdycha Irena. – Długo to jeszcze będzie trwało?

– Doktorostwo to naprawdę mili ludzie – mówi Halina. – A borowiki przydadzą się nam na święta. Tu łatwo im o grzyby. Zresztą zaprosiłam ich do nas. Mają na to ochotę. Przyjadą na parę dni.

– Na parę dni! – powtarza przerażony Stefan.

– Temu konowałowi pacjenci znoszą całe kosze – ucina Irena. – Jak tato nie chce, to ja chętnie wezmę. My lubimy grzybki. Pod wódkę...

– Powiem wam coś, co brzmi jak dowcip – zmienia temat Stefan. – Kiepski, bo kiepski, ale dowcip. Siedział koło mnie taki młody prokurator. No i jak się zgadało, że miasteczko tak wyładnianno, że tyle willi się buduje, to ja go pytam między jednym a drugim kieliszkiem, niech no mi pan powie tak ze swego punktu widzenia: jak ludzie zarabiają na te domy. Przecież to Bóg wie ile kosztuje. A on mi na to: Ano zarabiają. Jedni średnio uczciwie. Drudzy dość uczciwie. Ale jak ktoś zarabia za bardzo uczciwie, to już z góry wiadomo, że można mu dać na ślepo pięć lat odsiadki.

Wreszcie wszyscy już siedzą na swych miejscach.

– No i jak? Możemy? – pyta Zyga.

– Muszę jeszcze wstąpić... – mówi ojciec Ireny. – w ten zaułek koło klasztoru.

– Koniecznie?

– Do starego Owczarczyka.

– Ale już późno. A Zyga jutro... I ty też zresztą – protestuje Irena.

– Trudno, muszą! – I w zamyśleniu: – Ten Żmudziński! Jemu się wydaje,

że wszystko można zadekretować. A tymczasem jak Polak czegoś chce! Albo nie chce.

W wozie zupełny mrok, zielono świeci tablica rozdzielcza. Zapach tytoniu, to Stefan zapalił następnego dunhilla. Robi się jakoś przykro, Irena od razu to wyczuwa.

– Zawracamy! – mówi. I żeby dokuczyć Halinie: – Pora odgrzać starą miłość.

Zyga ostro bierze wiraż, i nagle hamuje, aż wszyscy lecą do przodu. Do diabła z tą wiochą. Na jezdni pan w czarnym garniturze z zachwianym poczuciem równowagi. Nigdy nie wiadomo, kiedy się taki chybnie pod koła.

– Chcesz, kmiocie, w ryło?

– Alkohol jest dla ludzi. Używka – mówi ojciec Ireny. – Ale to i papierek lakmusowy. Do badania poziomu kulturalnego społeczeństwa. Teraz w prawo. Sto metrów. I stajemy.

Wysiada, na moment zatrzymuje się i rozgląda: wszystko wokół się zmieniło. Drzewa wielkie, budynki nowe, nie pasujące do wspomnień. I tylko ta drewniana rudera z facjatką. Jakby przypadła nisko do ziemi. W oknach czarno. Gałęzie smagają niski dach, zasypują go liśćmi. Okienko facjatki, pod każdym uderzeniem wichury jak niegdyś skrzypi.

– Nie stój na deszczu! Zmokniesz! – woła z wozu Halina.

Stefan otwiera skrzypiącą furtkę. Wchodzi na ganek. Gdy puka do drzwi, dudniący odgłos pustki dociera aż do nich, do wnętrza samochodu. Irena patrzy spode łba. Sentymy, myśli, ekshumacja! Stefan wyczekuje, kiedy wreszcie ktoś się zbudzi, otworzy. Ci z samochodu obserwują go. Nikt nie otwiera. Naciska więc klamkę.

– To potrwa... – mówi Irena i włącza magnetofon.

Wóz od razu pełen wrzasku. Głos sprawozdawcy, trochę ochrypły. „Tak więc prowadzimy w tym meczu sześć do czterech. I oby...”

Irena wyłącza magnetofon.

– Znowu tego słuchałeś? – mówi bez zdziwienia. Wyjmuje kasetę i wsuwa ją do kieszeni marynarki Zygi. – Myślałam żeś wykorzystał czas, pospał sobie.

– Ja tylko tak, przed zaśnięciem – bąka Zyga.

– Jesteś gwiazdor. Narcyz. Już ja ciebie znam – śmieje się Irena. – Jakbym ci nie powtarzała, że jesteś superman...

To wszystko pół serio, pół żartem. Irena, gdy jest zawiana, lubi prowokować słowne utarczki. Wie, jaki Zyga jest skryty, nieśmiały, zakompleksiony. Uwielbia zapędzać go w narożnik, jak na ringu. I zmuszać do odsłonięcia się.

– Zyga, zrzucaj skórę! – mówi. – Co tam masz pod nią? Pokaż nam swoją brutalną, czarną duszę boksera.

Zyga boi się takich słów. Czuje się jak przed knock-downem.

– Irka, ty się uspokój – mówi błagalnie.

– Nie dokuczaj chłopcu – śpieszy na pomoc Halina.

– Kiedy to prawda – śmieje się Irena. – Zyga uważa się za supermana.

– Znowu ci odbiło?

– Ale lubisz, jak ci mówię, że jesteś najlepszy. Prawda? Mężczyźni potrzebują naszego uwielbienia. Prawda, Halina? Każdego można na to złowić. Nie mogą być bez tego szczęśliwi. A ty Zyga, czy ty jesteś szczęśliwy? Czy z taką jak ja można być szczęśliwym?

Zyga stara się wykręcić.

– E tam, gadanie takie.

– Czy jesteś ze mną szczęśliwy? Przecież wiesz, wszyscy wiedzą, jaka jestem zła. Straszna!

– Znalazłaś moment.

– No, powiedz? Właśnie teraz – śmieje się Irena. – Wymarzony moment. Zrób striptiz. Pokaż, co tam masz.

– Może ja wam przeszkadzam? – pyta Halina pół serio. – Może chcecie pogadać o tym w, cztery oczy?.

– Nie – ucina Irena. – Przeciwnie! Ja chcę, żeby on to zeznał przy świadkach. No, Zyga?

– Dobra, dobra – mówi znużonym głosem. – Jestem cholernie szczęśliwy. Szczęście aż ze mnie kapie.

Chwila ciszy, a potem ostry, na siłę, śmiech Ireny.

– Dobór naturalny! Słyszysz, Halina? A może ciekawa jesteś szczegółów?

– Dasz spokój? – jeży się Zyga i w głosie jego brzmi jakaś nuta nie znana Halinie. Może chłopak kiedyś jednak się zbuntuje?

Ale Irena nagle coś sobie przypomniała. Grzebie w torebce, kartkuje jakiś notes, przegląda zawartość portfela.

– Ten grubas dał dla ciebie bilet wizytowy. Powiedział, że możesz mieć do niego interes.

– Może się zdarzyć.

– Powiedział, żebyś myślał o nim przed zaśnięciem. Ma ci to dobrze zrobić na kondycję. I w ogóle.

– Na pewno mi to dobrze zrobi.

– On ci coś obiecał?

– Raj na ziemi – mówi Zyga. – Wikt, opierunek i najładniejsze dziewczyny.

– I cóżbyś ty, sierotko, z nimi robił? – śmieje się Irena.

Milkną. Zyga jak o wygraniu w toto myśli o kaperze z Rzeszowa. Nic z tego nie będzie, ale pomarzyć można. Ucieczka z Warszawy. Rzucić wszystko i uciec. Dlaczego właśnie ta propozycja tak go dziś poruszyła? Przez opuszczone boczne okienko napływa do wnętrza wozu powietrze – tu, w podgórzu, sam tlen i zapachy jesieni. Gdybyż to powietrze wpompuwać rurociągiem w centrum Warszawy. Nie chodzi o powietrze. Nie tylko o powietrze. Stare miasteczko, takie senne. Ale się omsknął. I to przed takim ważnym dniem.

Zatem znów – jak doping, jak narkotyk – wspomnień porcyjka: Warszawa, Moskwa, Paryż, Londyn, Rzym, Berlin, Belgrad. Ma te walki z ostatnich lat na taśmie, w kieszeni, utrwalone w relacjach sprawozdawców:

ich okrzyki, zachwyty, epitety, pretensje. Czy ta ferajna coś rozumie? Czy wie coś o jego przeżyciach?

– No, więc jak było? Mów, Zyga – (wszyscy oni szybko przechodzą na „ty”, taki fason). – Zyga Gołąbek, waga półśrednia, zwierza się ze swych przeżyć sympatykom boksu. Gadaj, Zyga.

– Co mam mówić?

– Jak było? No, ruszajże, chłopie. Powiedz coś o swym przeciwniku.

– Jak było? Przecież wiecie: to bokser destrukcyjny. Pracę nóg ma na medal. I ten słynny prawy sierpowy. Parę razy mnie doszedł. Zresztą sami widzieliście.

– Zyga, Zyga – mówi sprawozdawca radiowy swym słynnym głosem. – Zyga! Aleś pracował! Wychodziło ci wszystko. Takie piękne rotacje. I nóżki. I te zejścia z linii ciosu.

Uciekałem, myśli Zyga, modliłem się o punkty. Ten byk ma siłę, ledwie wytrzymałem trzy rundy.

– Zyga, Zyga – powtarza pan i klepie go po ramieniu. – Wygrałeś w najpiękniejszym stylu.

Tak to jest: spotkanie, mecze, zawsze w wielkich miastach, dlatego z wielkimi miastami kojarzy się stan wyczekiwania, napięcia, obaw. Przed każdym meczem. Nie żadna tam trema, a strach. Gołąbek kocha walkę – dobrze skurwysynowi zarabiać forszę na takiej mowie-trawie. Kocha walkę! Boję się nawet, jak już stoję na ringu, jak koncentruję się, jak zaczynam się bić. Kiedyś tak nie było. To Radeberger mnie tak urządził. Ten knock-out. Od tego czasu. A tu, na tym podgórzu, spokój. Życie bez lęku. Niezależność.

I trwałyby te rozmyślania, cmokania w bolący ząb, gdyby wszyscy w samochodzie jednocześnie nie poczuli jakiegoś swądu. Mimo deszczu widać jak zza drzew wypływa niebieskawy, ścielący się tuman. Gorzki zapach staje się coraz gęstszy.

– Coś się fajczy. – Zyga rozgląda się, marszczy czoło.

– Pałą liście – mówi Irena. – Zawsze jesienią.

– W taką mokrą? – powątpiewa Zyga. – Coś się fajczy. Daj parasol.

Wychodzi z wozu i idzie aż za róg, skąd widać całe miasteczko. Pod czarno-czerwonym parasolem Ireny, krępy, niski, sprawia wrażenie szesnastoletniego wyrostka.

– Zyga młodo wygląda – mówi Halina.

– Bo się wcześniej zatrzymał w rozwoju. Ale żebyś mnie źle nie rozumiała. – śmieje się Irena. – Pod tym względem wszystko jest okay.

Zyga gapi się na coś tam przez dobrą chwilę, nim zawróci do wozu.

– To ci z telewizji – oznajmia strzepując z parasola krople deszczu. – Porozpalali ogniska naokoło klasztoru.

– Aha! – mówi Halina. – Inscenizacja!

– Jeszcze podpała klasztor – śmieje się Irena. – Albo i miasteczko. Byłoby, co?

– Dla nich to frajer – mówi Zyga. – Im co? Nie takie numery odstawiali. Ja tam ich nie uważam. Ani ich, ani fotoreporterów. Bywa, że człowiek ma taki moment. Wszystko się decyduje. Na ringu, ma się rozumieć. Już, już wyprowadzasz decydujący cios. Sprawa ułamka sekundy. A taki akurat w tej chwili fleszem, chlast, prosto ci w oczy. Bo musi mieć fotkę do gazety. Ja bym ich w ogóle nie dopuszczał.

– Ireny ojciec też za telewizją nie przepada – mówi Halina. – Jak przemawia, wybijają go z rytmu. Mówił, że nie może się wtedy skupić.

– Za to ja, kiedy zrobię wystawę, to ich zaproszę. – Irena jest w chichotliwym nastroju. – Zaproszę, napoję, wykomplementuję. Na rękach będę nosić. Może mi w tym, Halino, pomożesz?

Stefan wreszcie wychodzi z domku, w którym nie rozbłysło żadne światło. Mrok już zgęstniał. Idzie noc. Tu, w ten zaułek, dociera ledwo nieco tylko światła lampy ulicznej zza rogu. Stefan schodzi po stopniach ganku. Nie może w ciemnościach poradzić sobie z rygłem furtki. Potem zgarbiony sunie do wozu. Halina otwiera drzwiczki.

– Miało być tylko dziesięć minut – mówi Irena.

Zastałeś Owczarczyka? – pyta Halina.

– Straszne – mówi ojciec Ireny. – Muszą szybko mu załatwić dom starców.

– Córka z nim nie mieszka?

– Ta miłość ojca? – dorzuca Irena. – Ta dziewczyna jak malina? Bardzo bym chciała ją zobaczyć.

– Proszę, przestań – mówi Stefan. – Od trzech miesięcy jest w szpitalu.

– Życie – powiada Irena. – Życie słodkie jak miód. I żeby zmienić temat: – Tato! Kto to właściwie był – pyta – ten Bre... Bre... No, ten facet z tablicy, jaką dziś odsłonili?

– Sam nie pamiętałem. – Krzywi się i odpowiada jakoś niechętnie. – Dopiero Jaś mi przypomniał. Zygmunt Brześniak. Plutonowy MO. Zginął w czasie tego napadu. Nazywaliśmy go Kuternogą. Mało go znałem.

– O, raju – mówi Irena. – Waszej heroicznej przeszłości to mam na długo dosyć.

– Też mam jej dosyć – mówi Stefan. – Ale myślę, że przyszłe pokolenia udzielą nam absolutionarium. Daliśmy z siebie tyle, ile było można.

– Ja jestem zadowolona, że tu byłam – oznajmia swe votum separatum Halina.

– Błogosławieni ubodzy duchem. – kiwa głową Irena. – Zyga też się zachwyca. Prawda, Zyga?

Znowu mi pije krew, myśli Zyga, co ją dzisiaj napadło? Poczwała, że coś mi dolega, i pewnie dlatego.

– Zyga – mówi Irena. – Przyznaj się: bardzo byś chciał mieć taką tablicę na murach jakiejś szkoły, Zostać się za bohatera. Marzysz o tym, prawda?

Cały ten dialog pobrzmiwa wrednie. Jak to się stało, że do nich przystałem? – dziwi się Zyga. – Ale mam szczęście do ludzi. Radeberger! Irena!

Przejeżdżają raz jeszcze przez miasteczko, ukazują się ich oczom niebieski półmrok, pełen płam buzującego ognia. Na ścianach klasztoru jakby języki rozpalającego się pożaru. Dymy się snują. Bieganina. Pełno czarnych sylwetek. A z dala, pod parasolami – tłumek ciekawskich.

– Zwolnij, Zyga, popatrzmy – mówi Stefan. – Cóż to za człowiek, ten facet z telewizji! Spójrzcie, co on urządzi.

– Zamówił się na środek – przypomina Halina. – Zdaje się, że ma nadzieję zrobić z tego bombę.

Ładnie to nawet wygląda gdy ktoś dorzuci chrustu do ognia, płomień strzela raz po raz wysoko zza murów. A z obu stron bramy, jak w zamierzonych latach, kopcą i pryskają iskrami łuczywa utknięte w szczeliny muru. I jeszcze świeca dymna, mimo deszczu osnuwająca kościół i klasztor niebieskimi dymami. I ruchliwe kliny światła reflektorów, dobywające z mroku to barokowe rzeźby na frontonie kościoła, to stare, z czasów Sobieskiego, tablice nagrobne.

– Widowisko! – mówi dziwnym głosem Stefan. – Jedziemy! Jak pomyślę, jakie szanse ma dziś młode pokolenie. I co my w latach naszej młodości...

Dudni most. Na tle ołowianego nieba przesuwają się czarna kratownica. I już pod górę, w ten las, znów dramatycznie rozchwiany na wietrze. Pada deszcz. Ciężko pracują wycieraczki. Może dlatego, że wszyscy są jeszcze pod wrażeniem tamtego widowiska, światła reflektorów z tej dekoracji czynią posępną kompozycję w czerni i wielorakich szarościach. Na pustej drodze wóz nabiera szybkości. Zyga przyciska pedał gazu. On jeden nie poddał się nastrojom rodem z odległej przeszłości. Zbyt trapią go własne problemy.

– A jednak jak spojrzę wstecz... – mówi ojciec Ireny. – Na moje życie, i na życie całego mego pokolenia, myślę, że byliśmy w pewnym sensie wybrańcami losu. Tak wiele było nam dane! Tak wiele od nas zależało!

Nikt nie podejmuje tego tematu. A Zyga myśli, jeszcze jedna nieprzeżana noc, nie trzeba było tu jechać. Co mi padło na mózg, że posłuchał Irki? Jutro Radeberger tylko spojrzy i od razu, jak go znam, zrobi kwalifikacyjny sparring. Zwoła innych trenerów, niech głapią, niech punktują. Grzywalski spryciarz. Od razu coś zwącha. I tak już się kapnął, że jest

faworytem Radebergera. Stawka na młodych! Jaki będę na ringu po takim weekendzie? Ten cholerny szczeniak Grzywa. Dobry. Szybki. Młody. Chytry. Ale nie za chytry, bo jakby był mądrzejszy, nie pokazałby tej swojej sztuczki aż do ostatecznych kwalifikacji. Moje szczęście. Grzywa to smar-kul. Kiedy przyjechali pogapić się faceci z władz, ten Priestley i inni, za-chciało mu się błysnąć. Pokazał im tę swoją niebezpieczną sztuczkę. Bły-snął. Na szczęście, nie w walce z Zygą. Ładnie to robił. Sprytnie. Bardzo szybko. Podejście prawą nogą. I to chytre trzepnięcie. Bez sygnalizacji. Lewym prostym. Odskok. Kontra. Niby takie proste. Ale jakie trudne. Szybkość. Jaki ułamek sekundy? Tysięczny? Wtedy na wszystkich zrobiło to duże wrażenie. A największe na Zydze. Wiedział przecież, że musi być lepszy od Grzywalskiego. Przekonywająco lepszy. O klasę. Inaczej Rade-berger go sfauluje. Cały wieczór o tym myślał. I potem całą noc. A na ko-lejnym sparringu prowokował. No, pokaż jak to robisz. Markował odślonię-cia się. Wszelkie podpuchy. Grzywalski nie chciał jednak pokazać mu tej swojej sztuczki. Chował na potem.

Zyga prowokował Grzywalskiego w walkach sparringowych jeszcze nie raz. Miał swą koncepcję kontrakcji, ale chciał ją przećwiczyć. Grzywalski, obrzypas, miał też swój plan. Chował sztuczkę na walkę decydującą. Kto wie, czy nie na jutro.

– Boże miłosierny – mówi za plecami Zygi ojciec Ireny w kółko o tym samym. – Ten człowiek... Wiecie, jak on wygląda? Żywy trup. Czas, prze-klęty czas: młyn, który wszystko miele.

– Ojej, tylko niech tato nie zaczyna.

– Nie poznał mnie. – W głosie Stefana brzmi przerażenie. – Siedziałem tak długo...

– Chyba z pół godziny.

– No, właśnie. I próbowałem. Tak. Siak. A on mnie nie poznał. Mówi-łem. Jestem Stefek. Tak, tak, powiadał. Co za Stefek? Stefek Maziarz. Tak. Tak. Maziarz? Nie pamiętam. Przecież mieszkałem tu, u pana profesora. Na facjatce. Na gorze. W czterdziestym trzecim, i czterdziestym czwartym, i

czterdziestym piątym. A on swoje: Tak. Tak. Nie pamiętam. Nie mogę sobie przypomnieć.

– No i chwała Bogu – mówi Irena. – Może to i łaska losu. Takie osuwanie się.

– Kiedyś uważał mnie za syna.

– Chyba za zięcia – podpowiada złośliwie Irena i spogląda znacząco na Halinę.

– Przypomniałem mu naszą maturę. A on tylko, tak, tak, nie pamiętam, nie przypominam sobie.

– Jak ojciec nie przestanie, to ja zaraz włączę Hendrixa – mówi Irena znając antypatię ojca do tej właśnie muzyki. – Zagłuszę ojca. Nie mam ochoty na zaduszki, na rekolekcje.

– Irena ma rację – mówi Halina. – Oderwij się. Przecież cała ta impreza była sympatyczna. Ludzie życzliwi. Mili. Gościnni. Myślmy i mówmy o przyjemnych sprawach.

Stefan ciężko wdycha. W tym spróchniałym, drewnianym domku coś go bardzo nastraszyło.

– Albo nie myślmy i nie mówmy w ogóle – proponuje Irena. – Bo ja chętnie się zdrzemnę. – I do Zygi: – Tylko ty, mój biedaku, musisz orać, zarabiać na życie. Drugą noc... – nachyla się i całuje go w policzek.

Jej oddech pachnie alkoholem.

Zyga, gdy mijają lepiej oświetlone wioski czy miasteczka kątem oczu widzi jej trochę ptasi profil. Z głową opartą o poduszkę fotela i wpółotwartymi ustami wygląda całkiem inaczej niż wtedy, gdy czuje na sobie czyjś wzrok. Gdy się pilnuje. W tej pozie jest po prostu brzydka. Tak już z nią bywa. Chwilami wydaje mu się prawie piękna. Ale bywa tak jak teraz. Ostra, niekobieca brzydota tego profilu.

Lecz Zyga widział ją już nieraz tak właśnie: Irena odsypia w samochodzie zawsze każde pijaństwo, gdy wracają z jakiejś eskapady. On, Zyga, zawsze prowadzi wóz na trzeźwo, jakby był szoferem jaśnie panienki. A ona odsypia swoje siedem (nazywa to „małą normą”), a czasem i więcej

kieliszków. Zyga od pierwszego ich wspólnego wieczoru wie, że Irena lubi pić (wypiła wtedy pół butelki Martineau). Nigdy go to nie raziło. Dlaczego więc dzisiaj buntuje się? Ale i tak lepiej, że jest głęboko uśpiona, niż żeby odgrywała inną swą ulubioną rolę: anatoma przeprowadzającego wiwisekcję. Miewa takie dni, kiedy lubi dręczyć, obnażać ukryte kompleksy, dobierać się do uważnie strzeżonych tajemnic. Byłaby dobrym oficerem śledczym. Znakomitym trenerem. W każdej chyba roli byłaby świetna. Czasem tych ról za dużo. Czasem miewa jej po dziurki nosa.

Ale co robić? Jak żyć? Z kolei nachodzą go nastroje kontemplacyjne, bo od rana, jeszcze nim pojechali w góry, do tej cerkiewki – już rozważał swój los. A teraz Irena podpowiedziała i to słowo – rekolacje. O, rany, ale jestem na zakręcie, myśli, co dalej, Zyga, co dalej? W Warszawie, gdy go nadchodzi taki nastrój, chandra, tąpnięcie, bezjałectwo – urywa się z domu. Wędruje wtedy co ciemniejszymi uliczkami. Dwie, trzy godziny sam na sam ze sobą. Potem w jakiejś knajpie setka, by ulżyć sercu. I do domu.

Kiedys zamyślony w takim rekolekcyjnym transie zaszedł nocą do Łazienek. W wiosennych, pełnych szelestów ciemnościach ujrzał jarzące się światła w jednym z pawilonów. Sam nie wiedział, jak to się stało, że podszedł do okna pałacyku. Stając na obmurowaniu zajrzał do wnętrza iluminowanego, pełnego dostojnych, czarno ubranych mężczyzn otaczających kręgiem jakiegoś łysego jegomościa, który z zapalem przemawiał. Gapił się i doznawał gorzkiej przyjemności. Zyga, widzisz jacy są ci, co mają głowę na karku? Obraz późnowieczornej galówki – dekoracji? otwarcia? nominacji? – zafascynował go i byłby tam tkwił dłużej, lecz nagle z jazgotem i ujadaniem dopadły go psy strażników. Bronił się rozpaczliwie, jakimś w ostatniej chwili zmacanym drągiem i myślał z przerażeniem o swoich nogach, o pokaleczonych przez te psy nogach. Psy mogły go załatwić na amen jako zawodnika. Wreszcie otoczyło go sześciu umundurowanych i uzbrojonych mężczyzn. Pod lufami automatów prowadzili go na wartownię. Głupio

wyszło. Jak tu tłumaczyć, co robiłem o tej porze w czarnych jak czeluść piekła Łazienkach, pod oknem, za którym ów dostojnik i wszyscy tam obecni na odgłos ujadania psów przeżyli chwilę strachu, przekonani, że czai się na nich – kto by pomyślał! – jakiś zamachowiec.

Co dalej, Zyga, co dalej? Wystarczy o tym pomyśleć, a już cała twarz w zmarszczkach. Taki charakter. Już troska! Ma to po matce. Ona też zawsze się zagryza. Gdy coś jej się nie podoba, zaciska usta tak, że wokół nich tworzy się mnóstwo drobnych zmarszczek. Zyga, jak je widzi, już wie, co to znaczy.

Gdy Irena wyszła z ich mieszkania po pierwszej krótkiej wizycie, matka miała wokół ust więcej zmarszczek niż kiedykolwiek.

– Zygmus – powiedziała. – Kogo ty bierzesz za żonę?

Irena ubrała się na tę wizytę skromniutko i wyglądała jak pensjonarka.

– Co się mamie nie podoba? – zapytał wystraszony.

– Zygmus, pomyśl dobrze, co robisz!

Jakże niepokoiła go teraz przyszłość: co będę robił, jak zejdę z ringu? Inni się urządzili. A ja? Ja naśmiewałem się z Musiała, waga kogucia, że założył wytwórnę krawatów. I mam płótno w kieszeni. Medale? Wszyscy zapomną o nich za rok. Działacze? Tych skurwysynów nienawidzi. Wie przecież, że niczego po nich nie może się spodziewać. Pijawka – jak mówią starzy – chociaż dobra na zdrowie. A działacze? Tylko krew ssać! Żyją z nas. Ale coś bezinteresownie?

Bardzo niepokoi go przyszłość. Pamięta będę panującą w domu. Ojciec zginął w wypadku na kolei, potem matka, którą bardzo kochał, męczyła się długie lata, pracując od świtu do późnej nocy. Bał się nawrotu nędzy. Miał wrażliwą wyobraźnię. Czasami widział siebie na wózku inwalidzkim. Albo w zakładzie (jakiś krwiał mózgu po ciężkim nokaucie). A matkę – jak do niedawna – bez grosza przy duszy. Zaoraną. To znów wyobrażał sobie nagły spadek formy, sytuację, w której od razu stawał się nikomu

niepotrzebny. I znów – stan łąkowy. Był dobrym dzieckiem. Matka chwaliła go za posłuszeństwo. Miał „łatwy”, jak mawiali nauczyciele, charakter. Trenerzy również nie mieli z Zygą żadnych kłopotów. Radeberger, który go nie lubił (Bóg wie dlaczego), powiedział kiedyś po wódce: Jesteś flakot. Plastelina. Co z ciebie za chłop? Całkiem bez jaj. Raz chociaż byś się postawił. A Irena, poznawszy tą jego miękkość, zasmakowała w niej. Chyba już wtedy przeczuła, że taki jest, kiedy uwalniając się z jego ramion, powiedziała: – Nie tak, pokażę ci, jak chcę – i stworzyła precedens w ich obyczajach seksualnych, zaprowadzając niejako i w tej dziedzinie dyktatorski matriarchat.

Teraz na szosie zmytej ulewą jest jak na takim właśnie rekolekcyjnym spacerze: mrok, cisza, samotność czy raczej – jak w wielkim mieście – tylko jej pozór. I Zyga może w spokoju się pomartwić. Te czterdzieści osiem godzin! Wciąż o tym myśli. Raz po raz z ukosa spogląda na Irenę, na jej w głębokim uśpieniu niezamaskowany profil drapieżnika. Buntował się od dawna przeciw Radebergerowi. Ale taki bunt to kaszka z mlekiem w porównaniu z kontrą daną Irenie. Radeberger – wielka rzecz! Teraz, gdy wyraźniej widział koniec swej kariery, teraz Radeberger w ogóle się nie liczył. Ten mecz – i adieu! Z Ireną całkiem inna sprawa. Sam przecież dobrowolnie pod” dał się jej prymatowi.

Wtedy, w mieszkaniu tego koleżki, w scenerii jak z filmu: na ścianach niesamowite plakaty, po kątach jakieś dziwne przedmioty z gipsu, części rowerowych, instalacji elektrycznych i mnóstwa banalnych drobiazgów, kluczy, połamanych okularów, widelców, pudełek blaszanych i kolorowych żarówek, w tej dekoracji ich pierwszego spotkania wszystko zrazu zapowiadało sprawę bez znaczenia. Zyga nie miał żadnych przeczuć. Zazwyczaj gdy dała znać o sobie fizjologiczna potrzeba kobiety, łowił jakąś cizję – kelnerkę w ośrodku treningowym, poznaną w pociągu konduktorkę, dziewczynę z AWF (te czyniły to z miłości do sportu). Ostatecznie poznaną w kawiarni profesjonalistkę, choć na takie żal było forszy. Najciekawsze

były chopsy zagraniczne: wszyscy koledzy je kolekcjonowali. Kurwa z Pigalle (specjalność – mineta). Masochistka z Sankt Pauli w Hamburgu (wysokie buty i cyce nastrzykane parafiną). Pomysłowa rozwiązołość dziwek z Via Appia. Radeberger pozwalał po meczach na takie skoki. Sam w nich gustował. Zyga nie chciał się wyróżniać, choć szkoda było franków, dolarów, marek, lirów. Ale czy można było robić z tego problem? Problemem mogły się okazać tylko konsekwencje zawodowe. Trenerzy ostrzegali. Bał się, jak wszyscy, syfilisa. Ale jakoś się udawało. I wszystko zazwyczaj szło gładko. W Polsce setka wsuwana w garść pana z recepcji załatwiała sprawę w znajomym hotelu. Bez problemu. Ewentualnie telefon do koleżki. Klucz odnajdywany pod wycieraczką do nóg. Własny dom nie nadawał się do tych intymnych celów. Zyga mieszkał z siostrą i matką.

– Ale klacz. Wiesz, kim jest ojciec? – zapowiedział koleś. – Ho, ho, jaka dziana! Szuka przygód. Nie daj się zdemolować.

Jakie było pierwsze wrażenie? Irena w sweterku robionym szydełkiem, ramiona nagie, bez biustonosza, siedziała w starym fotelu przybrawszy śmiałą pozę, długie i ładne nogi wyciągnęła aż na środek pokoju. Zmieszany, skinął głową, zupełnie jak na ringu, i chyba nawet zaczerwienił się pod jej spojrzeniem, taksującym i nieprzyzwoitym. Gdy zostali w tym prawie nieumeblowanym, ale zagraconym mieszkanku sami, traktując zazwyczaj takie partnerki bez zbytnich ceregieli, tu nagle, z niezrozumiałej przyczyny coraz bardziej skrępowany, przeżył pokusę ucieczki. Dziewczyna patrzyła natarczywie przez olbrzymie okulary. Skojarzyło mu się to z badaniami kwalifikacyjnymi. Z jakąś przykrą i nawet poniżającą komisją zdrowotną. Zdał sobie sprawę, że nastrój przepadł. Nic nie pomoże butelka koniaku i nalane do pełna kieliszki. Już nie chce, nie potrzebuje tej dziewczyny. Nie podobała mu się zresztą. Co za makijaż! Ale się odpicowała! I te sznury dziwacznych ozdób na szyi. Jakieś ogromne pierścionki, do niczego niepodobne.

Wstał z brzeżku tapczana, podszedł do okna. Odwrócił się do dziewczyny plecami. Agresywna i niezrozumiała brzydota wiszących na ścianach plakatów, bezsens żmudnie zmajstrowanych „dzieł sztuki” rozstawionych po kątach, wszystko to robiło wrażenie przygnębiające. Akt płciowy tu, w tym otoczeniu wydał mu się równie nieprzystojny jak miłość w kostnicy. Widział odbicie dziewczyny w szybie. Chyba ją tu zostawię, pomyślał. Głupio. Ale przecież gospodarz to jej koleś. Poczekaj na niego.

Irena wyczuła, że moment jest krytyczny.

– Wie pan, po co tu przyszłam? – powiedziała i usłyszał, że wypila swój kieliszek koniaku i odstawiła go.

Przez moment miał ochotę odpowiedzieć jej brutalnie, że wie. Że nie ma co do tego wątpliwości. Ale bąknął tylko ni w pięć, ni w dziewięć:

– On jest pani kolegą?

– Powiedział, że pan jest modelem. Że pozuje mu pan do plakatu.

– Tak powiedział? – mruknął, odwrócił się i spojrział jej prosto w oczy.

Chodziła po pracowni. Niedbałym ruchem dłoni nadała pracowity ruch tej pseudorzeźbie ustawionej w kącie koła drzwi. Zaczęły kręcić się jakies zębátky, zaterkotała jakaś przekładnia, błysnęły kolorowe, choinkowe żaróweczki.

– Czy on panu płaci za pozowanie?

– Jestem sportowcem – powiedział. – Bokserem.

– To po panu od razu poznać.

– My nie zarabiamy w taki sposób.

– Więc z czystej przyjaźni?

– Jak najbardziej.

Do reszty tracił pewność siebie.

– Mówił mi, że pan ma bardzo piękne ciało. Gdybym go nie znała, pomyślała bym, że tak zachwycać się może tylko pedał...

Zaszła go od tyłu, jakoś zniecka. Nagle położyła mu na karku gorącą dłoń. Poczul, że jest szorstka. Dostał gęziej skórki.

– ... albo kobieta – dokończyła. Ręka powędrowała wyżej. Zanurzyła palce w jego włosach.

Gdy odwrócił głowę, miała skupioną, poważną twarz, w jakiś szczególny sposób nacechowaną bezwzględnością.

Tak się to między nimi zaczęło. Właśnie tam, w tej zimnej, nieludzkiej rupieciarni, wśród przedmiotów, od których emanowała wrogość. Tam kochali się po raz pierwszy i wtedy Irena – Nie, ja tak nie chcę – powiedziała po raz pierwszy. Odtąd jej „ja tak nie chcę”, lub „ja tak chcę” miało decydować o, wszystkim. Tak jak i o tej eskapadzie.

Zyga przyjął te warunki. Czynił to potem już stale. Zamieszkał wraz z Ireną w jej pracowni, czterdzieści osiem metrów kwadratowych, czternaste piętro, kłopoty z wodą i gazem, kąpać trzeba się raczej na mieście, ona – u ojca, on w swym własnym dawnym mieszkaniu, u matki i siostry myślącej właśnie o zamążpójściu. Pracownia była jasnym, słonecznym, pełnym ładnych przedmiotów pomieszczeniem dającym się lubić. Irena naznosiła tu i nazwoziła z wszystkich kątów Polski i z wielu miast Europy mnóstwo drobiazgów – pitulek, jak je nazywała.

W istocie to była jedynie dekoracja. Ważny był tylko stół – olbrzym, przy którym pracowała, zawałony pudłami kredek, mazaków, paletami i szkatułami pełnymi tub, blokami rysunkowymi, zwojami kalki. Wszystko to odsuwała brutalnie na bok, gdy zasiadali do jedzenia. Kuchenka gazowa i zlewozmywak były o pół kroku. A w drugim kącie, zarzucony kraciastym pledem, czekał wielki materac. Tam robiła Irena z nim „co zechce” – jeśli reżim treningów na to pozwalał. Był więc zrazu mężem przyszywanym, żyli na kocią łapę. Ale Irena już przedstawiała go po staroświecku – mój mąż, i tak mówiła o nim nawet w obecności ojca czy Haliny. Mój mąż. Moja własność. Aż się wszyscy przyzwyczaili.

Kiedy on sam użył po raz pierwszy tego określenia – moja żona? Przypomnił sobie ów jesienny, ciepły dzień. Było to na zgrupowaniu przed międzypaństwowym meczem, ważnym, prestiżowym. Rano w dresach z

napisem na plecach „Polska”, dużo biegali po pięknym bukowym, rdzawo-
żłocistym lesie. Trenowali forsownie i byli pod ścisłym nadzorem. Po ćwi-
czeniach siłowych, w obszernej przeszklonej hali otoczyli drugiego trenera,
który jak co dzień wyznaczał każdemu programowe, kondycyjne zajęcia.
Jego łysa głowa, cała zalana słońcem i połyskująca fioletowo, pochylona
nad kartkami maszynopisu, zasłaniała Żydze do ostatka widok intruza,
który bezczelnie i Bóg wie jakim cudem wtargnął aż tu, do tego strzeżone-
go, tylko dla mężczyzn sanktuarium. Nagle wyzywający głos Ireny:

– Szukam ciebie, Zyga.

Moment osłupienia, jakby do haremu sułtana wtargnął wyjątkowo nie-
bezpieczny podrywacz. Tyle, że hurysy (tzn. zebrani na selekcji zawodnicy)
nie rozbiegły się z piskiem. A strzegące ich eunuchy (w tym wypadku
trenerzy) nie rozwrzeszczeli się, nie chwycili za miecze.

Trener obejrzał się, łysina mu jeszcze bardziej zsiniała.

– A to co znowu? – spytał zduszonym głosem. – Któż to, u licha?

Zyga przełknął ślinę. Gapił się. Nie wierzył własnym oczom.

– To moja małżonka – powiedział wreszcie.

Wszyscy zbaranieli.

– Wyprowadź ją z hali i zaraz wracaj – warknął trener. Ale już wieczo-
rem był przez Irenę ugłaskany.

– Cwana babka – powiedział do Zygi. – Kiedyście się pobrali? Czemu
ukrywałeś to przed nami?

– Jakoś tak... Nie wiedziałem, jak powiedzieć.

– Ma klasę. Powiedziała, kim jest jej ojciec – szeptał trener. – Rozu-
miem ciebie, chłopie. Pewnie stary sobie nie życzy, co? Artystka i bokser,
hę? – poklepał go po plecach i jeszcze ściszył głos. – Tylko nie daj się zwa-
riować. Tyleś wart co i ona...

I tak już zostało. Irena wkręciła się sprytnie w łaski trenerów. Umiała
owijać sobie starszych mężczyzn dookoła małego palca. Miała na to własny

przepis: zgrywała się na córeczką, dawkowała sprytnie komplementy, jeszcze sprytniej – nieobowiązujące poufałości. I nagle pokochała boks. Jeździła teraz z Zygą. On na zgrupowanie, ona na improwizowany na własną rękę w tej samej okolicy plener. Nie opuszczała żadnego meczu. Po walce – sobie tylko znanymi (a miała ich spory repertuar) sztuczkami znajdowała drogę do szatni. Zaprzyjaźniła się z masażystami. Coś im tam załatwiała warszawskimi chodami. Kokietowała działaczy. A trenerów traktowała jak dobrych wujaszków. Stanowiła pod tym względem niemal wyjątek, bo nie lubili oni raczej i bali się żon zawodników, ich wymagań, kapryśków, babskich zachcianek. Z Ireną było inaczej.

– Wiesz, o co mnie twoja żona wypytywała? – powiedział kiedyś Zydze rozanielony pierwszy trener – O te sprawy... Znaczą się, łóżkowe. Radziła się. Mądra dziewczyna.

Pierwszą walkę Zygi obserwowała Irena we Wrocławskiej Hali. Było to spotkanie reprezentacji narodowej. Ciężkie, prestiżowe spotkanie, Irena siedziała od dwóch dni we Wrocławiu. Wchodząc na ring, dojrzał ją, ale zaraz stracił z oczu, schylony pod linami, jeszcze w płaszczu, z ręcznikiem na ramionach, już rozgrzany oklaskami, jakimi powitała go hala (lubił tu walczyć, jeśli mógł w ogóle zaryzykować stwierdzenie, że lubi gdziekolwiek na świecie walczyć. Było to przyjazne miejsce, nigdy tu nie przegrał i zawsze go tu serdecznie witano), zatem rozradowany reakcją hali i myśląc, byle tylko nie dać się temu Szwabowi, kto może wiedzieć, jaki będzie na ringu, ujrzał ponownie Irenę w drugim rzędzie krzeseł, wśród bokserskich ciż, obok siostry innego zawodnika, i żony drugiego trenera. Zerwała się z krzesła, machała ręką, twarz – co dostrzegł – miała jakby radośnie wypiękniała. Zrobiło mu się ciepło koło serca.

Hala aż pod wysokie sklepienie huczała, nastrojona poprzednimi walkami na nutę entuzjazmu. Jak zwykle, światła tworzyły w półkolistym stożku nad ringiem dziwaczne i piękne gry. Było duszno i bardzo gorąco. Wentylacja szwankowała. Zyga z narożnika raz jeszcze się obejrzał. Setki

twarzy, tysiące głosów. Odszukał ją wzrokiem. Znów mu zamachała ręką.

Walczył na pokaz, po mistrzowsku, i wielu uważało, że była to jedna z piękniejszych walk w całej jego karierze. Matka w Warszawie nagrała relację i radiową i telewizyjną. Miał je i teraz przy sobie, na taśmie kasety, którą Irena wsunęła mu przed godziną do kieszeni. Tamci spali. Odczuł pokusę, by kasetę założyć do odtwarzacza i posłuchać, choć na pamięć znał każdy zwrot, każde słowo sprawozdawców.

„... jest zawodnikiem utalentowanym i ambitnym. Dziś trafił na groźnego przeciwnika.” Tak zaczynał pan z radia. Gdy to mówił, nad Zygą nachylał się trener i warczał: Uważaj, chłopcze, tylko uważaj! To siłowiec, ale nabrał wagi, musiał to zrobić, wiesz przecież jak to daje po kulach, cztery kilo wyżej. Coś o tym wiesz, prawda?

Zyga wiedział, co to znaczy. Słuchając mamrotania trenera przez sekundę miał kłopot z koncentracją. Kusiło, by raz jeszcze się obejrzeć. Nie pozwolił sobie na to. Gdy sędzia wezwał ich obu z narożników na środek, sprawdził pro forma rękawice i zagadał coś w niezrozumiałym języku – z węgierska po angielsku czy też z angielska po węgiersku – Zyga myślał tylko o jednym: jak wygrać z tym Niemcem. Był to kłocowaty, ciężko umięśniony góral z Schwarzwaldu. Wyglądał na zabijakę. Niższy od Zygi, cięższy, miał krótsze ręce. Zyga wiedział, że to bokser siłowy, o wielkiej kondycji i czasce z żelaza. Wiedział i to, że wymiana ciosów mogłaby zakończyć walkę przed czasem, na korzyść tego rzeźnika. I wiedział, że ów mistrz z Dachau – tak nazywał go pewien znajomy dziennikarz – ma ciężkie, nieruchliwe nogi, istne platfusy. Że skończył trzydzieści lat

Pan w radio relacjonował początek walki.

„Proszę państwa, ten Niemiec ma dynamit w rękawicach, wie o tym, tak będzie prowadzić walkę, zaczął ją ofensywnie, ale nasz zawodnik wyłapał ciosy na rękawicę. O! Gołąbek, to świetny technik, proszę, jakie ładne

przejście z narożnika na środek ringu, bardzo ładne, prawa kontra, poprawka i zejście z linii ciosu. Znów kontra w odskoku...”

Potem napisali w „Przeglądzie”, że Zyga przeciwnika zatańczył. Zatańczył! Istotnie był to początkowo – jak się na to patrzyło z dalszych rzędów widowni – taniec swego rodzaju bokserski balet. Zyga trzymał tego zbójnika z gór na dystans i punktował, punktował. Ma trzydzieści lat, powtarzał sobie. Jest stary. Ma trzydziecie. Tamten już w pierwszej rundzie zmęczył się: tempo było bardzo ostre. I te dłuższe ręce Zygi. Nie wymyślił nic mądrzejszego na ten taniec, na te pląsy po ringu, i na Zygi prawe proste, jak tylko zamachowe, sygnalizowane, straszliwe i chybiające ciosy. Wyglądało tak, jak gdyby uganiał się za Zygą po ringu – by go zabić. Bardzo emocjonujące widowisko. Gdyby któryś z tych jego ciosów naprawdę doszedł, walka skończyłaby się przed czasem.

Gdy gong oznajmił koniec rundy, Zyga dostał oklaski. Nabrał pewności siebie. Przed meczem sam punktował swoje szanse fifty-fifty. Teraz uznał, że Niemiec jest do pokonania. Pan w radio mówił radosnym głosem, że Gołąbkowi bardzo odpowiada taki właśnie sposób walki.

– Prowadzisz na punkty – chrypiał trener, wymachując ręcznikiem, głosem wcale nie zachwyconym. – Ale musisz bić. Bić, słyszysz! Wal w korpus. Łeb ma za twardy. Szczękę jak z żelaza. Bij w wątrobę. Punkty nie starczą. On może ciebie trafić, rozumiesz?

Gong – i wesoły wrzask Ireny. – Trzymaj się, Zyga!

W drugiej rundzie Niemiec zmienił taktykę: zaczął walczyć defensywnie, zasłonięty, na coś wyczekujący.

„Gołąbek po obronie biernej przeszedł do kontrataku – powiedział pan z radia. – Dwa ciosy zablokował i dwa zadał”. Zyga pamiętał te chwile inaczey: nic się nie działo. Wszystko to, co dostrzegł sprawozdawca, było pozorowane. Obaj, Zyga i Niemiec próbowali wytrzymałości swych nerwów. Trwało tak ze trzydzieści sekund. Odezwały się nawet gwizdy. Sędzia krzyknął: – Walka! Ten okrzyk: Walka! – i ułamek sekundy stracona na

posłuszne spojrzenie rzucone sędziemu, drągalowi w przepoczońskiej koszuli i czarnej, przekrzywionej muszce na gumce. Ten ułamek sekundy! Ten odruch posłuszeństwa! Potem Zyga wiele rozmyślał o tej chwili. I miał do siebie pretensję. Gołąbek – gentleman ringu! Zawsze fair! Zawsze wykonujący zalecenia trenerów! Uważnie łowiący każdy gest sędziego! Omal wtedy za to nie zapłacił. Jak zawsze posłuszny, za szybko, ze złej pozycji zaatakował i omal nie przyplacił tego drogo, bo góral technicznie nie taki zły, jak zapowiadał trener, wyprzedził go kontrą. Na szczęście, ten cios jakby poszedł bokiem – sprawozdawcy, sprzyjający Zydze, napisali, że stało się tak dzięki jego mistrzowskiemu unikowi, ale była to nieprawda. Po prostu tak zrzędził przypadek, chaos ruchów, zmęczenie, dość, że Niemiec spuścił rękawicę, rękawica trafiła w bark i tylko zawadziła o głowę Zygi. I tak starczyło, by przez następne pół minuty był groggy. Instynkt, rutyna, odruch samozachowawczy? Ze wszystkich sił starał się utrzymać tamtego na dystans. Niemiec poszedł za kontrą do ataku. Pan z radia zapewniał, że Gołąbek, choć odczuł cios, jest zupełnie sprawny. Zyga z trudnością dociągnął do końca rundy. Bardzo wysoko mu to policzono: jakie morale!

Hala jednostajnie huczała, zupełnie jak morze w czasie sztormowego przyboju. Dobrze byłoby znaleźć się daleko stąd. I wciągnąć w płuca dużo czystego powietrza. Tu powietrza nie było. Dym tysięcy papierosów. Oddychał ciężko, mozolnie wyrównywał oddech, walczył o trochę jeszcze tlenu.

– Trafił mnie skurwiel – powiedział. – Ależ ma kopyto!

– Prawa brew ci trochę krwawi. Bij w korpus.

– Myślałem, że mnie zabił – powiedział Zyga i przeplukał usta. – Nie wiem, czy wytrzymam третią rundę.

– Masz go. Aż tu słycać jak rżęzi.

Ale na początku trzeciej rundy wyszła Zydze piękna kontra i Niemiec, już zbyt pewny siebie, od razu ochłódł. Podniósł gardę. Wtedy Zyga przypomniał sobie o jego wielkiej wątrobie. Krwistej, powiększonej wątrobie

trzydziestolatka, który żłopie piwo. Wątroba! – myślał – Mistrz z Dachau! Wyszedł mu cios pod prawy łokieć tamtego. Poczuł jak rękawica grzęźnie – mimo osłony mięśni – w tej cholernej, szwabskiej, nabomblowanej wątrobie. Góral próbował różnych osłon. Zyga przestał się bać i przypomniał sobie, że ma ręce naprawdę dłuższe. Wychodziły mu jeden za drugim, demolujące ciosy w korpus. Ból i strach na twarzy tamtego. Zmęczony ten Szwab! A Zyga markował lewą prostą. Prowokował odruch obronny. Prawą trafiał w korpus.

Góralowi zaczęły opadać rękawice. Gdy Zyga go trafiał, stękał jak chory koń. Ten odgłos dodawał sił. On jest stary! Ależ go boli wątroba! Seria w korpus. Już wiedział, że Niemiec jest na wykończeniu. Pomyślał o Irenie. Przynosi mi szczęście? Pokażę jej jak się walczy. Niemiec kleił się do Zygi, a on pakował serię za serią. W starego, zdartego, zdeklasowanego eksboksera. W to truchło. W tego trupa. A gdy góral, uciekając, odbił się od lin i wyleciał mu naprzeciw, trafił ciosem tak pewnym, jakby bił w worek treningowy – wprost w splot słoneczny.

Stał w narożniku, dyszał ciężko, oparty oburącz o liny. Zrobił dwa przysiady, nogi miał jak z waty, ale to wiedział tylko on i, kurdebalans, przecież nawet rzeźnik, szlachtując wołu, może się zmęczyć. Nasłuchiwał wrzasku sali. Był szczęśliwy. Już po meczu. Na środku ringu liczono tego twardzieła, który przy ośmiu próbował się dźwignąć, i może udałoby mu się to, może przed dziesiątką podniósłby się nawet, był starym rutyniarzem – instynkt, odruch, nawyk setek walk – ale gong zakończył walkę.

Ja też mam dosyć. Więcej bym nie wytrzymał – myślał Zyga – Technika! Boks siłowy! Dobrze im wymyślać takie gadki-szmatki.

Była to piękna walka. Tak pisano. Może najpiękniejsza w karierze Gołabka. Wielki triumf boks technicznego nad siłowym.

– Mam szczęście, że on jest taki stary – powiedział Zyga do trenera. – Że chlał całe życie tyle piwa.

Laur. Gratulacje. Komplementy. Zyga zazwyczaj nikomu się nie zwierzał, ale wówczas reporterowi Przeglądu powiedział to co w istocie myślał: – Jestem szczęśliwy, że wygrałem ten pojedynek. I nie zawiodłem sympatyków boksu. Niemiec twardy, ma cholerną siłę ciosu. Niebezpieczny przeciwnik.

Triumfalny wieczór i potem triumfalna noc spędzona w pokoju hotelowym Ireny.

- Byłeś wspaniały!
- Nie mówmy po walce o boksie.
- Dlaczego? Podziwiałam ciebie.

Była to piękna noc. Irena, podniecona, kochająca i miękka, nachylała się nad Zygą i powtarzała wbrew temu, co czynią jej ręce, że musi go oszczędzać. Pierwszy raz przeżyła taką emocję i nigdy tego nie zapomni. W hotelowym pokoju pali się światło i Zyga uśmiecha się patrząc na jej ciało, takie sprawne i nieomyślne, na jej ramiona i piersi tuż nad nim i odbite w lustrze toaletki, które powtarza każdy jej ruch. Na twarz zmieniającą się w spazmie.

Potem, gdy Irena zapalała papierosa, powiedział półgłosem:

- W czasie tej walki przeżyłem taki moment...
- To ja ci powiem, co przeżywałam, jak ty tam na ringu...
- O tym ja wiem i bez opowiadania... – powiedział Zyga i uśmiechnął się. – Nie jestem taki głupi.

A rano, gdy szli na dworzec, już buntował się i miał moralnego kaca.

– Zawsze wszystkich słucham. Wczoraj przez to moje pieprzone posłuszeństwo o mało nie przegrałem walki.

- Pięknie walczyłeś...
- Do następnego razu mam to z głowy. Wiesz, ja właściwie nie lubię boksu – powiedział ścisząc głos. – Ale nie powtarzaj tego nikomu.

Okazała się lojalna i nikomu tego nie powtórzyła.

Silnik znów kaprysił, raz po raz tracił moc, jakby zachłystywał się nie słabnącą ulewą. Gdy przejeżdżali pod zasnutymi nawałnicą lampami na

rynku jakiegoś miasteczka, udawał złośliwie, że wszystko w porządku. Na przedmieściach znów się narowił. W miejscu najmniej nadającym się na postój, na garbie wystawionym na pastwę wszystkich wicherów, rozkaszał się. Nie pomogły sztuczki Zygi, który manipulował ssaniem, próbował forsowania obrotów. Reanimacje nie udawały się. Silnik omdlewał i wreszcie zgaśł.

Zyga sprowadził wóz na pobocze. Przekręcił kluczyk w stacyjce, zdjął ręce z kierownicy. Żadnych brzydkich słów, żadnych przekleństw. Zgasił światła, chwilę siedział bez ruchu. Jesienna noc srożyła się jak w melodramatycznym filmie. Znikły jeszcze przed chwilą dobywane z ciemności przez reflektory żalosne, odarte z liści, chwiejące się bezsilnie drzewa. Wicher pojękiwał ludzkimi głosami.

Tamci spali. Stefan cicho pochrapywał. Zyga przypomniał sobie, jakim łatwym, weekendowym skokiem wydawał się ten wyjazd. Irena umie przedstawić każdą rzecz tak, jak to jej wygodnie.

Na języku czuł niesmak. Moralna zgaga. Różne pretensje do samego siebie. Nie umiał ich nawet nazwać. Mieszało się wszystko. Druga noc z głowy! A przecież nikomu nie jest zobowiązany świadczyć usług. Pomyślał to i było, jakby cmoknął w bolący ząb. Związany! Irena dysponuje mną jak milicjant ruchem na rogu Alei i Marszałkowskiej. Związany! Choćby zaraz możemy się rozejść. Każde w swoją stronę. Przymknął oczy. I znów powtarzał: Jestem rozdrażniony, bo się boję. O kondycję. O sparring kwalifikacyjny. Boję się Radebergera. Trzeba obudzić starego, niech prowadzi. Jutro od rana sparring, muszę wypocząć, złapać parę godzin snu. Ale najpierw co z motorem? Chyba znów ten gaźnik. Przedmuchać. Stary nic nie pomoże. Rozłoży bezradnie ręce. Zyga, pokaż, co umiesz... I jeszcze: Po powrocie każę memu kierowcy... Nie opłaca się go budzić. Jak zimno się zrobiło. Wyjść na tę ulewę, brr! Najpierw jednak krótki relaks, chwila drzemki. Potem niech się stary męczy. On, Zyga, aż do Warszawy, owinąwszy się w pled, będzie spać, spać, spać...

Rzadko miewał sny. Właściwie tylko w noc po walce. Męczące, niemal koszmarnie. Gdy był zmęczony, nic mu się nie śniło, tak jak dziś. Obudził się, spojrzął na zegarek. O, raju, pomyślał z przestachem, minęły dwie godziny, tak późno! Siedział nieruchomo przez chwilę. Musiał się odnaleźć po tej zapaści. Czuł ssanie w dołku. Nie jadł kolacji. Regularność posiłków uważał za rękojmię dobrej formy. Tylko żeby nic na zimno! Miał złe doświadczenia z zimnym posiłkiem w przededniu walki. Niedaleko miasto. Postanowił bez względu na to, co powiedzą towarzysze podróży, stracić jeszcze godzinę i zjeść gorącą kolację. Duży kawał krwistej wołowiny. Ale czy coś takiego dostanę o tej porze? Pomyślał o tym jak o zadaniu najwyższej wagi.

Najpierw należało jednak zrobić coś z tym przeklętym, strajkującym motorem. Zapalił światła. Na dworze pojaśniało. Deszcz trochę przycichł. Nie był już gwałtowną nawałnicą. Zacinał monotonna, smutno. Zyga popatrzył z ukosa na śpiącą Irenę. Kiedy indziej może by jej nie budził. Dziś był w złym nastroju. Dziś jej prawie nie lubił. Wahał się przez moment, potem potrząsnął ją za ramię.

– Poświecisz mi – powiedział. – Znajdź parasol i latarkę.

Trwało to bardzo długo, w wicherze i deszczu. Irena szamotała się z szarpanym przez wiatr parasolem. Nic to nie pomagało. Deszcz zaciekał za kołnierz marynarki, wełna pęczniała od wilgoci. Myślał z coraz większą złością: Brakuje, żebym się zaziębił! Wreszcie silnik zaskoczył. Przemokli do cna i musieli przebrać się w mniej wilgotne ubrania, które już raz w tym dniu im służyły. Robili to w milczeniu. Irena wyczuła, że Zyga jest wściekły. Wołała nie prowokować rozmowy.

Dochodziła północ, gdy wreszcie ruszyli z tego przymusowego, fatalnego postoju, Stefan i Halina wszystko to przespali. W kwadrans później Zyga zatrzymał się przed orbisowskim hotelem, w ostatnim dużym mieście na tej ich nocnej trasie.

– Muszę coś zjeść. I wypić setkę.

– Oczywiście – powiedziała Irena. – Musisz. Sama o tym myślałam.
– Na pewno za mocno przylałem temu pijakowi. – Nie masz innych zmartwień?

– Zmartwień to mam ile chcieć.

– Wypijesz setkę i ci przejdzie.

Z irytacją zbudziła tamtych dwoje.

– Jeśli mam dalej prowadzić, napiję się kawy – powiedział Stefan. – A wy, moje panie?

– Zostajemy w wozie – zdecydowała Irena. – Prawda, Halino?

– Stefan, ty przecież piłeś. Nawet dużo.

– E..., minęło już parę godzin – zbagatelizował. – Zresztą Zyga musi przecież odpocząć. Orzemy w chłopca od wczoraj.

W szatni restauracji kategorii S wynikły kłopoty. Zyga był w dresach, które – jak orzekł pan szatniarz w bordowym, szamerowanym, orbisowskim uniformie – nie wchodziły w ogóle w rachubę. W lokalu dancing! Wszystko wokół wibrowało od maksymalnego nagłośnienia. Saksofon grzmiał jak strażacka orkiestra. Perkusja przypominała odgłosy pola bitwy.

– Kierownika! – burknął Zyga. – Dawaj pan zaraz kierownika! – i pode-
tknął wykidajle legitymację.

Ważny pan w uniformie długo ją oglądał.

– Mamy tu z głodu zdychać? – Zyga się zeźlił. – Czytać pan nie umiesz?

Poskutkowało i w chwilę później łysy, pulchny kierownik sadowił ich w kącie sali przy służbowym – jedynym wolnym – stoliku.

– Krwisty, podwójny befszytk. Da się zrobić? – zamawiał Zyga. – Do tego dwie setki. Zmarłem, zmokłem. Jak mam wyjść z życiem, muszę się najeść i napić.

– A dla mnie gorący szatan – powiedział Stefan.

Nagle ucichło, aż rozdzwoniło się w uszach. Orkiestra robiła przerwę na kolację. Młodzi, długowłosi panowie na iluminowanym podium porzucali piękne, połyskujące instrumenty i odchodzili w, ślad za solista, gdzieś w

głąb kuchennych zakamarków. Tłum z parkietu rozsypał się po sali. Zapaliły się jasne światła.

– Jak mnie zobaczą – powiedział Zyga i jakby skurczył się w sobie – zaraz ktoś poprosi o autograf.

– No, proszę, komu się na Rusi dobrze wiedzie... – powiedział Stefan.

– Dlaczego na Rusi?

– To taki tytuł wiersza – wyjaśnił Stefan. – Czy może powieści.

– Mnie się niby tak dobrze wiedzie?

– Może nie? Bo nam... co najwyżej uczniowie na spędzie pomachają chorągiewkami. I to rzadko...

Zyga rozejrzał się po lokalu.

– Trafiliśmy na sto dwa – orzekł bez entuzjazmu. – Po przerwie, jak wróci zespół na pewno będzie striptiz. I doliczą do rachunku.

– Chcesz czekać? – Stefan źle go zrozumiał i przestraszył się. – Lubisz takie widowiska?

– O, raju! Przepadam – westchnął Zyga – Nóż mi się sam otwiera w kieszeni.

Zyga wydawał się trochę groteskowy, trochę nieprawdopodobny. Ale cały autorytet Stefana i jego ważne stanowisko nic nie znaczyły wobec popularności tego boksera-pseudozięcia. W jakim świecie my żyjemy? pomyślał Stefan. Cóż to za pomieszanie pojęć. Jaka inflacja wartości.

– Macie popularność – powiedział. – Ho, ho, wy, sportowcy!

– Ojciec ma za to fart. Licznik stuka. I w ogóle. – mruknął na pocieszenie Zyga.

– Co tam my – ciągnął Stefan. – Wasza popularność! To się dopiero liczy!

– Bo ludzie nas lubią. My ich bawimy.

– Władza nigdy nie jest zabawna.

– Jak taki obrzym pas kupi bilet i za te parę zeteł ślipi, kiedy ja się zabijam dla jego przyjemności na ringu – powiedział Zyga – to mnie i lubi. Póki jestem górą. Pani Halina to nazywa mnie gladiator.

– Ludzie dzielą się na tych, którzy dają, i tych, co biorą – westchnął Stefan. – Cholera, całe życie nie umiałem nastawić się na branie.

– Zresztą prawda, jestem gladiator – wymamrotał Zyga.

– Mówisz, jakbyś nie lubił swego...

– Zawodu? – powiedział Zyga. – Swego fachu? Nigdy nie zarobiłem na niczym jak na boksie ani grosza. Od szesnastego roku życia.

– Nie lubisz tego?

– Co znaczy lubię? Trzeba z czegoś żyć. I przywykłem – powiedział Zyga. – Nie żebym lubił, bez tego życia sobie nie wyobrażał. Ale teraz po mistrzostwach to już zaczynam odwykówkę. Schodzę z ringu. Postanowione. Jestem za stary. Już nie to. I kondycja...

– Ja też czasami mam ochotę wziąć kapelusz – mruknął Stefan. – I sobie pójść. Po prostu odejść. Tyle odpowiedzialności!

Zyga chyba nie dosłyszał. Strząsnął okruch z obrusa, uciekł w bok z oczami. Mięśnie jego szczęk grały, jak zawsze gdy był wzburzony.

– A właściwie... Co chcesz potem robić? – spytał Stefan. – Czy mógłbym ci w czymś pomóc?

Zabrzmiało to dość sympatycznie.

Była to pierwsza ich tak poufała, w cztery oczy, rozmowa. Stefan patrzył na tego zwalistego, prymitywnego osiłka, dziwił się jeszcze trochę wyborowi Ireny i zarazem czuł jakby zawstydzenie. A może niesłusznie go osądzałem? Może Halina mnie niepotrzebnie tak ustawiła? Te wątpliwości odnosiły się do pamiętnej rozmowy. Nie znosił ingerencji w życie córki. A ściślej: skwapliwie wynajdując różne uzasadnienia, maksymalnie ograniczał ilość takich ingerencji. Wyglądało to tak, jakby nie interesował się jej życiem osobistym. I jej pracą. Zresztą nie miał przecież na to czasu.

Irena przyszła wówczas do nich, na Mokotów, późnym wieczorem. W porze, kiedy zazwyczaj wracał do domu po codziennej porcji konferencji i posiedzeń. Wielka gra wciągała go bez reszty. Rodzaj błędnego koła. Im więcej poświęcał tym sprawom czasu, tym bardziej okazywały się nienasycone i żarłoczne. Żmudziński już podstawał nogę. Wracał więc zmęczony i

rozdrażniony, „z poczuciem niemożności, zawodu, beznadziei. Czatowanie Haliny i córki – jak zbójców – na powrót taty wprawiło go wówczas we wściekłość. Przyglądał się krytycznie Irenie. Jak pretensjonalnie się ubiera! Przecież nie jest już nastolatką. Nihilistka. Hippiska.

– Słuchaj, Irka – zagadał szorstko. – (Irenko, Iruś, mała, to gdy był w dobrym nastroju. Irka! Moja córko! Ależ dziewczyno! – to gdy był w złym humorze). – Doszło mnie, żeś sobie zafundowała jakiegoś boksera.

– Chce ojciec mu pokibicować?

– Proszę bez żartów – zachnął się. – Co ty z siebie robisz? Awanturę wyzywającą się w tanich przygodach? Nie możesz czasem pomyśleć choćby o mojej sytuacji? O naszej opinii?

– Dzieci twoich kolegów nic innego nie robią, tylko myślą o dobrej sławie ojców – powiedziała sarkastycznie. – Nie widzi ojciec, co się dzieje? Dekadentyzm. Rodzice demoralizują dzieci. Dzieci oszukują rodziców. À propos: młody Dubicki rozbił wczoraj na bańce służbowy wóz swego taty. Na Wisłostradzie. Słyszał ojciec?

– Słyszałem – powiedział Stefan. – Ale proszę o odpowiedź. Co to za historia z tym bokserem?

– Bierze mnie, tato, pod kuratelę seksualną?

– W życiu społecznym obowiązuje tyleż zdrowy rozsądek, co ogólnie przyjęte normy moralne. Zawsze tak twierdzą!

– To jest mężczyzna mego życia. – Irena zaczęła się śmiać. – Kto wie, może nawet się pobierzemy...

Stefanowi zrobiło się głupio. Znał wielu mężczyzn, śpiących z jego córką. Wszedł kiedyś do jej pokoju, jeszcze tu, na Mokotowie, i zastał nagą, z dryblasem o fryzurze afro, równie nagim. Co dziwniejsze, nie wyglądało na to, żeby między nimi coś się wydarzyło. Oglądali spokojnie jakieś ilustrowane pismo. Spotykał córkę w hotelach ze starszymi od niej o lat kilkadziesiąt profesorami. (Było tak w Krakowie). Jeden z jego zwierzchników poderwał ją w czasie wspólnych wakacji w Soczi. Nigdy nie omawiał z Ireną tych incydentów.

– Dziewczyno! – powiedział teraz nie panując nad sobą i w głosie jego zabrzmiała ostrzegawcza nuta. – Nie przeciągaj struny!

– Ani myślę – powiedziała Irena. – I w ogóle. Jestem usposobiona pokojowo. Przyszłam, bo chcę z wami pomówić. I uśmiechnęła się. – Chcę, żebyście go poznali – oznajmiła ze szczególną jakąś nutką w głosie. – Mam zamiar się ustatkować.

– Co to znaczy?

– Przestał mi odpowiadać styl naszej epoki. Ten abolicjonizm seksualny. Mam dosyć szukania...

– Jestem za stary na takie teoryjki – przerwał jej.

– Przyprawdę go do was w niedzielę – powiedziała i na twarzy jej pojawiła się zawzięta mina upartego, krnąbrnego dziecka.

– Naprawdę chcecie się pobrać? – wystraszyła się Halina.

– Mam już dwadzieścia dziewięć lat – powiedziała, Irena.

– Z bokserem?

– Wagi półśredniej.

– Irena? – powiedział Stefan bezradnie. – Czy ty nie marnujesz życia? Z bokserem?

– A czymże mąż bokser gorszy od męża dostojnika? – powiedziała Irena. Ignorując ojca spojrzała macosze prosto w oczy – Czy mam głośno wyliczać jego zalety?

– Kaprys na pół roku – orzekł Stefan. – A Warszawa się zatrzęsie. Moi wrogowie...

– Nie wymagasz chyba, żebym układała sobie życie pod gust twoich wrogów?

– Będą cię wytykać palcami. Pośmiewisko...

– Nikt nie wyśmiewa się z bokserów, tatusiu. Jesteś niezorientowany. Przeciwnie, to ludzie ogromnie popularni.

– Popularni! Idole!

– Masz coś przeciwko popularności? - spytała Irena. – To dla mnie nowość.

– Przestań się wygłupiać.

– On ma publicity – powiedziała – I to jakie! W Stanach po zejściu z ringu mógłby ubiegać się o fotel w senacie. Na początek. A ty mógłbyś co najwyżej być jego naukowym doradcą. U nas będzie mężem facetki, której ojciec...

– Przestań!

Irena zmieniła ton.

– Jest mi potrzebny. Nie możesz tego zrozumieć?

Stefan chodził wielkimi krokami po pokoju, potknął się o dywan. Raz i drugi chciał coś powiedzieć, Irena opadła w szwedzki, obity skórą fotel i wodziła za nim wzrokiem.

– No więc? – spytała. – Mogę go przyprowadzić W niedzielę?

– Może taki mięśniowiec ciebie okiełzna – powiedział z goryczą Stefan.

– O, Boże, nic piękniejszego, jak mieć dzieci w dzisiejszych czasach.

– Zaraz zaczniesz: moje pokolenie... – westchnęła Irena. – Aleś ty pryncypialny! Nawet po pracy!

– To nie historia tylko na parę miesięcy?

– Och, co do tego mogę złożyć zapewnienie na piśmie. Już go z rąk nie wypuszczę.

– Dobrze. Przyprowadź go – powiedziała Halina. – Jak już się to stało...

– Co mianowicie? – zachnął się Stefan. – Jesteś w ciąży?

– Śmieszysz mnie, tato – powiedziała Irena.

– Nie to miałam na myśli – wyjaśniła Halina. – Tylko że oni... Przecież mieszkają razem.

– Przyprowadź go w niedzielę – powiedział Stefan. – Na co mi przyszło! Zięć bokser.

– Tylko bądźcie dla niego dobrzy – zaśmiała się Irena jak ze znakomitego dowcipu. – Tylko go nie skrzywdźcie!

Wizyta miała jeszcze inny cel: Irena chciała, by Zyga obejrzał „jej dom”. Willa, którą Halina od dawna uważała za swoją współwłasność, należała w, istocie do Ireny. Była to sprawa babki, pani profesorowej,

która po śmierci męża safandudy, niezbyt lubiąc Stefana i akurat mając ansę i do swego synalka, w paroksyzmie złośliwości i potrzeby działania załatwiła zapis na Irenę pełnych praw własności tej willi z ogrodem, od trzech już pokoleń przechodzącej z rąk kobiecych w ręce kobiece starej warszawskiej rodziny. Adwokat (też własność pań z tej rodziny), który całą sprawę przeprowadził, powiedział Irenie (siedziała przed jego biurkiem, podłotek skromniutki i bardzo niepokojący starszego pana, a babcia astmatycznie dyszała jej w karczek), że sprawa została załatwiona po mistrzowsku, z zegarmistrzowską precyzją.

Stefan nigdy nie wprowadził w arkana tych rodzinnych spraw majątkowych swej drugiej, młodej żony. A Irena starannie przechowywała dokumenty. Stojąc wówczas po raz pierwszy z Zygą u furtki willi, nim zadzwoniła, z wyciągniętą w powietrzu ręką, oznajmiła z dziwnym uśmiechem:

– To wszystko moje. Ojciec będzie tu mieszkał do śmierci. Ale macocha potem się wprowadzi. To wszystko nasze.

I Zyga, nieco oszołomiony, poczuł się prawie następcą tronu.

W czasie swego niedzielnego obiadu zachowywał się poprawnie. Siedział z buzią w ciup, rączki w małdrzyk. Halina usiłowała nadać lekki ton rozmowie, która rwała się bez przerwy. Stefan patrzył ze zdumieniem na boksera (pierwszego, jakiego poznał w życiu) i rozmyślał nad fenomenem psychologicznym, jakim wydawała mu się córka. I tak się złożyło, że właściwie z Zygą aż do dziś nie rozmawiał. Trudno bowiem było nazwać rozmowami takie dialogi:

Stefan: W mojej młodości liczył się Dempsey. I ten Niemiec, jakże mu... Ten, który walczył z Murzynem, Pan będzie wiedział. Chyba Schmelling?

Zyga:

Jak najbardziej.

Stefan:

Jeszcze przed wojną

Irena:

Czemu ty się, tato, postarzasz? Przecież przed wojną byłeś smarkaczem.

Stefan:

A po wojnie nie miałem czasu zajmować się sportem. W naszym życiu trzeba było z czegoś zrezygnować. Prawda, Halino?

Halina:

Na tym polega życie. Konieczność dokonywania nieustannych wyborów.

Irena:

To filozofia. My, Zyga i ja, nie jesteśmy mocni w filozofii.

Zyga milczał. Uśmiechał się. Patrzył brązowymi oczami jakoś tak, jakby był od nich wszystkich starszy. Bardziej doświadczony. Jakby wiedział więcej o życiu.

Stefan poczuł do tego chłopca ni to respekt, ni to sympatię. Pokora, to wyciszenie i jakby miękkość charakteryzująca Zyge przypadły mu do gustu. A nawet przypominały własny, wymaginowany obraz: owego studentę, który stał przed trzydziestu laty na starcie życiowym. Tę już zapomnianą postać sprzed lat, wskrzeszoną dziś uroczystościami małomiasteczkowymi, o której mógł myśleć tylko ze zdumieniem: to naprawdę byłem ja? Taki nieśmiały, pełen nadziei, dobrych chęci.

Zarazem czuł w Zydze uśpioną i niepokojącą siłę. Nie fizyczną, oczywiście. Nad jego sprawnością fizyczną nie było co rozmyślać. Ale ten młody mężczyzna czasami przypominał Stefanowi zamknięte w klatce, tylko z pozoru łagodne, dzikie zwierzę. Co będzie, jak mu Irena tak dopiecze, że się obudzi? – myślał – Przecież to się zdarzy prędzej czy później.

Teraz po raz pierwszy wyciągnął rękę, zaproponował sojusz.

– Może mógłbym ci w czymś pomóc? – powtórzył. – Możesz na mnie liczyć.

Zyga popatrzył przez sekundę prosto w oczy teścia. Myślał, o, raju, co mam ze sobą zrobić? Taki kiepski bokser jak Gludziński, i to postarał się o

fabryczkę wyrobów z plastyku. A ja wszystko przespałem. Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Przydałoby mi się z trzy, cztery miliony. Ale i tak jakoś się urządzę,

– Co będziesz robił?

– Co mogę robić? Za biurko nie pójdę. Zostanę trenerem.

Zjawił się kelner, przyniósł podwójny krwawy befsztyk, michę pełną mięsa, i to o dwunastej w nocy, jak pomyślał z przerażeniem Stefan, oraz podwójną czarną, szatana, kolejny dziś sprawdzian wydolności i tak nadającego się tylko do wymiany serca. Na podium wraz z panami z orkiestry w ciemnoburaczkowych uniformach orbisowskich wstępowała piękność nocy, zapowiadana u wejścia kolorowymi plakatami striptizerka. Zgasły światła, punktowe reflektory na środku sali mieszały kolory jak koktajl. Zyga pakował do ust pierwszy potężny kęs. Z odrazą patrzył na widowisko. Odblaski, czerwone, zielone, szafirowe, spływały po jego twarzy.

– Wie ojciec ile taki cycofon kosi za występ? – powiedział z goryczą. – Tysiąc sześćset zetał. Wypnie się taka dupa z Pewexu i już wychodzi do przodu.

– Ponoć pecunia non olet. Ale aż tyle za wieczór?. – Stefan pokiwał głową.

– A jak? Goły tyłek to złoty interes – powiedział Zyga. – Ile bokser musi wypocić z siebie... Jak haruje... I nic nie ma z życia...

Było to jak na niego długie przemówienie.

Zamilkli, każdy zapatrzony w swoje sprawy. Stefan westchnął, sparzył wargi gorącą kawą. Mój Boże! Nic nie czuję, jestem stary! – pomyślał w chwili, gdy pod brawa publiczki „cycofon” na estradzie, zrzuciwszy do cna przyodziewek, pokazał sztuczkę, clou numeru: rozhuśtał apetycznie swe wielkie wymiona w rytm muzyki. Nawet nie wiem, kiedy się zestarzałem! Jak mawia ten ramol Dziaduszycki? Ależ to szybko poszło!

Część czwarta

HALINA

O tej porze parking przed orbisowskim hotelem jest prawie pusty. Porzucone, ociekają deszczem dwa wycieczkowe autobusy, jakiś citroen z francuskimi znakami, pół tuzina miejscowych wozów. Ale okna restauracji oświetlone jeszcze a giorno. Dancing. Strip-tease. Zespół Mexicanos. Napisy na szybach pulsują blaskiem, kałuże mieniają się od neonów czerwono, żółto, szmaragdowe Mimo to jest tu jakoś małomiasteczkowa Jakby już po gaszeniu świec. Ledwie drzwi zamknęły się za Zygą i Stefanem i przycichła eksplozja muzyki, wszystko znów utonęło w melancholijnym, wyciszonym półmroku. Wolno przeszli przed hotelem dwaj milicjanci. Ci muszą przeklinać pogodę, pomyślała Halina. Po nich zjawił się jakiś pijak, wdrapał z trudnościami po schodkach, zataczał po tarasie. Coś wykrzykiwał, deklamował, przemawiał. Irena przysnęła, wtulona w fotel dziecinnie, bokiem. Halina poczuła się osamotniona i pożałowała, że nie poszła z mężczyznami, gorąca herbata dobrze by jej zrobiła. Coś ją niepokoiło, uwierało, istny kamyk w bucie. Zastanowiła się: dlaczego nie jestem zadowolona z tego dnia? Zapamięta go jako wlekące się w nieskończoność godziny przymusu. Lecz przecież teraz już nie trzeba zmuszać się do uśmiechów na pokaz. Można się zdobyć i na szczerłość: tam w miasteczku, cały czas dokuczało przeświadczenie, iż coś jest nie w porządku. Co mianowicie? Czyżby nie podobało jej się zachowanie Stefana? Nic mu nie miała do zarzucenia. Był serdeczny dla dawnych przyjaciół. Uprzejmy dla miejscowych notabli.

Przy stole dowcipny, swobodny, zrelaksowany. Miał dobry dzień. Widziała, jak wszyscy go obserwowali. Dostrzegą we wzroku tubylców, aprobatę, nawet czolobitność.

Może zatem wszystko zepsuły te gorzkie żale pana doktora? Istotnie, tylko Stefana, jego jednego z wszystkich uczestników historycznego zdarzenia, tak honorowano. W tym czasie Halina, wciąż myśląc o narzekaniach doktora, starała się nie patrzeć w stronę tamtych, może i pokrzywdzonych, byle nie spotkać ich wzroku, spojrzeń Dziada. Może to właśnie zepsuło jej całą satysfakcję?

– Dlaczego nie zaprosili Dziada do prezydialnego stołu? – zaczęła męża tam, w tej gospodzie.

– Przecież ja tego nie organizuję.

– A nie mógłbyś coś z tym zrobić? Jakoś zadziałać?

– Daj spokój.

– Powinien był przemawiać.

– Dziaduszycki? – zdumiał się Stefan. – Przemawiać? Ależ wymyśliłaś!

– Sameś opowiadał, że on...

– Wiesz co, kochana! – udał, że się do niej uśmiecha. – Napisz zażalenie. W trybie skarg... gdzie trzeba.

Oczywiście, Stefan miał rację, to były lokalne układy, partykularne śmieszności. O cóż ja mam pretensje? – strofuje się Halina. – I do kogo?

Na parking zajeżdża jakiś wóz. Oślepia reflektorami, manewrując obok autobusów, a gdy gasi światła, Halina widzi, że to telewizyjny Robur, ekipa znajomego reżysera. Całe to bractwo Wysypuje się z miniautobusu i wchodzi na schodki Wiodące do hotelu. Nawoływania, śmiechy, trochę za głośno jak na tak późną porę.

I naraz ktoś zagląda przez szybę do ich samochodu.

To oczywiście pan reżyser. A Halina zamiast zamknąć oczy i udać, że śpi, uśmiecha się przejmie. Tego wystarczy. Drzwiczki się otwierają i już siedzi obok niej.

– Cudownie – mówi – Bajkowo żeśmy państwa tu dopadli! Co to, Irka chrapie? A to śpioch! A gdzie pani mąż i ten jej idol?

Zalatuje od niego ostrym zapachem potu, intensywnej wody kolońskiej i alkoholu. Oddech jego pachnie tylko alkoholem. Po twarzy, niby młodzieńczej, a zniszczonej i całej w zmarszczkach, po workach pod oczami i obrzękniętych powiekach, po zwiotczałych policzkach spływa odbłask neonów: czerwony, złotawy, szafirowy – i znów czerwony. Halina doznaje wstydliwego uczucia: domyśla się grzechów, jakie znaczą tę maskę, a mimo to czuje do pretensjonalnego, bezczelnego typu niewytłumaczalną słabość.

– Nie pożegnałem się z panią – mówi reżyser i ujmuje rękę Haliny. Podnosi ją do ust. Dłoń ma gorącą i suchą. – Gdyby nie pani... – rzuca spojrzenie na Irenę. Jej głowa leży bez ruchu na oparciu, ale Halina wie, że Irena nie śpi. Udaje.

Pan z telewizji ścisza głos.

– Wszystko nam wyszło, prawda? – mówi szeptem. Halina leciutko cofa rękę, on ją przytrzymuje w swej rozpalonej dłoni i poufale ścisza. – Państwo nie widzieli, co tam urządziłem! Wziąłem za łeb dyrektora szkoły, posłał całą dzieciarnię po chrust do lasu. Jak się ściemniło, podpaliłiśmy. Czy pani sobie wyobraża, jakie to było dramatyczne widowisko?

– Widzieliśmy...

– Mąż też widział? Jakie zrobiło to na nim wrażenie? Może lepiej byłoby, gdybyście państwo tu przenocowali? Pokoje załatwię. Nie? Szkoda. A jeśli chodzi o to, co nakręciłem, więc najpierw: plany ogólne miasteczka. Jego dzień dzisiejszy. Spokój. Dobrobyt. I w ogóle. Potem dramatyczny akcent. Znalazłem taki stary cmentarzyk. Opowiadam tylko warstwę obrazową. Z tego cmentarzyka szwenk na tablicę, już odsłoniętą. Trochę z tym bieda, bo brak mi szczegółów o tym Bie... Bie... O tym patronie szkoły. Bohaterze. Ale coś podhaftuję. A potem znów szwenk i przemawia pani mąż. Montaż ostry. Łuny! Klasztor niemal w ogniu! Bo mam i takie ujęcie: przez płomienie. I przebitkami: pani mąż, jego twarz, a mówiąc na marginesie: wyjątkowa twarz! Tak pełna ekspresji! Stawiam na dramat! Zamknę dwoma ujęciami z dzwonnicy. Najpierw ognie, zmierzch, dymy. A potem jasny dzień. Błysk słońca. Był jeden. Na zamówienie telewizji. Wszystko dla telewizji. Słońce. Piękne kobiety. Nawet gospodarzy zmusiłem, żeby

zdjęli Napoleona z bufetu! A operator, jak po ciemku zląził z dzwonnicy, mało karku nie skręcił. Taki nasz zawód.

Znów całuje jej dłoń, nie jej grzbiet, a wewnętrzną stronę. I Halina czuje się tak, jakby dotknął jej piersi.

– To pani pomogła mi skłonić męża – mówi szorstkim, ochrypłym szeptem. Uroczy brzydal! – A bez pani męża byłaby nuda Tylko ta zbitka coś znaczy: dziś taka postać, a w przeszłości Kolumb, bohater! To pani dedykuję ten program.

– Jak to mnie? – zdumiewa się Halina.

– Oczywiście nie oficjalne – śmieje się reżyser. – A tak między nami. Zostanie to naszą tajemnicą. To będzie pani program. Szybko wywołam materiały. Podmontuję wstępnie. Zechce pani to obejrzeć?

– Jeśli to konieczne – mówi z ociąganiem Halina.

– Pozwolę sobie zadzwonić. Zastosuję się do pani czasu. Proszę nie odmawiać.

Otwiera drzwiczki, wysiada z wozu i, o dziwo, tak jakoś to czyni, że cały czas trzyma w swojej gorącej garści dłoń Haliny. Teraz, na pożegnanie, raz jeszcze całuje wewnętrzną jej stronę i zaraz wyżej, tuż ponad sprzączką od zegarka.

– A po przeglądzie pójdzie pani ze mną na kawę – mówi z jakąś nową intonacją w głosie. Puszczą dłoń. Jest ciemno. Twarz jego ledwie widoczna, ale Halinie wydaje się, że widzi nie tylko pożegnalny uśmiech. Ale i oko: znaczące, coś zapowiadające mrugnięcie.

Dopiero gdy pan z telewizji wejdzie do hotelu, Irena odzywa się zaspawym głosem.

– A to ci heca! Przecież on ciebie podrywa.

– Co ty! – oburza się Halina. Jak dobrze, że jest ciemno. I te neony. Nie widać, że się czerwieni.

– Oczywiście, że podrywa – mówi Irena. – I nie łudź się, że mu się wymkniesz. Jak się przyczepi, szkoda łez. Zaciągnie do łóżka wszystko, co chodzi!

– Moja kochana – zaczyna Halina głosem matrony, ale Irena zaczyna się śmiać.

– Przecież nic w tym złego. On w łóżku jest dzielny. I bywa nawet dość dyskretny.

– Za dużo piąś – mówi Halina.

– Dobrze, dobrze – mówi Irena. – Święta Kinga. Po pierwsze, nigdy tego nie robisz, bo jesteś dziewicą. Po wtóre, nie lubisz tego, bo to poniżej twojej godności. A po trzecie, zawsze cię potem głowa boli. Wiem, wiem.

Znów śmieje się i ten chichot wytrąca Halinę do reszty z równowagi.

– Ależ z ciebie ponurak! – mówi Irena. – Pożartować nie można? Niby co wielkiego by się stało, jak byśmy się tak raz trochę pozawierzały, co? Nigdy nie rozmawiam na ten temat z koleżankami. Ale z tobą miałabym ochotę.

Ziewa. Uśmiecha się do swych myśli.

– W ogóle lubię te nasze rozmowy. Jest o czym mówić. Chociażby taka sprawa. Jak to było wtedy naprawdę, tam, w tej miejscinie? Nie chodzi o western. Raczej o dramat ludzkich postaw. Tak to się nazywa, prawda? Czy rozmawiałaś kiedy na ten temat z ojcem?

– Obie wiemy dobrze, że on nie lubi takich wspominek. Dla niego przeszłość właściwie nie istnieje.

– Nie pomyślałaś, że to dziwne? A tablicę pamiątkową wystawili jakimś tam Brzeźniakowi. Co ty wiesz o nim?

– Nic. Absolutnie nic.

– I nie zainteresowałaś się, kto to taki? Co za krótkowzroczność! To dlatego, że nie zwodzisz oczu ze swego pana i władcy. A ja podpytałam Dziada. I wiesz, co mi powiedział? Że Brzeźniak wtedy uratował życie nie tylko ojcu, ale może im wszystkim.

– Cóż z tego wynika?

– Że ten Brzeźniak uratował życie ojcu. A my nic o tym nie wiemy. Bo on nie lubi o tym opowiadać. – Powinnaś spróbować sił jako oficer śledczy. Minęłaś się z powołaniem.

- Po prostu lubię zaglądać ludziom za moralną pazuchę.
- Szczególnie swoim bliskim.
- Nawet swoim bliskim.
- Zmieńmy lepiej temat tej rozmowy.
- Proszę bardzo, jeśli sobie życzysz.

Irena znów ziewa. Przeciąga się.

– Ale o czym tu rozmawiać o takiej porze, na takim pustkowiu – mówi z wesołą intonacją głosu. – Wiesz, Halina! Lubię łązić z Zygą po Warszawie nocą. Miesiąc temu za Pałacem Kultury zaczęli nas chuligani. Ciemno tam jak u Murzyna. Oni do Zygi: Daj komis na jaboła. Ale się nacięli! Jak przyszła karetka na sygnale, to jednego z nich trzeba było reanimować.

– Jakby przytrafiło się to nam. Stefanowi i mnie! – wzdycha ze zgrozą Halina.

– Uwielbiam takie przygody – uśmiecha się Irena. – Zawsze je lubiłam. To chyba moja potrzeba samodzielności?

Wspomina o tej swojej potrzebie, tak jakby wyróżniała ją ona w szczególnie dodatni sposób. Halina słyszy to nie pierwszy raz. Przywykła do tej dziwnej chępliwości. Od tamtego dnia w jej własnym wówczas jeszcze mieszkaniu w starym bloku na Mokotowie. Dwa pokoje, kuchenka, mała wanna w łazience. Jakieś sobotnie porządki, bo jutro przyjdzie tu Stefan. Zapach dopiekającej się kaczki z jabłkami. Cichy pomruk lodówki. Głos Krafftówny, która coś podśpiewuje na szklanym ekranie. Naraz – dzwonek u drzwi. O tej porze? Halina otwiera i w półmroku korytarza dostrzega znajomy profil. Coś z ptaka, coś z gryzonia.

– Irena! – mówi zdumiona. – Co cię sprowadza?

– Nie poprosisz, żebym weszła?

Zakłopotanie, nie wiadomo dlaczego.

– Ależ oczywiście. Wejdz.

Irena wkracza nie podawszy Halinie na powitanie ręki. Takie obyczaje. Bezceremonialnie dokonuje lustracji.

– Małe te pokoiki – mówi obstukując ściankę działową. – Trzeba by to wyburzyć. Ale światło dobre. Nic nie zasłania okien.

– Powiedz mi wreszcie, co się stało? – nalega Halina. – O tej porze...

Dziewczyna zagląda do łazienki.

– Wyrzucę tę wannę i zainstaluję... Miejsce akurat na prysznic. Tak. Teraz już wiem, jak to wygląda. Mogłoby być lepiej.

– Powiedz że mi wreszcie, o co chodzi?

Irena staje w drzwiach od kuchni i opiera się o framugę.

– Pogadałam sobie z ojcem. Sprowadzisz się do nas. A ja wezmę twoje mieszkanie. Chyba tam będzie lepiej? A ja – to chętnie, patrząc Halinie prosto w oczy – ja odczuwam, jak to się mówi, przemożną potrzebę samodzielności...

Jej samodzielność i moje poddaństwo, myśli teraz Halina. Wtedy nawet się ucieszyłam. Mam duszę niewolnicy. Chciałam być bliżej swego pana. Volenti non fit iniuria.

Znów nasila się deszcz, bębni o dach samochodu, z knajpy wychodzi wesole towarzystwo, kotłuje się wokół dwóch parasolek otwieranych przez niezbyt trzeźwe panie, z parkingu odjeżdżają ostatnie wozy nocnych gości. I znów cisza. Dobrze byłoby pospać. Ale sen nie przychodzi. Halina spod wpeł opuszczonych powiek obserwuje Irenę. Na tle zalanej deszczem przedniej szyby profil Ireny: coś z drapieżnego ptaka, trochę gryzonia. Kiedy po raz pierwszy spostrzegłam to podobieństwo? Przypomina się incydent sprzed lat. Stara, wysłużona skórzana kanapa w gabinecie Stefana, na niej oni, w prawdziwym zapamiętaniu. Pochłonięty kontemplacją gładkich ud Haliny, Stefan nic nie zauważył. Lecz ona – w paru sekundach alarmu – dostrzegła uchylające się drzwi. W ich szparze błysk okularów. A także, przez moment, uśmiech na twarzy Ireny. Wspomnienie gorącej fali krwi, która uderzyła do głowy. Uczucie wstydu, bo w sąsiednim pokoju – Marta. Bardzo przykra, poniżająca świadomość winy. Wtedy po raz pierwszy dostrzegła to podobieństwo. Ilekroć pomyśli; coś z ptaka, coś z gryzonia! – zaraz upokarza ją tamto przeżycie.

I teraz niepokoi ten profil, w półmroku nabierający ruchliwości. Irena za czymś się rozgląda. Na chwilę znika za oparciem. Znowu rozgląda się i nawet zapala światło wewnątrz wozu. Zaraz je gasi.

– Szukasz czegoś? – pyta Halina.

– Do diabła – klnie Irena półgłosem – Gdzie on to schował? – Sięga po papierosa i ponownie ukazuje profil. Ptak, gryzoń. Zapalniczka drży w jej ręku.

– Otwórz, proszę, boczne okno – mówi Halina. – W wozie jest tak duszno.

A myśli: Dlaczego jej tak drżą ręce? Nerwica? Muszę o tym powiedzieć ze Stefanem! Dziwne, w tej dziewczynie, w tej kobiecie tak ignorującej przyjęte normy obyczajów, dziwne, dostrzegam w niej zarówno to, co kiedyś mnie tak w Stefanie pociągało, urzekało, fascynowało. I to, czego w nim teraz nie lubię.

– Robisz się coraz bardziej podobna do ojca – mówi półgłosem.

Irena zaciąga się głęboko papierosem. Uprzejmie dym wydmuchuje przez okno. Potem odwraca się do Haliny. Teraz światło tylko na jej włosach. Twarz tonie w mroku. Ognik papierosa to rozjarza się, to przygasa.

– Nie jestem podobna do ojca – mówi ochryłym głosem. Próbuje odkaszlnąć. – Jestem wykapana matka. Chyba się zaziębiłam.

– Matka? Przecież znałam ją dobrze – mówi Halina. – Nie widzę między wami żadnego podobieństwa. Natomiast Stefan i ty, tak, wy macie wiele wspólnych cech.

Czyżby? – pyta szyderczo Irena. – Ja i mój pryncypialny, mentorski, rodzony kaznodzieja?

– Szkoda, że was tam nie było, jak mówiono o twoim ojcu...

Halina chce opowiedzieć o triumfie Stefana, ale Irena jej obcesowo przerywa:

– Zauważyliście, że nas nie było?

– Chciałam, by was poprosili do przodu. Ktoś tam nawet was szukał. Na moją prośbę... I ojcu było na pewno przykro, żeście się ulotnili.

– Mogłam to przewidzieć – mówi Irena. – Cholera! O tobie nie pomyślałam.

W głosie jej brzmi taki niepokój, że Halina od razu to spostrzeża.

– Stało się coś?

– Ta twoja o nas troska! – mówi Irena. – Miewam jej powyżej uszu.

– Troska? O was? Chyba nie masz mi tego za złe?

– Z nudów pchasz nos w nie swoje sprawy.

– No wiesz! – obraża się Halina.

Znów na chwilę milkną. Halina w paroksyzmie nadwrażliwości przeżywa przykrość. Z latami pod warstewką ogłady, kultury, pozwalającej się zrećźnie maskować inteligencji – w charakterze Ireny brutalność zaczyna dominować. Na tle szyby jej profil. W tym niezwykłym oświetleniu przypomina teraz reklamowe zdjęcie z ilustrowanego magazynu: młoda blondynka w ogromnych okularach, z odrzuconą do tyłu głową, pije koniak wprost z butelki (piersiówka Stocka). Tło: zimne światło na szybie. Twarz Ireny w zielonkawych refleksach. I tylko koniak w butelce promieniuje zabłąkanym w ten półmrok miodowym odbłaskiem.

– Nie pij tyle! – mówi Halina.

– A ty? – pyta Irena, wyciera wierzchem dłoni usta. Wyciąga rękę z butelką. – Napijesz się?

– Nie będę mogła spać.

– Jak chcesz – mówi Irena. – W taką noc łyk koniaku! W ogóle nie umiesz używać życia.

– To prawda – mówi Halina.

Obrachunki z samym sobą, w ostatnich czasach prawdziwa obsesja. Zatem jak to powiedziała Irena? Nie umiem używać życia. Czy tak jest w istocie? Małżeństwo ze Stefanem. Gdy marzyłam o nim, dostawałam zawrotów głowy! I co z tego wyszło? Trochę podróży za granicę. Trochę koktajlów w ambasadach. I to już cały życiowy dorobek? Dużo. Mało. Jego sukcesy? Czy są również moimi? Kiedyś tak to widziałam. W perspektywie. W nadchodzącym czasie. Ale czas teraźniejszy wszystko potem zmienił. Ostatnio sukcesów Stefana, tych współczesnych, nawet nie bardzo chcę

dzielić. Z bliska jego sprawy wydają mi się niewiele znaczące. Dla mnie niewiele znaczące. Ta budowa nad Zalewem. Te jego marzenia: wyciąg dla żaglówki. Boazerie z modrzewia! Im częściej mówi o wielkich skalach, tym częściej doznaję uczucia zawodu. Wydaje mi się, że skarłał. Ale czego właściwie oczekiwałam? Może Irka ma rację? Może jestem istotnie sfrustrowana? Może to wszystko – fizjologia? Niewyżycie seksualne?

Irena, pochylona, chowa butelkę Stocka. Wraca na swe uprzednie miejsce. Sadowi się wygodnie.

– Przepraszam – mówi w przyjaznej na odmianę tonacji. – Byłam niepotrzebnie opryskliwa.

– Już do tego przywykłam.

– Ale widzisz. Głowa mnie boli. I w ogóle... ledwo żyję – śmieje się cicho. – Bo najadłam się potężnego stracha. Zauważyłaś, że mamy przedni błotnik zadrapany?

– Mielicie wypadek? – pyta Halina. I nagle kojarzy. – A właściwie do kąd jeździliście?

Irena cichutko chichocze.

– Ciebie i ojca podawali sobie tam z rąk do rąk. Fetowali. A w tym czasie my z Zygą zrobiliśmy skok w góry. Aż pod granicę. Jak wracaliśmy, Zyga potrącił rowerzystę.

– O, Boże! – mówi Halina.

– Ja też tak jęknęłam – śmieje się Halina. – Dobrze, że ten mój troglodyta, jak ty go nazywasz...

– Ireno!

– Głupstwo, mnie to bawi. Troglodyta! Na szczęście, Zyga ma refleks. Facet by oczywiście pijany. Zyga wysiadł i dla nauki przyłał mu zdrowo. A ja z emocji nie mogłam złapać tchu przez dziesięć minut. Byłam pewna, że mamy trupa.

– Wasz wypadek... To była wina tego pijaka?

– Co z tego?

– Gdyby przyszło do śledztwa?

– Myślisz, że ja bałam się o życie jakiegoś pijaka? – śmieje się Irena.

– Bałam się o nas. Boże, jaka to mogła być wsypa.

Odwraca się, przechyla nad oparciem i mówi dramatycznym szeptem:

– Wiesz, po co jeździliśmy tak daleko?

Halina czuje w jej oddechu koniak.

– Mówiłaś, że dla zabicia czasu.

Irena zapala następnego papierosa, głęboko się zaciąga.

– Mówiłam! – konspiracyjnie ścisza jeszcze bardziej głos i jest w tym oczywista zgrywa. – Wiesz, jaki łup przywieźliśmy? Coś nie z tej ziemi! Autentyczne ikony... I to z klasztoru na górze Athos! Pakiet, co leży za tobą, za oparciem.

Światło pada przez przednią szybę i Halina myśli: Ona widzi moją twarz.

– Ikony? – mówi siląc się na obojętność. – Czy to ma znaczyć... zawieszona głós, nie dopowiada myśli do końca.

– A cóż innego może znaczyć? Znów chwila ciszy.

– Ukradliście? – z niedowierzaniem pyta Halina.

– Z takiej starutkiej cerkiewki!

– Po co mi to mówisz?

– Żebyś wiedziała. Ty, uczciwość w stanie chemicznie czystym. Jesteś teraz... Stałaś się... jak to prawnicy nazywają? Współuczestnikiem.

– Przestań!

– Powinnaś złożyć meldunek w prokuraturze. Takiej treści: Moja pasierbica...

– Proszę cię, przestań – mówi Halina.

– Wiesz przecież, że ja uwielbiam draki. I takie zgrywy. Ja nigdy nie spoważnieję – mówi Irena. – Ale czasem chodzi mi i o coś ważnego...

– Zupełnie ciebie nie rozumiem.

– Jakby tak wyszło na jaw, że w czasie tych celebracji zorganizowaliśmy skok! My, rodzinny gang. Co za skandal! Ktoś z przyjaciół ojca to wykryje. Na przykład Żmudziński. I tato pójdzie na zieloną trawkę.

Odpoczynek. Należy mu się. Czy nie tak?

W lusterku nad kierownicą widzi błądy i nieruchomy zarys twarzy tamtej kobiety.

– Mogłabyś wtedy przenieść się z ojcem na prowincję – ciągnie lekkim tonem. – Mały domek. Klombik przed furtką. Praca społeczna w Lidze Kobiet. Pogodna starość.

– Przestań – woła Halina.

– Jesteś zupełnie pozbawiona poczucia humoru! – odzywa się oschłym tonem Irena. – To chyba twoja największa wada. Przecież wiem, że nie piśniesz nikomu ani słówka. Nie piśnęłabyś, nawet gdybym przejechała pięcioro dzieci. Ty, anioł opiekuńczy ojca, miałabyś narazić go na wstyd? Na taki skandal? Nie! Jakoś sobie poradzisz z wyrzutami wrażliwego sumienia.

Halina czyni gwałtowny ruch, można by pomyśleć, że chce Irenę uderzyć, ale to tylko bezradne wyciągnięcie ręki.

– Daj mi koniaku – mówi.

Irena nie schowała butelki. Trzymała ją ukrytą za oparciem. Natychmiast podaje Halinie.

– Nie, nie – mówi ona – nie umiem pić z butelki.

Na podorędziu jest i plastikowy kubek. Irena nalewa.

Gorzkawy zapach napełnia wóz.

– A powinnaś się nauczyć – radzi. – W ogóle alkohol przynosi ulgę.

– To chyba wszystko nieprawda – usiłuje się roześmiać Halina.

Żadnej odpowiedzi.

Przykry niepokój. Często tak bywa w ostatnich czasach. Halinę wciąż męczy uczucie czasowego zawieszenia, jakiegoś niespodziewanego życiowego prowizorium. Jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak mała stabilizacja, to moja jest najmniejsza. Tak o tym myśli. Boi się czegoś, co nadchodzi. A już zupełnie nie wie, czego oczekiwać od Ireny. Teraz ta rysa na błotniku! Nie da to spokoju. Postanowiła więc sprawdzić, zobaczyć na własne oczy.

Wysiada i długo ogląda błotniki. Jest bardzo zimno. Z ciemności deszcz nadlatuje ukośnie i smaga asfalt, wóz, kobietę.

– No, jest rysa? – pyta triumfalnie Irena, gdy Halina, przemokła i wystraszona, wraca do wozu. – A teraz mam ci pokazać ikony? Chcesz je obejrzyć? Sięgnij za siebie. Możesz rozpakować tę paczkę?

Halina owija się pledem. Milczy. Irka zawsze była nieobliczalna, samowolna, amoralna. Czy powiedzieć o tych ikonach Stefanowi? Może to jeden z głupich kawałów Irki? Może wzięłam serio bajeczkę. Wreszcie – cóż ją w istocie obchodzi Irena? Jej świat o podejrzanej skali wartości? Obcy człowiek. Dorosły. Niezależny. Zawsze dostawała nauczkę, gdy próbowała się mieszać do jej spraw. Choćby wtedy, gdy Irena bez żadnego powodu zerwała zaręczyny z młodym, brodatym plastykiem.

Taka później rozmowa:

– Przecież on jest do ciebie bardzo przywiązany – próbowała perswadować Halina.

– Gwiżdżę na to. – Irena robiła właśnie makijaż. Malowała fioletowo powieki. Ruchem warg napinała skórę twarzy. Zmieniała się w kogoś nowego: sam tylko drapieżny ptak.

– Ale on bardzo to przeżywa! Przygaśł, zgarbił się. Na pewno cierpi.

– I co z tego?

– Możesz tak obojętnie na to patrzeć? – dziwiła się Halina. – przecież wiem, co was łączyło. Wcale się z tym nie kryłaś. I tak nagle, bez powodu zerwać? Jesteś pewna, że go nie kochasz?

– Co takiego? – zdumiała się Irena. – Aha, prawda! Przecież ty jesteś dama w stylu retro. Staromodny model. Sentymenty. Wierzysz w miłość. W obowiązek. W moralność.

– Nie zgrywaj się!

– A na starość wyłazi z ciebie jeszcze i swatka. Chcesz nas pogodzić? Dobry duch, który czuwa nad niespokojnymi sercami młodych?

– Czy to dziwne, że się o was kłopotuję?

– Może nie dziwne, ale zbędne – powiedziała Irena.

I nagle twarz jej zmieniła się: teraz znów coś z ptaka, coś z gryzonia. Zdmuchnęła nadmiar pudru z nosa. – Zresztą powiem ci w sekrecie, co zdecydowało, że z tym delikacikiem zerwałam. On miał niewłaściwy dla mnie rozmiar – zrobiła do Haliny oko. – Rozumiesz? Tak między nami, kobietami...

Halina zapala w wozie światło, grzebie w swojej torebce. Reladorm. Muszę zażyć pastylkę. Stwierdza, że zapomniała gdzieś fiolkę leku ostatnio nadużywanego.

A Irena już nie patrzy w jej stronę. Głowę oparła wygodnie i tkwi w zupełnym bezruchu. Może śpi? Czy ja ją kiedyś zrozumiem? – myśli Halina. Znów poczucie osamotnienia. Więc z rozpaczą: Co ja zrobiłam ze swoim życiem? Dlaczego tak się dałam ludzić pozorom? I to szczególnie dręczące stwierdzenie: oni są tacy podobni. Stefan i Irena. Ten ich egocentryzm. To myślenie kategoriami dla mnie niepojętymi. Różni ich tylko chronologia pokoleń. Oni! I ja!

Pamięć usłużnie podsuwa wspomnienie, małostkowe, lecz tak sugestywne, że Halina prawie słyszy, jak szeleszczą w jej rękach kartki maszynopisu. Wiesz, Stefan, mam wątpliwości, mówi przekonana, że on jej słucha. Pamiętasz moją drugą hipotezę? (chodzi o jej pracę doktorską, wciąż jeszcze, mimo upływu wszystkich kolejnych terminów, nie przedłożoną promotorowi). Zastanawiam się, czy jest dostatecznie precyzyjna, czy jeszcze nad nią nie popracować? Nie rozbudować szerzej uzasadnienia?

Odrywa wzrok od maszynopisu i dostrzega, jak oczy mu błyszczą w półcieniu, już poza kręgiem światła lampy biurkowej. Dziwi się. Tak go tym pytaniem poruszyłam?

A Stefan, skrzywiony w nieszczerym uśmiechu:

– Wybacz, że nie uważałem – mówi – ale właśnie zastanawiałem się, jaki będzie finał mojej rozgrywki ze Żmudzińskim? Może to mnie wykopią?

Takie są nasze wspólne sprawy, nasze rozmowy, nasze życie. Wypełnione – jak tyle razy słyszałam od obcych – „pasjonującymi problemami”. Stefan. Co za indywidualność! Halina. Jakie oddanie! Chciałam tego, a teraz lamentuję. Sama właśnie tego chciałam. Wystarczy to sobie wspomnieć, by z westchnieniem zakonkludować: Cóż ja zrobiłam ze swoim życiem?

Z restauracji nareszcie wychodzą Stefan i Zyga, przystają na najwyższym stopniu, na tle oświetlonych pomarańczowo drzwi lokalu, Stefan serdecznie obejmuje chłopca za ramię. Wygląda na wniebowziętego. Zmęczzonego, lecz triumfującego. Kiedy ostatnio był taki? Chyba wtedy, gdy od drzwi, w głąb willi wołał: Halino, gdzie jesteś? Chodźże tu prędko! Mam nominację! Niech szlag trafi, mych wrogów! Niech skisną do cna! Mamy, Halinko, cośmy chcieli!

No, tak, myśli Halina, dziś było jeszcze jedno jego kolejne święto!

Zyga otwiera wóz i siada koło Ireny, która się budzi. (Więc jednak spała? Nadokuczała mi, a potem spokojnie się zdrzemnęła).

– Zyga, mój ogierze – mówi Irena i nie krępując się obejmuje kark chłopca, całuje go.

Niby jest to zwyczajny przejaw czułości. Ale Irena robi z tego scenkę nieprzyzwoitą. W jakiś sposób ekshibicjonistyczną. I Zyga z zażenowaniem rozplątuje jej ręce. W świetle zalewającym wnętrze samochodu widać jego uśmiech zawstydzony, jakby przepaszający.

My i oni. My: ja i ten bokser. Mój Boże! Taki podział, myśli z goryczą Halina.

– Irka, siadaj z tyłu, obok Haliny – mówi Stefan. – Teraz ja poprowadzę. Napiłem się kawy, dobrze mi to zrobiło.

– Zauważyliście wóz telewizyjny? Tam, obok ciężarówki – mówi Halina. – Ten reżyser znów nas dopadł. Mówił o tym programie.

– Etiuda o bohaterstwie – podpowiada Irena.

– Dobrze, że nas tu nie było – mówi Stefan.

– Kleszcz. Tak go nazywają – wtrąca Irena.

– Dwie taśmy nagrał moich wspomnień – powiada Stefan. – Ty go znasz, Irka?

– Trochę.

– Co on wart?

– Mówią, że zdolny. Do wszystkiego.

– A poważnie?

– Zrobi ci dobrą reklamówkę. To potrafi.

– No właśnie – wdycha Stefan. – Bo ten Żmudziński! Niech raz telewizja na coś się przyda.

– Uff! Strzeliłem sobie dwie setki, zjadłem rumsztyk – mówi Zyga. – Cholerne ceny! Opowiem na dobranoc kawał: Facet mówi do przyjaciela: Zatlukłem dziś w nocy pięć ómów. Przyjaciół poprawia. Ciem. A na to facet: Ciem? Kapciem.

– Dobrze mi zrobiła kawa – powtarza Stefan. – Szkoda, Halino, żeś nie poszła z nami.

– I ja bardzo żałuję. – To prawie ze złością. I zaraz w myślach: co mnie nachodzi? Czy muszę kisić się w tych octach? Jest, jak jest. Nic już nie można na to poradzić. Ode mnie samej zależy, czy będzie coraz gorzej.

Z ukosa spogląda na Irenę i myśli z zazdrością: będzie twardo spała, a ja gdzieś zapodziałam reladorm. Ale spróbujmy zapanować nad sytuacją bez reladormu. Metodami księdza Knajpa. Jeśli to ma być noc wspomnień, niech to chociaż będą miłe wspomnienia. Na przykład: po trzecim roku na jakimś obozie naukowym Stefan (wówczas adiunkt o przezwisku Gregorypek) pozwolił sobie na gest, który zaważył na całym życiu Haliny: położył rękę na jej karku. Od tego się zaczęło. Osiemnaście lat różnicy wieku. Mężczyzna mego życia: Stefan! Na siłę uśmiecha się do tego wspomnienia. Czy mężczyzna, z którym się długo żyje, może jeszcze imponować? Może, oczywiście, że może – wmawia w siebie. I korzystając z tego, że młodzi śpią, wyciąga rękę, dotyka końcami palców karku Stefana.

– Co się stało?

– Nic – sili się na uśmiech. – Dobrze, że cię namówiłam na ten wyjazd.

Jak na złość właśnie teraz Irena ziewa i pyta ochryplym głosem:

– Gdzie jesteśmy?

Nikt nie odpowiada. Zagląda w okno. Mijają ostatnie domy miasta, tu na peryferiach, najgłębiej uśpionego.

– O, Boże – mówi Irena. – Dopiero? Grzbiet mnie już boli od tej jazdy. Zyga! Zbudź się, troglodyto!

– Co znowu?

– Postanowiłam: nie odprowadzę ciebie, zostanę w Warszawie. Muszę się przygotować – obejrzawszy się poprawia ów tobół, który leży za siedzeniem, pod tylnym oknem. – Mało czasu! Będę miała co robić – mówi. – Bo wiesz, tato, postanowiłam jechać z Zygą na mistrzostwa.

– Daj mi spać – mówi Zyga.

– Śpij, śpij!

Stefan jest w dobrym nastroju i chciałby to jakoś zademonstrować.

– Zdażysz to załatwić? – udaje zainteresowanie.

Irena ziewa, przeciąga się. Halina widzi jej profil, szczególnie grymas ust

– Mam mnóstwo czasu. Nasza kadra poci się jeszcze przez tydzień na obozie kondycyjnym – Irena śmieje się cicho. – A chyba nie odmówią paszportu i wizy biednej twojej córce, słynnej z zazdrości żonie mistrza wagi...

– Będą ci potrzebne pieniądze? – przerywa Stefan. Wybrał mniej uczęszczaną drogę, o tej porze zupełnie pustą, prowadzi się tu wóz lżej, bez kłopotów. W świetle reflektorów asfalt, wymyty deszczem, błyszczy jak płyta z czarnego laminatu. Deszcz wciąż zalewa szyby, aż wycieraczki nie nadążają.

– Tylko na wizę i bilet w jedną stronę.

– Jak to w jedną stronę? Chcesz jechać bez grosza i żyć z dniówek Zygi?

– Zamierzam handlować dziełami sztuki – mówi Irena wyzywającym tonem.

Stefan z wrażenia sapie przez nos. Halina wie, że boi się córki, jej ekstrawagancji, jej wyczynów. Boi się, że Irena go skompromituje.

– Co ty wygadujesz?

– Serio – mówi Irena rozbawionym tonem. – Zygą weźmie do walizki kilka moich knotów. Spróbujemy je sprzedać jakiemuś znawcy. Myślę, że dostanę za nie...

– Ile? – pyta nieufnie Stefan.

– Powiedzmy, około pięciu tysięcy dolarów.

– Oszalałaś? – zżyma się Stefan. Nie lubi, gdy ktoś kpi z niego. Córka często z tej właśnie przyczyny bardzo go drażni.

– No proszę, nawet pomarzyć mi nie wolno – mówi Irena. W jej odgłosie pobrzmiwa prowokacyjna nutka. – Ciekawe, jakie będziecie mieli miny, jeśli moje marzenia staną się rzeczywistością... – ciągnie w tym samym tonie.

Musi zepsuć każdy nastrój, myśli bezradnie Halina. Jakżeby inaczej!

– Znowu piłaś? – pyta Stefan głosem, który nie wróży nic dobrego.

– Co z tego? – odpowiada Irena. Nachylając się nad oparciem chucha ojcu w kark. – Co z tego?

– Śpij! – odpowiada i jest to trochę rozkaz, a trochę prośba. – Nie wiem, dlaczego to twoje gadanie dziś mnie irytuje!

– Z wszystkich nas wyłazi zmęczenie – usiłuje mediować Halina.

Jak się okazuje, niepotrzebnie, bo Irena posłuchała ojca. Zapadła w kącie siedzenia i umilkła. W wozie taka cisza, że słychać mocny, spokojny oddech Zygi. Zielona poświata tablicy rozdzielczej oświetla Stefana, który – wparty w fotel, z wyciągniętymi przed siebie ramionami – przypomina Halinie jakiś hieratyczny pomnik władcy. Gdyby on mnie posłuchał, myśli Halina. Wyjechalibyśmy gdzieś daleko!

– Ależ się rozpadało – mówi półgłosem Stefan. – Ulewa.

Halina bąka coś w odpowiedzi, a on nagle ożywia się.

– Grubas Kowalczyk nawet się ponoć na studiach nieźle zapowiadał. I popatrz, co z niego zrobiła prowincja. Nędzny, tępy konował.

Halina domyśla się, skąd ten ton. I ten epitet. W czasie śniadania doktor nagle z jakimś niemal indiańskim okrzykiem skoczył do sąsiedniego pokoju. Zaraz wrócił, uśmiechnięty triumfalnie.

– Spójrz, Stefan, co odnalazłem.

Sztywny kartonik zdążył przez te trzydzieści lat zżółknąć. Stefan wziął go do ręki. Patrzył na fotografię, wysoko uniósłszy brwi. Halina dostrzegła jak nabrzmiewa mu żyła na czole.

– Widzi pani dobrodziejka, jaki Stefan był przystojny? – zacierał ręce doktorek.

Irena wyjęła bez słowa z ręki ojca to zdjęcie. Obie, z Haliną, patrzyły na fotkę. Szczupły, ciemnooki chłopak, z opadającymi na czoło niesfornymi włosami, stał oparty o ramię znajomego grubasa. Obok nich sztywno tkwiła jakaś nieco rozczochrana dziewczyna, raczej zbyt rozłożysta w biodrach, o dużym biuście. A tuż za nimi poruszony i nieostrzy mężczyzna o kwadratowej szczęce zapatrzył się w kark dziewczyny.

– A to kto? – spytała Irena.

Doktor chrząknął i z ukosa spojrzął na Stefana.

– Taki jeden... – powiedział. – Już nie żyje. Nazywał się Bochnio.

Stefan wyrwał im zdjęcie z rąk. Schował je do portfela.

– Biorę to – powiedział z wściekłością do doktora. – Bardzo ci dziękuję.

A Irena popatrzyła znacząco na Halinę. Teraz podobnym tonem wypłutł te epitety:

– Nędzny, tępy konował.

– Patrzył w ciebie jak w obraz.

– Ech... – mówi Stefan lekceważąco. – Zawsze był zerem.

Halinie robi się przykro. Teraz już za wszelką cenę chce zmienić temat rozmowy.

– Wojewoda w przemówieniu nazwał wasz wyczyn bohaterstwem. Podkreślał twój udział.

– Epizod bez znaczenia – powiada pobłażliwie Stefan.

Lecz Halina widzi jego twarz w lusterku. Widzi, jaki jest zadowolony. Jak było mu to potrzebne.

– Dobrze się stało, że ten reżyser z telewizji ciebie namówił na ten wyjazd.

– Może.

Ale najpierw było „nie” – i to burkliwe, kategoryczne. Że brak czasu. Że zawracanie głowy. Że spóźnione o trzydzieści lat zaduszki. Halina wrzuciła notes-kalendarz do szuflady. Uznała sprawą za zamkniętą. Lecz właśnie wtedy zadzwonił telefon. Niski, ciepły, a zarazem chropawy głos poprosił Stefana do telefonu. Nie było go w domu. To może, jeśli łaska (taki śmieszny zwrot!) – jego panią.

– Jestem przy telefonie – powiedziała Halina.

– Tak? Proszę, niech pani sama powie, czy ja nie jestem szczęściarzem – ucieszył się głos po drugiej stronie linii.

Przy kolacji Halina powiedziała mężowi o tej rozmowie.

– Telewizja? – zdziwił się Stefan. – I tak prywatnie? W domu? A czegoż on chce?

– Prosił o rozmowę.

Stefan w zamyśleniu smarował chleb masłem.

– Powiedziałam mu, że jesteś bardzo zajęty. Na wszelki wypadek. Będzie dzwonił jutro. Mogę powiedzieć, że nie masz czasu.

– Telewizja... – powiedział zgodliwie Stefan. – Niech przyjdzie pojutrze. Powiedzmy, o siedemnastej.

Gdy w drzwiach stanął właściciel tego niepokojącego głosu, Halina pomyślała, że to któryś ze studentów Stefana. Ubrany był jakoś tak niepoważnie: i kolorki (koszula, jedwabny szalik, skarpety), i wdzianko (dżinsy, całkiem jak z garderoby Ireny), i ta torba, wypchana Bóg wie czym, na ramieniu. Fryzura już nie taka młodzieżowa. Wysokie kąty maskowanej łysiny, zaczesane na czoło.

A twarz całkiem nie młodzieńcza. W zmarszczkach i obrzękach, jak po całonocnej bitwie w „Kameralnej”. Pan z telewizji.

– Męża jeszcze nie ma – powiedziała Halina. – Ale spodziewam się go lada chwila.

Siedzieli w gabinecie Stefana i reżyser (przedstawił się wymieniając swe nazwisko tak, jakby na samo jego brzmienie świat miał się zatrzęść w posadach) rozsiadł się bezceremonialnie w głębokim fotelu, tak jakoś, żeby raz po raz dotykać kolanami (wytarte niebiesko-białe dzinsy) kolan Haliny. Najpierw ją to irytowało. Potem krępowało. Nachyliwszy się ku niej przybrał ton poufały. Zorientowała się, że sprytnym manewrem usiłuje wciągnąć ją w rodzaj spisku.

– Bez pani pomocy nic mi się nie uda – mówił, a modulacje jego głosu sprawiały, co tu ukrywać, pewne wrażenie. – Muszę mieć w pani sojusznika.

Jeszcze niejasna była ta sprawa, dla której kaptował Halinę, a ona już skłonna była dać się namówić na współnictwo.

– Bo pani mąż, ja to rozumiem, nie może mieć czasu na takie głupstwa. A zarazem to głupstwo i nie głupstwo. Niech ludzie wiedzą. W Polsce, proszę pani, za ciężką pracę rzadko ludzie odpłacą szacunkiem. Ale jeżeli pokażemy kawał przeszłości. I tę heroiczną obronę. Rolę męża w tej sprawie!

– On nie lubi o tym mówić – zastrzegła się Halina.

– Wiem. Słynie ze skromności. I dlatego mówię, że bez pani pomocy nic nie wskóram. Chyba mogę liczyć na ten sojusz

Brat-łata. Nic dobrego – pomyślała Halina. – Ale sympatyczny... Tak ich nakryła Irena.

– Co ty tu robisz? – powiedziała do faceta z telewizji. – Przystawiłeś się na panie w wieku balzakowskim?

– Irena ma taki styl – zaśmiał się kwaśno. – Lubi szokować!

– Nie wykręcaj się. Zapodaj, co tu robisz?

– Mam genialny pomysł na film. Dokument. O twoim ojcu.

– Tak cię przycisnęło, że robisz okolicznościowe chały? I nie mogłeś się z tym do mnie zwrócić?

– Unikam ciebie jak ognia – powiedział i w uśmiechu ukazał naprawdę ładne zęby. – Twego języka.

– Głupiś – ucięła. – Narysowałam ci taką sylwetkę tatusia, że film byłby wydarzeniem sezonu. Ale jeśli wolisz z Haliną... – uśmiechnęła się jakoś znacząco. – Chociaż z nią będzie ci się ciężko pracowało.

– Przeciwnie – powiedział i uśmiechnął się do Haliny tak, że przypomniała sobie popularne określenie Belmonda czy Gabina: „Uroczy brzydali”! – Będę miał w pani sojusznika. Prawda?

– Cóż ty, telewizyjny don Juanie, wiesz o kobietach? – powiedziała Irena i wyszła bez pożegnania.

Halina zażenowana usiłowała się uśmiechać. A on puścił jej dłoń. I wtedy nadszedł Stefan.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Och! – uniósł oczy w górę reżyser.

– Co będzie pan pił? Koniak, whisky? Jestem do pana dyspozycji. Na godzinę. Niestety, nie dłużej. O czym więc chce pan robić ten film?

– O bohaterstwie, oczywiście – powiedział pan z telewizji.

– Zatem wojewoda wyzwał ojca od bohaterów? – śmieje się Irena. – Ja to mam szczęście! Przecież to piękne być córką bohatera! I geniusza! Tato, jak myślisz? Gdybym kiedyś przeskrobała coś naprawdę szokującego. Czy mój obrońca dużo wskórałby takim argumentem: Wysoki sędzie! Proszę wziąć pod uwagę jako okoliczność łagodzącą, że oskarżona jest córką bohatera i geniusza.

Stefana ten dowcip nie bawi.

– Nie gniewajcie się. Nie będę więcej dokuczać – obiecuje Irena. – Nim zasnę, niech ktoś z was powie, że nie macie do mnie żadnych pretensji. Wiem, jaka jestem, ale proszę, żadnych pretensji!

Nikt jej nie odpowiada, więc milknie. Może nawet już zasnęła. Ale

teraz znów to słowo – pretensje! – uruchamia cały ciąg skojarzeń. Wieczór, a właściwie – noc wspomnień: Halina przypomina sobie jeszcze jeden epizod, niejasny, a nawet – dlaczego? – po prostu wstydlivy. W pokoju jadalnym, przy spiesznie zastawionym stole, pan Dziaduszycki podzwania łyżeczką o szklankę, na woskowych policzkach ma ceglasty rumieniec, bo to po czwartym kieliszku pieprzówki. Na kredensie ogromna torba suszonych grzybów i druga – orzechów.

– Ależ pan się nadźwigał – mówi Halina i nalewa mu piąty kieliszek. – To takie dla nas krępujące. Nie trzeba.

– A pani dobrodzika ze mną nie wypije?

– Kiedy mnie już szumi w głowie.

– Jeszcze tego jednego – prosi pan Dziaduszycki. – Strzemiennego! Bo na mnie już czas. Jaka szkoda, że Stefana nie zastałem!

I nagle, nieoczekiwanie, w innej tonacji:

– Niech pani pamięta, proszę unieźnienie, że ja naprawdę nigdy, nigdy do Stefanka żadnej pretensji. Ani mi to do głowy nie przychodziło!

– Pretensji? – powtarza Halina.

– Ech, nieważne! – mówi Dziad. – Tak tylko mi się powiedziało. A ja go, znaczy Stefka, naprawdę jak syna...

Halina mężowi o tym niezrozumiałym wydarzeniu nie opowiedziała. I rzecz szczególna: aż po dziś dzień unikała nawet myśli o słowach tego sklepotyka. „Nigdy do Stefanka żadnej pretensji”! Coś mi się widać poplątało. Chlapnął takie głupstwo. Nieważne.

Skąd więc teraz to wspomnienie?

Wóz przedziera się przez noc i ulewę, spoza zasięgu reflektorów nadlatują wciąż nowe płachty deszczu i w rozbryzgach szorują po asfalcie. Halina zapatrzona w to białoczarne widowisko, para się myślami, które są równie męczące tu, w drodze, w tym samochodzie, jak w ciszy jej mokołowskiego pokoju na piętrze. W żaden sposób nie mogę sobie poradzić

sama ze sobą – myśli – to wszystko tkwi we mnie.

Nagle fiat zarzuca na śliskim asfalcie i staje. Siła bezwładności pcha wszystkich do przodu. Halina widzi w świetle reflektorów, przed maską na środku drogi, brunatny, bezkształtny wór.

– Co to? – pyta chwytając Stefana za ramię.

Jakby nie słyszał tych słów, jakby nie poczuł dotknięcia jej ręki.

– Zbudź się Zyga! – woła. – Mamy kłopoty!

Wiatr gna po asfalcie fale deszczu. Na środku szosy brunatny tobół cały w rudych zaciekach nabiera kształtów dramatycznych: to człowiek leży twarzą do asfaltu, z rękami podwiniętymi pod siebie, nogi rozrzucone w szerokim rozkroku, jakoś koślawo, nie po ludzku. Tuż za nim poniewiera się na drodze rower, a raczej wrak roweru. Strugi ulewy nadlatują z impetem i w kałużach kipią wokół leżącego. Halina dostrzega, jak spod ciała wypływa brunatny, pianisty bełt. Zyga już się zbudził.

– Kurdebalans!

– Na szczęście zobaczyłem z daleka – mówi Stefan. – Co robimy?

– Irka! – Zyga odwraca się. – Ta ma spane... – sięga ręką i zaczyna ją tarmosić. – Dawajże parasol!

Irena, ledwie obudzona, już od razu wie wszystko. Z pretensją w głosie odzywa się:

– Tego nam tylko było potrzeba. Ale fart!

A Zyga z determinacją otwiera drzwi wozu.

– Trzeba to zobaczyć z bliska!

Mocuje się na wietrze przez chwilę z parasolem. Potem, osłaniając się nim, podbiega i nachyla nad leżącym. Stefan bąka coś niezrozumiałego. Wysiada z wozu ciężko, niezręcznie. Bez parasola, z gołą głową, stawiając kołnierz marynarki, nurkuje w ten deszcz.

– Weźże chociaż płaszcz! – krzyczy za nim Halina.

Wiatr szarpie i zatraskuje drzwi wozu. Robi się cicho. Świat zewnętrzny jakby się oddalił. Teraz obie w milczeniu obserwują męczczyzn

przytulonych do siebie pod parasolem. Raz po raz, w co silniejszym chluśnięciu ulewy, znikają oni za szybą zalaną deszczem, by zaraz znów się zjawić w ostrym blasku.

– Trzeba go gdzieś zawieźć. – Halina czyni ruch, jakby chciała wysiąść z wozu.

Irena, nie patrząc na nią warczy:

– Nie szalej!

Zyga schyla się. Jak w obejrzanych w przeszłości scenach stu filmów unosi rękę tego człowieka i zaraz ją opuszcza. To jakby obrzęd. Rytuał. Ręka bezwładnie opada. Halina czuje, że zasycha jej w gardle. Wie, co to znaczy, choć zawsze taka próba wydawała się bezsensu: czyż ręka człowieka żywego tak samo nie opadnie? Czy może pozostać zawieszona w powietrzu?

– O, do diabła! – szepce Irena. – Zdaje się, że wpadliśmy.

– My? A coż my mamy z tym wspólnego? – pyta z przerażeniem Halina.

Na jaskrawo oświetlonym ekranie szosy poruszają się w nienaturalnych ruchach ciemne figurki Stefana i Zygi. O coś się spierają. Stefan gestykuje, Zyga oburącz trzyma parasol osłaniając się od wichru i deszczu. Tę pantomimę zasnuwa frędzla ulewy, migotliwa w skośnym świetle.

– O co im chodzi? – niepokoi się Halina. – o czym oni dyskutują?

A tam trwa chyba jakiś spór. Stefan wydziera z rąk Zygi parasol, Zyga pochyla się nad ciałem. Stefan chwytą go za ramię. Wygląda tak, jakby szarpał chłopca brutalnie. Zyga staje przed nim twarzą w twarz. Rozkłada bezradnie ręce. Stefan wskazuje w stronę wozu. Bokser po raz drugi nachyla się, przez chwilę trwa w bezruchu, potem prawie klęka. Nie dotyka leżącego. Znów się prostuje. Teraz on gestykuje.

– Chyba pójde po nich – mówi zniecierpliwiona Irena. – Ci mężczyźni!

Ale już zawracają. Przed maską wozu skręcają nad rów i znikają z zasięgu światła.

– Pusta szosa i coś takiego! – wzdycha Irena. – Cholerni rowerzyści!
Zyga i Stefan jednocześnie wsiadają z obu stron.

– No i co? – pyta Irena.

– Denat – mówi cicho Zyga. Nie umie złożyć damskiej parasolki, szamoce się z nią i cicho klnie.

Na parę sekund zapada milczenie, a potem Halina pyta:

– I co zrobimy?

– Na co czekamy? – niecierpliwi się Irena. – Dlaczego jeszcze tu tkwimy?

– Zyga uważa, że... – zaczyna niepewnie Stefan, ale Irena nie daje mu skończyć.

– Czyście poszaleli? – krzyczy. – Co wam na mózg padło?

– Trzeba powiadomić milicję – mówi Halina.

– Cholerny wpadunek – bąka Zyga. – Diabli nadali!

– Tato! Jedźże wreszcie! – mówi już spokojnym głosem Irena. – Nie prowokuj losu!

Stefan posłusznie włącza motor. Wycieraczki rozhuštały się. Wóz bardzo powoli rusza. Zyga pochylony nad karkiem Stefana.

– Ostrożnie! – powtarza. – Ostrożnie! Nie zjechać na pobocze! Ślady! Ominąć tę kałużę!

I Stefan posłusznie, jak na lekcji jazdy, jak na egzaminie, objeżdża leżące ciało, a potem dodaje gazu.

– Jesteście pewni, że on... – Irena urywa w pół słowa.

– Facet nie żyje – mówi Zyga półgłosem.

– Trzeba powiadomić milicję – powtarza znów Halina.

Wóz nabiera szybkości. Trup na drodze został daleko za nimi, ukryty w nocy. Deszcz zmywa ich ślady.

– Co wy robicie, na miłość boską? – mówi ledwo dostłyszalnie Halina.

Minie chwila, nim Irena krzyknie prawie z nienawiścią:

– Dobra wróżka! Obrońca ładu i porządku!

– Przecież nawet nie sprawdziliście porządnie co z tym człowiekiem. –

płaczliwie mówi Halina. – Widziałam! Dobrze widziałam. On może jeszcze żyć!

– Zyga zna się na tym – bąka Stefan.

– Więc jak właściwie jest, Zyga? – pyta Irena.

– Facet sztywny. Wypłukało z niego kanister krwi.

– Musimy powiadomić milicję – powtarza Halina.

– Nigdy jeszcze nie widziałem tyle krwi – wzdrygnął się Zyga. – Aż mnie zemdliło.

– Prędkiej, prędkiej – rozkazuje Irena.

Wóz idzie w rozbryzgach kałuż, przez pustą szosę, Halina nagle czuje, jakby owiał ją piwniczny chłód.

– Może włącznie ogrzewanie – prosi.

– Ależ zmokłem – powiada Stefan. – Potworna pogoda.

– Dlaczego właściwie uciekamy? Tak nie można! Trzeba podjąć jakąś decyzję.

– Właśnie to zrobiliśmy! – syczy za plecami Irena. – Tylko tego brakowało nam do szczęścia – mówi z wściekłością. – Wsypy!

Brzmi to złowieszczo.

– Czy dobrze wyminąłem to miejsce? – Stefan denerwuje się. – Na pewno nie wjechałem w tę kałużę?

– Deszcz wszystko zmyje – mamrocze Zyga.

– No to nic nie widziałyście! – mówi głośno Stefan. – Spałyście! Jasne?

– Co to znaczy? – pyta Halina. – O czym ty mówisz?

– Na wszelki wypadek – powiada Irena. – Śpimy. Żadna nic nie widziała.

Halina czuje, jak wokół niej rozpina się sieć niebezpiecznej zasadzki.

– Ale przecie... – chce protestować.

– O, Boże! Co za kobieta! – złości się Irena. – Niechże tato jej wytłumaczy, bo ja...

– A cóż tu tłumaczyć? – mówi Stefan. – Czy trudno to zrozumieć? Nie możemy się wplątać w żadną aferę. Niechby się o tym dowiedział

Żmudziński! Zaraz by mnie załatwił.

Ale Halina nie chce go słuchać.

– Stefan, czy ty nie rozumiesz? To nasz zwykły, ludzki obowiązek: przynajmniej powiadomić!

– Przedyskutowaliśmy to już z Zygą – oznajmia Stefan. Zazwyczaj nigdy nie powołuje się na niczyje opinie.

– Ze mną? A co tu ja? – dziwi się Zyga.

– Stefan, co ty mówisz? – Halina jest przerażona. – Nawet z punktu widzenia prawnego...

– Zakneblujcie tę sufrażystkę z jej prawnym punktem widzenia – odzywa się Irena. – Przecież ona wie, że mamy zadrapaną przedni błotnik...

– Irka, ty się uspokój – zgromił ją Zyga. – Ja to nawet myślę...

– Co takiego? Jakie znowu zadrapanie? – Stefan zwraca się gwałtownie do córki. – O czym ty mówisz?

– No tak, wygadałam się – bąka Irena. – Rano zrobiliśmy sobie z Zygą wycieczkę... i potraciliśmy rowerzystę. Pijanego.

– Do diabła! – klnie cicho Stefan. O, do diabła!

– Niech ojciec uważa na drogę!

Halina wtula się w kąt wozu, obie dłonie unosi do skroni. Czuje zamęt w głowie.

– To podłość – mówi. – Słyszycie? Obrzydliwe, niskie tchórzostwo.

– Kiedy to racja, że nie można inaczej – perswaduje Zyga. – Ja, proszę pani, też nie chcę wpakować się w żadne szambo. Trafimy na prowincjonalnego kłosa. Niech nada bieg!

– Myślicie, że milicja mogłaby nas podejrzewać?! – zachnęła się Halina. – Przecież to absurd!

– Mogłaby! Dobraś sobie – mówi pogardliwie Irena. – Wystarczy na nas spojrzeć, żeby zobaczyć, jak się boimy.

– Trafi się kłos i będziemy wszyscy dmuchać – powtarza Zyga. – Byłoby

zgrzywnie widowisko: cztery kolorowe baloniki!

– Ale już tyle godzin! – mówi Halina.

– Ile godzin? – śmieje się Irena.

– Ledwie przed godziną strzeliłem sobie dwie setki – przypomina Zyga.

– I, cholera, wchodziły mi. Jak nigdy!

– Kiedy was nie było, piłam koniak – mówi Irena. – I Halina też piła.

– No to jesteśmy dobrana rodzinka – konkluduje Stefan. – To przesądza sprawę.

– Baloniki to oni mają dalekosieżne, na dwanaście godzin – wzdycha Zyga. – Już widzę w Przeglądzie artykuł: Gołąbek w stanie nietrzeźwym...

– Nie mogę narazić się na dmuchanie w ten przeklęty balonik – kategorycznie ucina Stefan. – Jakiś prowincjonalny gorliwiec nada bieg sprawie, nim zdołam załatwić interwencję. Zyga ma rację.

Halina wciąż widzi ten brunatny, omywany ulewą kształt na środku szosy.

– Przecież nie możemy... – raz jeszcze próbuje się sprzeciwić.

Tym razem Stefan reaguje na jej słowa nieoczekiwanie histerycznie. Odwraca się i wysokim, jakby naderwanym głosem krzyczy:

– Milczcie wreszcie! – potem zatrzymuje wóz. – Źle się czuję. Coś z sercem.

Zyga przygląda mu się podejrzliwie. Stefan siedzi pochylony, dłoń przycisnął do piersi, ciężko oddycha.

– No, Zyga? – odzywa się Irena. – Nie możemy przecież tu sterceć.

– Zdarza się – wzdycha Zyga.

Przesiadają się i Stefan przebiega wokół wozu tak szybko, jakby mu lat ubyło. Skarżył się na serce! – myśli ze wstydem Halina. – Coś się we mnie zmieniło. Inaczej na nich patrzę. Inaczej ich widzę.

– Za kółkiem po dwóch setkach Zyga Gołąbek – mamroce bokser, który też ma jakieś wątpliwości. – Ale obciach!

A Stefan, już na nowym miejscu, zapinając pasy powiada z zażenowaniem:

– Czasem bywają takie sytuacje jak ta. Zdradliwe...

– Jeżeli nawala ci serce, to mam lekarstwo – z nawyku, ale nie w porę proponuje Halina.

– Słuchajże, co mówię! – krzyczy Stefan. Odwraca się do niej, purpurowy na twarzy, szarpie oporny pas. Jak zawsze gdy wpada w gniew, jabłko Adama podskakuje parę razy na jego chudej szyi.

– No pewnie! – odzywa się znad kierownicy Zyga. – Wszyscy słuchajmy!

– Przecież nic nie zawiniliśmy? – mówi Stefan. – Myśmy tego człowieka nie zabili. Nie widzieliśmy, kto to zrobił. Czyż nie tak?

– Święte słowa – bąka Zyga.

– A jeśli się w to wplączemy...

– Po co powtarzać? – ucina ostro Irena. – Nawet ona już chyba zrozumiała...

Więc dobrze, wyłączam się, myśli Halina. Jeśli tak chcą. Niech im będzie. Ja jestem w porządku. Chciałam, próbowałam, protestowałam. Ja z tym nie mam nic wspólnego. Tylko że to nieprawda! Będzie mnie to dręczyć całe życie! Tak go zostawiliśmy!

I mimo wszystko podejmuje jeszcze jedną próbę.

– Zyga, ty im wytłumacz. Przecież oni chyba nie wiedzą co robią, Zyga! Lecz on mówi tylko:

– Ja? A co ja mogę...

Stefan odwraca się i kładzie z troską dłoń na czole Haliny.

– Czy ty nie masz temperatury?

– Przestań! – mówi cicho Halina.

– Przemarzałeś tam pod szkołą. I zmkłaś...

Halinie nie podobają się te manewry.

– Miałem taki podskok serca... – mówi Stefan. – Boję się prowadzić. – I tonem prawie błagalnym: – No już, nie złość się. Porozmawiamy o tym wszystkim w domu. Na spokojnie. Wierz mi, zdarzają się takie sytuacje...

– Przestań, proszę!

– Dobrze, już dobrze – bąka obrażony i pochyła się ku tamtym, a zielony odbłask zegarów rozświetla jak aureolą jego mokre włosy. Zmienia ton i żąda: – Teraz wy! Co to była za historia z rowerzystą? Chcę wiedzieć!

– Nieważne – mówi Irena. – Zyga pijaka przeszkolił.

– Który błotnik zadrapany?

– Akurat też prawy.

– I ten człowiek leżał po prawej stronie... – zastanawia się Stefan. – Mielibyśmy murowane kłopoty. Żaden milicjant nie uwierzy, że to zadrapanie... Zaczną się analizy, sprawdzania.

– Tylko szybko sływać. – mówi Zyga. – Im szybciej, tym lepiej. Nic nie widziałem. Nic nie słyszałem.

Nie ma mnie.

Już przedświt, drzewa w tej szarówce jakby nachyliły się nad drogą. Halina patrzy w ten szary, zamglony pejzaż i przeżywa atak depresji. Moje nerwy! Jaka nieszczęśliwa jest kobieta w średnim wieku. Zaczęłam płakać. Rozmażę makijaż. Wszyscy od razu to zauważą. Czuję się okropnie. Dlaczego śmierć obcego człowieka sprawiła na mnie takie wrażenie? Śmierć samotnego rowerzysty na drodze? Skąd takie uczucie, jakby coś się skończyło? Zawaliło? Widziała kiedyś w telewizji film włoski czy hiszpański, oskarżenie burżuazji, tak o nim mówił nadinteligentny przystojniak, który każdy komentowany film nabijał na swoje prawidło. Mąż, a może kochanek, jednak chyba kochanek potrafił rowerzystę i uciekł zostawiając ranne go na drodze. Tej nocy nam też się coś takiego zdarzyło. Ledwie to pomyśleli, już sama sobie gwałtownie zaprzecza. Nic się takiego nie zdarzyło! Nie ponosimy winy, że jakiś pijak (zapewne) wpadł (zapewne) pod nie ich przecież samochód. Nie oni go potracili. Nie oni są winni jego śmierci. W ich wozie czworo ludzi nie wiąże żadna zbrodnicza tajemnica. Nie oni zabili na drodze samotnego rowerzystę. A przecież samochód pełen jest strachu. Dlaczego? Wszyscy się boimy, myśli Halina. Może nawet nie chodzi o

tamtego, pozostawionego na szosie człowieka. Boimy się, że zostaniemy zdemaskowani. Maski. Udawanie. Pozory. Udajemy porządnych ludzi. Stefan, pokazowy moralizator. Zakochałam się w nim, bo był taki odważny! Nieustraszony w głoszonych sądach! Zyga, gentleman polskiego sportu. Ja, tak wyczulona na punkcie etyki. Tylko Irena, czarna owca, przynajmniej nie pozuje na cnotkę.

Zjeżdżają teraz w kotlinę, przed nimi na drodze stoją nieruchome słupy mgły. Wóz w korytarzu swych świateł przebija się przez te opary i coraz bardziej zwalnia. Na domiar złego coś zaczyna się dziać z motorem, Zyga w ponurym milczeniu szarpie manetki gazu, forsuje obroty silnika. Już wszyscy widzą, co się święci, lecz nikt o nic nie pyta. Dopiero gdy się zatrzymują, Halina bąka:

– Dlaczego stoimy?

Zyga ordynarnie przeklina. Zdarza mu się to w ich obecności pierwszy raz. Irena zaczyna się cicho śmiać.

– Przestań – mówi Halina i ma to odwrotny skutek, tamta nie może się opanować, chichocze histerycznie.

– Słuchajcie – mówi – przecież to wszystko jest jakby wyreżyserowane!

Już i Stefan coś Zydze doradza. Zazwyczaj robi to tonem autorytatywnym, pewnym siebie. Teraz inaczej. I Zyga wścieka się.

– Sam wiem, co zrobić!

Wyskakuje z wozu, podnosi maskę. Reflektory dobywają z mroku niedaleki zrąb zbudowanego z polnych kamieni przystanku Pekaesu. Choć deszcz ucichł, z drzew i okapu przystanku kapią, błyskają w świetle reflektorów krople.

– Ktoś mi musi poświecić! – woła Zyga spod maski fiata.

Stefan jakby nie słyszał. Zyga zaczyna się niecierpliwić, wygląda spod maski, po chwili podchodzi do wpółotwartych drzwi.

– No? – mówi z tłumioną pasją. – Ogłuchliście?

– Choćbym chciała, nie mogę – wzdycha Halina. – Nic się na tym nie znam.

– Już dawno powinnaś była zrobić prawo jazdy – mówi Irena. Wierchem dłoni wyciera oczy, rozmazuje makijaż.

– Niech ja w trumnę nie pasuję! – klnie Zyga. – Długo będę jeszcze czekał?

– Irka, poświęć mu – mówi Stefan.

– Do diabła z tą jazdą – stęka Irena i zakłada swój skórzany półplaszczyk. – Co się znowu stało temu pieprzonemu samochodowi?

– Złośliwość przedmiotów martwych – mówi Stefan.

– Brakuje, żeby nas tu ktoś nakrył – mówi Irena ochryplym głosem. Rozespana i zła, zagapiona w mrocz'ne niebo, przypomina:

– Pamiętajcie! Coś nam nawaliło i stoimy tu już od godziny.

– Ba! – wzdycha Stefan. – Kto wie, jak długo on tam już leży?

– Przecież i tą drogą chodzą samochody – mówi Irena. – Nawet jeśli jest w nocy mały ruch. Zatem od godziny – rozstrzyga. – W razie czego mówimy, że w tym czasie mijaly nas trzy lub cztery wozy.

– Po co brnąć w nowe kłamstwa? – protestuje Halina.

Stefan natychmiast odwraca się i kładzie jej rękę na ramieniu.

– Kochanie – mówi – Irka ma rację. To coś w rodzaju alibi. Tak trzeba.

Teraz ten gest i głos znów pełne są serdeczności. Ale Halina myśli z goryczą, że ta serdeczność, do której nawykła, może też okazać się pozą, grą. To wygodne tak ją demonstrować. Nic to nie kosztuje. Żadnego wysiłku.

– Dziękuję, że mi to tak przekonywająco wytłumaczyłeś – mówi do męża. – Cieszę się, że będziemy mieli alibi. Sama myśl o tym napawa mnie otuchą. – Zaczyna się gorzko śmiać, bo znów przypomniała sobie: Boże, jak on wszystkim dziewczętom imponował. I mnie, mnie przede wszystkim. Jak ja go uwielbiałam!

A przed wozem w scenerii zasnutej mgłami wstającego przedświt u zaczyna się seans widowiska świetlnego. Raz po raz latarka błyska ponad maską i zalewa na moment światłem wnętrze wozu. To znów białe jego pasmo tańczy po drzewach, rozbłyska w kałużach na asfalcie. A w samochodzie półgłosem prowadzona rozmowa Haliny i Stefana.

– Tamten człowiek mógł jeszcze żyć.
– Zyga nie wyczuł pulsu.
– Nawet nie odwróciliście go na plecy.
– Zyga nie chciał tego robić.
– To, że unióśł jego rękę i opuścił? Takie stwierdzenie śmierci klinicznej?

– Więc co mieliśmy zrobić?
– Coś powinniśmy byli zrobić.
– Ale co?
– Mnie pytasz? Jesteś przecież specem od pouczeń. W każdej sytuacji.
– Moja droga! – protestuje Stefan.

Manipulacje przy silniku, trwają bardzo długo. Zyga raz i drugi wraca do wozu, próbuje uruchomić silnik.

– No i co? Jedziemy? Nie jedziemy? – pyta Stefan.

Chłopak nie odpowiada i tylko przeklina soczyście, już zupełnie nie krępując się obecnością Haliny.

Na drodze cisza. To istotnie mało uczęszczana szosa. Przez otwarte drzwi wozu napływa wilgotne, zmieszane z mgłą powietrze, zapach butwiejących liści i niedalekich moczarów. Jest dużo cieplej niż tam, w podgórzu. Gdzieś zupełnie blisko zaczyna się koncert ptasi o świtanie.

– Powinniśmy zawiadomić milicję – mówi znów Halina przewyciężając zmęczenie, senność, pokusę, by położyć głowę na oparciu i zasnąć.

Wreszcie przymyka oczy, lecz tylko po to, by od razu ułoić niepokojący dźwięk. To daleki, zrazu cichy, ale narastający pomruk ciężkiego motoru. Jednocześnie łoi ten odgłos i Stefan, i Halina, i tamci dwoje. Irena podbiega, jest bardzo podniecona.

– Pamiętajcie – mówi. – Stoimy tu od godziny. A najlepiej: wy nic nie mówcie. Spalicie. Nic nie widzieliście. Nic nie słyszeliście. Zostawcie to nam.

– Ładna historia – bąka Stefan. – Wygląda na to, że i tak będziemy w to zaplątani.

– Będziemy? – Halina koryguje. – Jesteśmy. Czy nas ktoś tu przyłapie, czy nie.

– Dajże już spokój!

– Kiedyś sam mi tłumaczyłeś, co to znaczy zaniechanie. Zbrodnicze zaniechanie. Tak się to nazywa?

– Przestałaabyś, do wszystkich diabłów, odgrywać rolę naszego etatowego sumienia!

W lusterku nad kierownicą już widać światła nadjeżdżającego wozu. Motor dudni głucho na jakimś mostku. Już można rozpoznać: to zbliża się ogromna ciężarówka, czerwona szoferka, a za nią srebrny kontener. Mijając ich wóz zwalnia, z okienka szoferki wychyla się kierowca w berecie naciągniętym na uszy.

– Długo tu stoicie? – woła zachrypniętym głosem.

Zyga wychodzi na środek szosy.

– Z godzinę. O co chodzi?

Tamten nie odpowiada. Ciężarówka toczy się wolno, raz jeszcze w oknie szoferki ukazuje się głowa kierowcy.

– Dużo tu wozów przez ten czas przeszło?

– A latają – mówi Zyga. – O co idzie?

Tamten znów nie odpowiada. Ogromny wóz porykuje głośno, nabiera szybkości, ciągnie za sobą rozbryzgi kałuż, czarną smugę spalin i krwawe poblaski tylnych świateł. Zyga wraca za podniesioną maskę. A Irena znów podbiega, otwiera drzwiczki wozu i mówi rozgorączkowana:

– Dajcie długopis. Prędkiej!

– Po co? – pyta Halina.

– Muszę zapisać numery rejestracyjne.

– Po co? – pyta raz jeszcze Halina.

– W razie czego! – mówi Irena. – On też przejeżdżał tą szosą.

Halina śmieje się bezgłośnie.

– No tak! – mówi – To świetny pomysł. W razie czego wsadzimy do więzienia kierowcę tej ciężarówki.

– Znowu zaczynasz?! – wybucha Stefan.

– Tylko najpierw dobrze się zastanówcie – mówi Halina. – Bo ja, na przykład, zwróciłabym uwagę w takim zeznaniu na to, że zapamiętaliście numer rejestracyjny tego wozu. Dlaczego?

– No, no, Halina! Wyrabiasz się. Bo ja o tym nie pomyślałam – mówi z uznaniem Irena. – Ale jeśli zapamiętamy, jak wyglądała ta ciężarówka, to chyba nie wzbudzi żadnych podejrzeń?

– Idź do diabła! – wybucha Stefan. – Działasz mi, Irka, na nerwy.

Wsiada Zyga i milczkiem, zawzięcie próbuje uruchomić motor. Tym razem mu się to udaje. Gasi go i wyskakuje z wozu. Z furią zatrzaskuje maskę. Staje przy otwartych drzwiach i klnie wycierając ręce szmatą. Ciska szmatę do schowka.

– No i co teraz?

– Ciekawe, czy ten szofer widział nasz numer rejestracyjny? – zastanawia się Irena.

– Jakie to ma znaczenie? Jedyna kwestia, czy szofer tej ciężarówki powiadomi milicję.

– Cwaniak – mówi Irena. – Farby nie puścił.

– Może daje drapaką jak my? – mówi Zyga. – Byłoby niezgorzej.

– Zawsze może nam się udać zrobić w ten mord kogoś niewinnego – mówi Halina.

– Milcz! – krzyczy Stefan.

I Halina milknie. Należało mi się, myśli. Zasłużyłam. Przymykałam oczy. Wiedziałam już od dawna. Mam za swoje. Nie mogę mieć do nikogo pretensji.

– Niech pohistryzuje. Nie szkodzi – mówi Irena.

– Zrozum, to ciebie, Halina, nie dotyczy – powiada Stefan. ~ Ty cały czas spałaś. Nic nie wiesz. To wszystko, co chcemy od ciebie.

– Nie róbcie ze mnie idiotki.

– Sama nie rób z siebie idiotki, kochanie – mówi Irena.

– Czy kobiety nie mogą żyć w zgodzie?

– Ja się nie kłóczę – mówi Irena. – Po prostu usiłuję Halinę wyłączyć z tej sprawy.

– Nie ma żadnej sprawy – konstatuje Stefan.

– A jak? Nie ma sprawy! – zgadza się Zyga. – Tylko że lepiej byłoby, gdybyś i ty, Irka, też spała.

– Moglibyśmy jeszcze teraz pojechać na najbliższy posterunek milicji – powtarza z uporem Halina.

Tamci udają, że tego nie słyszą.

– Kto poprowadzi? – pyta Zyga. Stefan nerwowo zapala papierosa.

– Chyba ty?

– Dlaczego ja? Miałem spać do Warszawy.

– Mówiłem już, że mam kłopoty z sercem – wdycha Stefan.

– Dlaczego ja? – podnosi głos Zyga. – Było ustalone, że odpoczywam aż do Warszawy. No? Irka?

Irena wzrusza ramionami i nie odpowiada. A Stefan zaciąga się papierosem.

– Ja też piłem. Siedzimy w tym samym worku.

– W tym samym? To różnica, czy po wódce siedzi się za kółkiem, czy w fotelu obok. Nie podoba mi się to, wcale nie podoba.

– Szkoda czasu na kłótnie. Ruszajmy – mówi Irena. Lecz Zyga się upiera.

– To nie fair. Teraz wypada mój czas wypoczynku. Halinie zdaje się, że słyszy w jego głosie nową nutę.

Czyżby chłopak się buntował?

– Że niby ja jestem zobowiązany? – mamrocze Zyga pod nosem. – Znaleźli sobie...

– Bardzo cię proszę, Zyga – upomina go Irena.

– Jak krewa to mnie do przodu!

W zasnutej deszczem perspektywie drogi wynurzającej się z lasu i przecinającej nizinę zaczyna naraz coś pulsować. Dostrzegają to jednocześnie i Halina, i Stefan. Biało-niebieski błysk nabiera siły i już słychać jęklliwe

zawodzenie syreny.

– Aha, jadą – mówi Zyga. – Znaczy, zaczyna się.

Wraca przed wóz i znów podnosi maskę. Chowa głowę w ramiona, marszczy czoło. Symuluje jakieś majstrowanie w motorze. I tak póki nie minie ich nysa milicyjna na sygnale, zupełnie niepotrzebnym w tym odłuziu. Przez chwilę wydaje się, że tamci zatrzymują się, ale zwolnili tylko i z szoferki wyjrzał oficer. Zyga wyprostował się i popatrzył mu w oczy. Stał tak w świetle reflektora, na tle jaśniejącej już nocy. Nysa nabrała szybkości. Wjechała w tunel lasu. Wyglądało, jakby pchała przed sobą po mokrym asfalcie romb światła.

Zyga zatrasnął maskę. Podszedł do tylnych drzwi, otworzył je i powiedział zmienionym głosem:

– Widzisz, Irena? Smród. Ja się wycofuję.

Sięgnął ponad jej głowę i wyszarpnął zza oparcia poklejony plastrami pakiet.

– Co robisz? – wrzasnęła cienkim głosem Irena i usiłowała go wydrzeć Zydze.

Halina przeraziła się, bo przez moment myślała, że Zyga chce zdemolować wóz, tak się zamachnął trzymając oburącz tę płaską paczkę. Nigdy nie widziała go w takim wzburzeniu.

– Już ja wiem, co robię! – jego głos brzmiał falsetem. – Nie rozumiesz? Wszystko się ryło!

Przeskoczył rów trzymając oburącz paczkę ponad głowę. Halina pochyliła się do przodu, by lepiej widzieć, jak wziął rozmach i cisnął paczkę ponad zarośla. Żółty plastik błysnął tylko przez ułamek sekundy napisem „Kopenhagen” i paczka jakby uleciała ponad szpaler przydrożnych krzaków. Plasnęło głośno błotniste rozlewisko.

– Coś ty zrobił? – wrzasnęła Irena wyskakując z wozu.

– Mój Boże! – jęknęła Halina.

– Co to wszystko znaczy? – wymamrotał Stefan.

A tamci szamotali się na drodze, w półmroku, to znów w odbiciach

światel reflektorów. Irka atakowała, Zyga robił uniki, chciała mu oczy wydrapać, chwycił ją za oba nadgarstki. Wrywała się, krzyczała jakieś obelżywości. Z trudem ją przyciągnął i wepchnął z powrotem do wozu.

- Uspokój się! – powiedział. – Spadamy! Uniwersytutka!
 - Jak on śmie tak mówić do mojej córki? – bezradnie zapytał Stefan.
 - Ty skurwysynu! – krzyknęła Irena.
 - Uspokójcie się – błagała Halina.
 - Co to wszystko znaczy? – zapał Stefan. – Jak wy się zachowujecie?
- Irena dyszała ze złości i rozcierała obolałe nadgarstki.
- Debil z ciebie, Zyga.
 - Ty się, Irka, ode mnie!
 - Bałwan i tchórz!

Halinie wydało się, że Irena w nowym paroksyzmie wściekłości chce go uderzyć. By zapobiec, schwyciła ją za rękę.

- Zostaw mnie w spokoju! – odrzuciła ją Irena.
- Miałem czekać, aż gliniarze tam zajrzą? – powiedział Zyga. – Aż odkleją te twoje plastry? I wezmą nas za dupy?

– Ty idioto! Trzeba było schować w oznaczonym miejscu. – Pociągała nosem, chlipała jak mała dziewczynka, której zabrano ukochaną lalkę.

Zyga wyprowadził wóz na środek szosy.

- Obciach! – krzyknął. – A ja nie chcę wyjść na złodzieja!
- Natychmiast chcę wiedzieć! – zachrypiał napiętym głosem Stefan. – Ani chwili dłużej! Czego to Zyga się pozbył?

– Pięciu tysięcy dolarów. – Irena głośno wytarła nos. – Wyrzucił je w błoto. Dosłownie!

Stefan z wrażenia głośno łapał powietrze.

- Jakie znowu pięć tysięcy dolarów?
- Już nie muszę z nim jechać na ten ich nędzny mecz! – Irena znów zaczęła się śmiać histerycznie. – Niech się pozabijają. Ani trochę nie interesuje mnie kto kogo...
- Zamknij dziób!

Śmiała się i pochlipywała jednocześnie.

– Wakacje we Włoszech! Z tym popaprańcem. Była szansa!

Znów zamachnęła się i byłaby uderzyła Zygę pięścią w kark, ale Halina chwyciła ją w porę za rękę.

– Troglodyta – popłakiwała Irena. Wyszarpnęła rękę i podrapała Halinę. To jej przyniosło ulgę. Uspokoila się.

– Czyście dostali amoku? – stęknął z przerażeniem Stefan. – Co to za ordynarności?

– Trzeba to wytłumaczyć – zdecydowała Halina. – Bo, widzisz, w tym czasie, gdy w szkole te uroczystości i w ogóle, Irena i Zyga zrobili skok w góry...

– Jaki znów skok?

Już wiedziała, że burzy układ pozwalający mu udawać, że nic nie wie o Irenie. Niech usłyszysz, jaka jest, pomyślała z determinacją.

– Nie pojechali na wycieczkę dla przyjemności.

– Jakiś genialny pomysł mojej córeczki?

– Ukradli ze starej cerkwi ikony. Irena chciała je wywieźć za granicę.

Stefan sapnął głośno przez nos i zaniemówił. To miał być jego pierwszy od dawna niedzielny relaks, pomyślała Halina. Ale nie mogłam dłużej milczeć. I nagle już bez osłonek powiedziała:

– Jakże ja nienawidzę tej dziwki!

– No, właśnie! Spowiedź powszechna – zachichotała Irena. – Żal za grzechy!

– Ukradliście? – wychrypiał Stefan. Dźwignął się z fotela i odwrócił do córki.

Halina ucieszyła się. Jak to dobrze, że jest ciemno i nie widzę jego twarzy.

– I tak prędzej czy później ktoś by to zrobił – odszczeknęła się Irena.

– Ja... Ja nie mam słów. – Stefan opadł na fotel.

– Miałam czekać, aż ktoś inny wpadnie na ten pomysł? – warknęła Irena. – Ikony z klasztoru Athos! Wszyscy je przegapili! A ja skorzystałam z okazji. Tak się robi: kto pierwszy, ten lepszy!

– Tak się robi? – wymamrotał, osłupiały, Stefan.

I Halina zrozumiała. Więcej nie ma po nim czego oczekiwać. Jest stary, bezsilny. Zmiał się jak w żarnach. Zostały tylko frazesy. Poczuli się denuncjatorem, podpalaczem własnego domu. Przymknęła oczy. Moje dobre chęci! – pomyślała.

– Uwaga, milicjant! – powiedział głośno Zyga.

Trzęsło ich na złej nawierzchni przedmieścia z rzadka oświetlonego łukowymi lampami. Na środku ulicy stał milicjant ze służby drogowej, w kasku. Zyga powiedział głośno:

– Wcale mi się to nie podoba i opuścił boczne okienko.

Milicjant podszedł, zajrzał do wozu.

– Proszę zjechać w pierwszą ulicę w lewo, zatrzymać się przed Komendą Powiatową.

Irena poruszyła się niespokojnie.

– A co się stało?

– To się okaże – powiedział milicjant.

Stefan odkaslnął, jakby mu zaschło w gardle.

– Czy to potrwa długo? – spytał starając się użyć zwykłego, pewnego swych przewag tonu. – Bo my się bardzo śpiemy...

– To się okaże – powtórzył milicjant i wrócił do swego motocykla. Słyszeli, jak przez radiotelefon podał numer ich wozu.

Zyga podkręcił okienko i wolniutko poprowadził wóz tą brzydką uliczką. Okna domów były czarne. Miasteczko spało. Na chodnikach odbywało się psie wesele. Różnej maści kundle obskakiwały chudą, czarną suczkę, nie zwracały uwagi ani na deszcz, ani na samochód. Zyga musiał uważać, by nie przejechać którego z amantów.

– Mają nas – powiedziała Irena.

– Na czyje wyszło? – mruknął Zyga.

– Ładna historia – zachrypiał Stefan.

– Na Miłość Boską, nie wpadajmy w panikę – powiedziała Halina.

– Jesteście, Zyga i ty, Irena, jesteście zwykłymi złodziejaskami! –

przypomniał sobie Stefan. – W moim samochodzie!

– Niech i tak będzie – obruszyła się Irena. – Jesteśmy złodziejaskami. Ale pomówimy o tym nie teraz, a w domu.

Stefan wpatrywał się w Zygę, jakby go widział po raz pierwszy.

– Zdemoralizowałeś mi córkę – wypluł z siebie. – Tak mi się odwzięczyłeś?

– A to dobre! Ja ją zdemoralizowałem? – w głosie Zygi zabrzmiało zdumienie. Próbował się roześmiać, ale mu się nie udało. – Wyjdzie jeszcze na to, że ja ją rozprawiczyłem?

– Dość tych ordynarności! – uniosła się Halina.

Skręcili w jaśniejszą oświetloną przecnicę i od razu ujrzeli pudełkowaty budynek, a obok na parkingu jakieś wozy.

– Jest i ta ciężarówka – nastraszył się Zyga.

– Czy to musi znaczyć, że jej szofer już o nas zameldował? – powiedziała z powątpiewaniem Irena.

– Nie, skądże. Pewnie czeka na lepszą okazję – mruknął Zyga.

Zajechał na parking i zatrzymał wóz tuż za ciężarówką, jakby się za nią chowając. Zgasił motor. Nikt w wozie się nie poruszył.

– Co dalej?

– Trzeba iść do dyżurki – powiedziała Irena.

– I dmuchać w kondon – odezwał się Zyga. – Na pewno nie ja!

– Zyga prowadzi wóz – przypomniał Stefan.

– Znaczy, mam nadstawić karku? – roześmiał się Zyga. – Za was? Czy za ojczyznę?

– Tak wychodzi. Ty prowadzisz wóz – powiedziała Irena.

– Czyli żeście mnie wrobili. Sprytnie. I owszem.

– Boże miłosierny – westchnęła Halina.

Znowu chwila ciszy.

– Zrozum, nic ci nie grozi – powiedziała Irena. – W razie czego tato ciebie wyciągnie.

– A cóż mi zostaje? – mruknął Stefan. – Zrobię wszystko co w mojej mocy.

– Nie co w twojej mocy, a wyciągniesz go.

– Tak. Naturalnie.

– Ojciec powie gdzie trzeba, że dostał ataku serca. I dlategoś ty, Zyga prowadził.

– Cznięm – mruknął Zyga. – Macie mnie aż za takiego kretyna?

– Boże miłosierny – powiedziała z obrzydzeniem Halina.

– No tak. Bo ten na szosie? – przypomniał Zyga. – A rysa na błotniku?

– I tak ty za nią odpowiadasz – powiedział Stefan.

– Małe piwo – orzekła Irena. – Najwyżej sprawdzą, że nie my. Są metody! Naukowe.

– A balonik? – powiedział Zyga. – Mam dmuchać? Po dwóch setkach?

– Tato powie gdzie trzeba, żeś zmókł, żeś bał się zapalenia płuc. I że nie miałeś prowadzić. Wyszło inaczej, bo ojciec miał atak serca. Zresztą, o wa! W najgorszym razie nie pojedziesz do Monachium!

– Kończcie ten targ. Nie można tego słuchać – jęknęła Halina.

– I tak pora ci rzucić ring. Najwyżej w Monachium nie pośle cię na deski ten goryl. Jakoś ciebie urządzimy. Możesz być o to całkiem spokojny.

– Musi iść, kogo poganiają – powiedział Zyga. – Pójdę, ale nie sam.

– Spryciarz z tego Zygi – warknął Stefan. – No, proszę...

– Wyciągną ojca, to i ja się przyczepię.

– Mówiłem, że spryciarz – powtórzył Stefan.

– To prawda. Jeśli ktoś z nas ma trochę sprytu, to Zyga – przyznała Irena.

– Tego się właśnie boję – westchnął Stefan.

– Znowu coś nie tak? – powiedział Zyga.

– W biedzie ojciec od razu zaczął go słuchać – przypomniała Irena.

– Bo ma kwalifikacje na prowodyra.

– W coś mnie tu wrabiają – uniósł się Zyga. Halina buntowała się, nie chciała tego słuchać.

– Wplątaliście nas – powiedziała do Ireny. – Przez was, my, przyzwocii ludzie, znaleźliśmy się w sytuacji niemoralnej.

– Ja jestem niemoralna, a Zyga to troglodyta. Znam to na pamięć.

– Skończcie z tym troglodytą. I zjeździe ze mnie – powiedział Zyga.

– Na miłość Boską, proszę was, przestańcie! – jęknął Stefan.

Irena zapalała papierosa. Ręce jej drżały.

– Mój Zyga z mózgiem kolibra. Ale jakie mięśnie! Jesteś moralistką czy tylko wyłażą z ciebie kompleksy niewyżytej nimfomanki?

Halina przyciskała palce do skroni.

– Jak możesz tego słuchać? Jak możesz pozwalać, żeby mnie tak obrażano? Za wszystko... Za moje serce i poświęcenie.

– Dostyc tego! – krzyknął Stefan.

– Pewnie, że dostyc – przytaknął Zyga. – Bo jeszcze trochę i milicja nas wyciągnie z wozu. Aleś mnie, Irka, Wrobiła!

EPILOG

Komenda MO gnieździła się w bunkropodobnym, betonowym bloku. Wysoko zawieszona lampa, rozhuśtana przez wichurę, chlustała na mokrą fasadę budynku sinym światłem i dobywała z mroku ciężkie okratowania okien parteru i zamknięte o tej porze żelazne drzwi.

Zyga wbiegł po schodach, bo deszcz znów się nasilał. Już z ręką na klamce tych ciężkich drzwi, odwrócił się. Z samochodu wysiadał z ociąganiem Stefan. Twarzy kobiet Zyga nie dojrzał, ukryły się w ciemnościach. Znów chwyciła go złość.

– Koniec – powiedział głośno. – Teraz już amen!

– Co mówisz, chłopcze? – spytał Stefan otrzepując krople deszczu z marynarki.

– Kit, staruszkule – mruknął Zyga i pchnął wejściowe drzwi.

Otwierały się bezszelestnie i zaskakująco lekko. W jasnym blasku sieni rosły sierżant milicji, w skórzanym kombinezonie i ciężkich butach, zbierał się do wyjścia i podpinał pod brodą pasek motocyklowego hełmu. Teraz się zacznie, pomyślał Zyga.

– Nie ma się co dekować – powiedział głośno do Stefana, który wciąż był dwa kroki za nim.

Sierżant spojrział rzeczowym, taksującym wzrokiem.

– Posterunek u wylotu Rzeszowskiej szosy kazał nam tu zjechać – powiedział Zyga.

– Obywatele wejdą do dyżurki – polecił sierżant urzędowym, pozbawionym wyrazu basem. – Drzwi na lewo.

Weszli do dużej izby, przedzielonej drewnianą balustradą i zalanej białym światłem. Na ścianach godło państwowe i jakieś plakaty, w kątach ciężkie kasy pancerne. Wieszak ustrojony w płaszcz i czapki przywodził na myśl stracha na wróble. W nosie kręcił gęsty zapach środków dezynfekcyjnych, potu, alkoholu. Zyga słyszał za plecami oddech Stefana, jego nerwowe pokaszliwania, trzask zamykanych drzwi. Wrobili mnie! – pomyślał. – Zyga, kominiarz córki! Zyga, prywatny kierowca! Zyga, w razie czego, kozioł ofiarny. Ale to się skończy!

Pod ścianą, na przyśrubowanej do podłogi ławie siedziało dwoje: kobieta w ortalionowej, turkusowej kurtce, o twarzy, która sprawiała wrażenie, że wyszorowano nią brudną podłogę, oraz mały, łysy człowieczek o wyłazających z orbit, przekrwionych oczach. Otaczał ich aromat budki z piwem i pisuaru. Rozmawiali szeptem. Za balustradą stało potężne biurko, nikł za nim starszy sierżant o szarej i zmiętej twarzy, jaką można zobaczyć nad ranem w tłumie oczekującym na spóźniony pociąg. Nad nim nachylał się młody oficer, wystrzyżony na jeża, i gniewnie coś tłumaczył. Blask lampy podkreślał czerwień rumieńców na jego policzkach, świeżych i jakby dziewczęcych.

Zyga podszedł do balustrady. Nim zagadał do służbowego, obejrzał się i znów chwyciła go wściekłość. Wycwaniał się ojczulek! Rozgrywa mnie – pomyślał. Stefan tkwił u drzwi. Zyga ułowił jego spojrzenie pełne strachu. A ja się nie boję, pomyślał wzgardliwie. Co mnie tam! Balonik!

Nagle błysnęła całkiem nowa myśl i od razu poczuł, że się poci. Po karku spływało wilgotne ciepło. O, raju, pomyślał. Analizy! Do tej chwili całe swe rozumowanie prowadzące do wniosku, że wszystko to frajer, opierał na prostej przesłance: rysa na błotniku. Jak zrobią analizy – słyszał o czymś takim – kiedy zbadają lakiery, zadrapania i w ogóle, okaże się, że to nie my. A teraz poraziła go myśl: A jeśli ja za mocno przylałem tamtemu pijakowi? Jeśli on już w parku sztywnych? I jeśli tu, teraz, analizy wykażą, że to my tego pijaczka, bo oni mogą mieć już cynk, że coś takiego się zdarzyło? Podpadnę i dopasują mnie do tamtej sprawy?

Oficer umilkł wlepiając oczy w Zyę. Dyżurny zdjął czapkę. Wyglądało to, jakby się uklonił. Wytarł spoconą łysinę. Warknął zeźlonym głosem:

– W jakiej sprawie?

Naraz i w jego oczach pojawił się odblask zainteresowania. Wzbudził je czerwony dres Zygi.

– Kazano nam zjechać z szosy i tu się zameldować – powiedział Zyga. Spojrzał prosto w oczy oficerowi i dodał: – Bardzo się śpieszymy.

– Z rzeszowskiej szosy? – spytał oficer.

Zyga potwierdził. Sierżant chrząknął, spojrzał surowo, a może tylko ze zmęczeniem, wyciągnął rękę:

– Dokumenty!

Zyga miał je w portfelu, w kieszeni na piersiach. Popatrzył wymownie na Stefana i znów pomyślał: Dlaczego ja? Dobył portfel z dermy imitującej skórę krokodylową. Znów się zawahał, a potem podał nie sierżantowi, a oficerowi plastikową, przezroczystą kopertę zawierającą dowód osobisty i legitymację klubu.

– Co nam tu podajecie? – powiedział gniewnie sierżant. – Dowód osobisty!

Oficer wyjął dowód osobisty Zygi z koperty i podał go sierżantowi.

– A prawo jazdy?

Zyga pogrzebał w portfelu. Prawo jazdy jakby się przykleiło, trudno je było wydobyć.

Nastąpił moment kontemplacji dokumentów. Oficer i sierżant w milczeniu oglądali je i podawali sobie na przemian. Zyga znów obejrzał się na Stefana. Tkwił dalej pod drzwiami. Dwa shtywniaki, ten oficer i sierżant, pomyślał Zyga. Będą nas maglować! Powiem, że prowadziłem wóz. Niech stracę. Nadmucham w balonik. Już słyszę, jak Radeberger mówi: Gołąbek upił się, po pijanemu narozrabiał! Niech stracę. Zrobię to. I tak pora konczyć z ringiem. I z tą rodziną.

Oficer zgarnął dokumenty Zygi, nachylił się do służbowego i powiedział coś szeptem. Obaj spojrzeli badawczo.

– Gołąbek? – upewnił się oficer. – Wasze nazwisko?

– Tak, Gołąbek – mruknął bokser. – Przecież tam napisane.

Oficer wyprostował się i rumieniec na jego twarzy jeszcze spąsował.

– Nocna jazda, co? – powiedział.

– Całonocna.

– Chwilę poczekać – oficer raz jeszcze zajrzał do dokumentów Zygi. A potem powiedział do służbowego: – Niech tu chwilę posiedzą. – I skoczył do najbliższych drzwi..

Zyga znów obejrzał się. Stefan stał pod drzwiami w bezruchu, przygarbiony, postarzały. Budził litość. Facet na ławie odepchnął od siebie zasypiającą kobietę i bełkotliwie powiedział:

– Ja protestuję! Panie chorąży – (to do sierżanta) – czy ja mam prawo?

– Obywatel się uspokoi – powiedział sierżant.

I facet ucichł.

– Niech ojciec tu podejdzie – powiedział Zyga i skrzywił się pogardliwie.

– Niech obywatel usiądzie – powiedział starszy sierżant wlepiając wzrok w dresy Zygi.

– Człowiek nie ma nawet prawa! – powiedział pijak na ławce. – I za co? Za niewinność!

Oficer wrócił bardzo podniecony. Zydze wydało się, że wyraz triumfu na jego twarzy wróży coś złego, ale milicjant wyszedł zza balustrady i wręczył Zydze jego dokumenty.

– To była tylko formalność – powiedział. – Nie będziemy zatrzymywać. Cieszę się, że pana, panie Gołąbek, poznałem. Co za traf! Nazywam się Klimczuk.

Wyciągnął rękę, a gdy Zyga podał mu swoją, po prostu uwiesił się u niej.

– Jak to formalność? – zdumiał się Zyga. – W nocy każą nam tu się meldować. I to jest tylko formalność?

– Formalność. Taka zwykła sprawa – powiedział milicjant. – A może gorącej kawy, co, mistrzu?

Zyga obejrzał się. Stefan siedział na brzeżku ławy z osłupiałym wyrazem twarzy.

– Nie, dziękuję – powiedział Zyga. – Bardzo się śpieszymy. Ale co to znaczy formalność? Kazano nam zjechać z drogi. Przerwa w podróży. I w ogóle.

Oficer westchnął jakby zawstydzony.

– Tak, tak! Rozumie się. Okoliczności. Mamy sprawę. Morderstwo. Na tej szosie rzeszowskiej. No i dobro śledztwa...

Zyga pomyślał, że stawiać się trzeba z umiarem, tak żeby władzy nie wkurzyć. – Co my mamy z tym wspólnego?

– No właśnie. Wydawało się... Taka niedzielna sprawa. Dwóch z tej naszej Hydrobudowy jeździło do panny w sąsiednim miasteczku. Na rowerach. Dzisiaj, jak wracali, pokłócili się. Zleźli z rowerów i jeden zaprawił drugiego nożem. Prosto w serce. Facet został na środku szosy. A tamten jak zobaczył, że zaciukał, wpadł w panikę i zaczął uciekać. Ale deszcz lał, to go i ochłodził. Przepedałował kilometr, opamiętał się, zatrzymał przejeżdżającą ciężarówkę. Opowiedział wszystko szoferowi i ten go tu do nas przywiózł. Zwykła sprawa.

– Ale po co nas zatrzymano?

– Zrobiliśmy blokadę: a nuż będą potrzebni dalsi świadkowie? Ale już wszystko jest jasne i bez tego. Przyznał się. A pan jedzie fiatem?

– Tak.

Kierowca ciężarówki zapodał, że staliście na poboczu. Że was mijał.

– Tak.

– To znaczy, że tuż po waszym przejeździe tamci dwaj... A co panu nawaliło?

Czy on mnie podpytuje? – pomyślał Zyga. Może to jakaś pułapka.

– Gaźnik – powiedział obojętnie. – Przedmuchiwałem.

– Kierowca ciężarówki właśnie tak zapodał: że facet w dresach naprawiał coś w silniku fiata 132.

– Dresy mam całkiem mokre.

– A gaźnik nawalił poważnie? Może coś pomóc? – powiedział oficer. – Musieliście tam stać ze dwie godziny. Tak wynika z czasu popełnienia zbrodni.

Zyga bąknął, że nic im nie trzeba. Sami dadzą sobie radę. Znow obejrzał się za siebie. Stefan wstał z ławy, tkwił tam z wyczekującym wyrazem twarzy pod plakatami komitetu antyalkoholowego. Razem z nim dźwignął się ciężko ów pijaczyna i podszedł bliżej.

– Panie kapitanie – powiedział płaczliwie. – Przecież mnie znacie. Ja wszystko zapłacę. Co do grosza.

– Zamknąć ich – powiedział oficer do dyżurnego. A do Zygi: – Może jednak rozgrzać się troszkę? Komendant chętnie by pana poznał, ale diabli nadali...

O, raju, pomyślał Zyga. Już po strachu?

– Nie dziękuję. Jeśli można, będziemy jechać – powiedział i uśmiechnął się. – Mamy ważne sprawy w Warszawie. Mój teść... – wymienił to głośne nazwisko. W Warszawie zrobiłoby wrażenie, ale tu była prowincja, tu rządzyły inne prawa: nie wywarło na oficerze wrażenia.

– Szkoda. Chętnie bym pogadał. Ale komu w drogę. Ja to rozumiem – powiedział i znow wyciągnął szuflowatą, budzącą respekt dłoń.

Zyga znow ją uścisnął.

– A tak między nami, mistrzu – spytał oficer – jaka forma naszej drużyny? Opłaca się nastawić telewizor? Czy lepiej uciekać na ryby? O, raju, ale my się tu emocjonujemy! Wszyscyśmy kibice, a co niektórzy, na przykład ja, sami trochę boksujemy. Więc słówko: nie damy się?

– Lepiej nie zapeszać, nie prorokować. I w ogóle... Czas nie pozwala – powiedział Zyga. – Po nocy dymam na zgrupowanie.

– Tak, oczywiście – powiedział oficer i otworzył przed nimi drzwi.

Zyga wyszedł pierwszy, za nim Stefan wycierając czoło chusteczką. Oficer zrobił ruch, jakby chciał rzucić się na szyję Zydze.

– Następnym razem – powiedział bokser i zrobił unik. Ominął gościnnego milicjanta, wyszedł na schody. Z błękitno-białymi błyskami obrotowego

światła zajeżdżała przed Komendę znajoma nysa.

– To ja się już pożegnam. I odmelduję się – powiedział oficer. Włożył czapkę, zasalutował. Z nysy wysiadła cała grupa milicjantów i dwóch młodych cywili. Na pewno z prokuratury, pomyślał Zyga. Na schodkach zrobiło się prawie ciasno. Jeden z tamtych powiedział coś o zwłokach, Zyga złowił tylko strzęp zdania. Znow padł deszcz i wzmagał się wicher. Przejaśniało się. Stawał świt.

– Nic nie rozumiem – powiedział Stefan. – Czego oni właściwie od nas chcieli?

– Od nas, co? – powiedział Zyga.

Zbiegł po schodkach i wsiał do fiata, na tylne siedzenie, obok Haliny. Irena, zgarbiona, skuliła się na przednim siedzeniu i paliła przy zasuniętych szybach.

– Czego chcieli? – zapytała nie wypuszczając papierosa z zębów.

– Nadymiaś jak diabli! – powiedział Zyga. – Ładnie będę wyglądał na ringu!

Stefan mimo deszczu stał chwilę przed otwartymi drzwiami. Wreszcie ociągając się usiadł za kierownicą. Naciągał rękawiczki i milczał. W wozie było prawie jasno, zakosem padało tu światło łukowej lampy, która uspokoiła się i już nie pląsała na wietrze jak uprzednio.

– No i co? – prawie krzyknęła Irena. – Może byście wreszcie byli łaskawi nam opowiedzieć.

Odwróciła się do Zygi, ale on już układał się do snu. Zamknął oczy, mógłby sprawiać wrażenie śpiącego, gdyby nie gniewne zmarszczki na czole.

– Mówcie, do diabła! – krzyknęła.

– Odpitolił się ode mnie – mruknął Zyga nie otwierając oczu. Koniec twoich rządów!

– Co mamy mówić? – wtrącił się Stefan. – Właściwie niepotrzebnie nas tam ciągnęli.

– Jak to?

– Twój Zyga pokazał im legitymację...

– ... dowód.

– Czy dowód. I to wystarczyło. Jakiś oficer-kibic zaczął go emablować. Chciał nas nawet częstować kawą.

– Żart taki? – powiedziała z niedowierzaniem Irena. – I po to zatrzymali nas w podróży?

Zyga warknął coś niezrozumiałego. A Stefan westchnął głęboko.

– Prowadzą śledztwo w sprawie tego morderstwa na drodze – powiedział cicho, ale głosem już spokojnym, zwyczajnym. – Jakaś pijacka burda. Porachunki na noże. Mają już sprawcę. I świadka. Tego szofera z ciężarów-ki.

– Przecież on wie tyle co my – zdziwiła się Irena. – Świadek! Widzieliśmy, że przejeżdżał po nas.

– Sprawca zatrzymał go na szosie – tłumaczył Stel fan. – Opowiedział mu o wszystkim. I zeznał na komendzie.

Na chwilę umilkli. Stefan jakby zwlekał z uruchomieniem silnika. Hali-
na spostrzegła, jak rozluźnia węzeł krawata.

– No tak – powiedziała Irena. – To nawet śmieszne. Można uznać, że-
śmy się fatalnie wygłupili.

Stefan wzruszył ramionami.

– Nie lubię takich określeń.

– Nie mieszajcie mnie do swoich brudnych spraw – mruknął Zyga. –
Nie dam dłużej robić z siebie palanta. Koniec. Kropka.

W wozie zapadła cisza.

– Zaraz, zaraz – wyraziła powątpiewanie Irena. – A ty, tatko, nie wi-
działeś tego... tego sprawcy? Ciebie on nie zatrzymywał?

Stefan zapalił silnik. Półgębkiem, niechętnie odpowiedział:

– Miąłem jakiegoś człowieka na rowerze, który wymachiwał rękami.
Ale przecież nie zatrzymałbym wozu z powodu pijaka. W nocy, na drodze,
w środku lasu, w taką ulewę.

– Oczywiście – powiedziała Irena.

– Oczywiście – powtórzyła szczególnym tonem Halina.

– Nazwisko Zygi, jeśli zrozumiałam – powiedziała Irena – to ono tak podziało na milicjantów? – Zaczęła się cicho śmiać. – Widzisz, tato, co to znaczy publicity?

– Ode mnie się odpieprz, bardzo proszę – powiedział Zyga. – Razem z tym twoim publicity.

– Co się z tobą dzieje, Zyga? – powiedziała Irena. – Jedziemy!

Stefan posłusznie wyprowadził wóz z zatoczki przed komendą. W domkach już zapalały się światła. Błaznane dachy polśniewały od deszczu.

– Nerwy nie w porządku – orzekła Irena. – Cała ta tragifarsa! Nie umieliśmy się pohamować. Bóg wie co nagadaliśmy.

– Zamknij się – powiedział Zyga. – Rany Boskie! Przestań kłapać jacydaczką.

Irena zwróciła się w stronę ojca i położyła dłoń na kierownicy.

– Skręcamy – zakomenderowała. Nim Stefan zdążył otworzyć usta: – Proszę cię, tato! Bez dyskusji. Zawracamy.

I Stefan posłusznie zawrócił wóz z uliczki na oznakowaną drogę, którą tu przyjechali. Było prawie jasno, niebieski, smutny pejzaż osnuwał się mleczną mgłą.

– Widziałam, że ten milicjant, co nas zatrzymał, wrócił przed chwilą do Komendy – powiedziała Irena. – Nysa też wróciła. Możemy jechać śmiało.

Halina otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zabrakło jej energii. Spojrzała na Zygę, jakby szukając sprzymierzeńca. Przejechali w milczeniu znajomy odcinek wyboistej drogi. Brukowce lśniły w świetle reflektorów jak węgle. Dlaczego przed godziną ta droga zrobiła na mnie takie ponure wrażenie? – zastanawiała się Halina. Stefan prowadził wóz jakby ostrożniej. Gdy podniósł oczy, ujrzał w lusterku zarys jej twarzy. Uciekł ze wzrokiem. Miał przykre uczucie utraty. Nawet upadku. Za nic by nie przyznał się do tego. Od czasu do czasu głośno sapał przez nos. Powtarzał sobie: trzeba

to zbagatelizować. Odzyskać dystans. Równowagę. Ujrzeć wszystko we właściwych proporcjach. Nic się nie stało. Poddaliśmy się atakowi zbiorowej hysterii.

Wjechali w las. Opar leżał tu gęściej i droga wydała się Stefanowi nie znana. Ale nie odważył się zapytać tamtych. Nie chciał słyszeć ich głosów. Był zbyt zmęczony.

A Zyga rozmyślał. Irena, do diabła z nią! Mało mi Radebergera! Mało mi trenera, którego muszę się strzec. Jeszcze mi ona potrzebna. Dostyc mną kręciła. Jak czort chwestem. Dłużej tego nie będzie. Spakuję walizki. Jeszcze nim pojedę na zgrupowanie. Koniec.

– Zyga! – usłyszał głos Ireny. – Zbudź się. Zyga!

– Chcieliście mnie zrobić – powiedział półgłosem, nie otwierając oczu.

Stefan udał, że tego nie słyszy. A Irena może i rzeczywiście nie dosłyszała, taka była zajęta rozglądaniem się. Zyga chciał odwrócić się na drugi bok, otworzył oczy i wtedy ujrzał, że stoją na szosie, w przejmującym świetle przedświt. Przed nimi z mgły wypływał przystanek PKS, bezludny, sprawiający wrażenie dekoracji, przypomniał, że już tu raz byli.

– To chyba tutaj? – upewniła się Irena. – Co, Zyga?

Wysiadła z wozu. Rozglądała się wokół. Za rowem przydrożne krzewy wąskim szpalerem zasłaniały pole. Ołowianym blaskiem połyskiwało rozlewisko. Za mgłą przebiegły światła pociągu i nadleciał jego stłumiony łomot.

– Tutaj, Zyga? – spytała Irena otwierając tylne drzwiczki. Ze złością ściągnęła z niego koc.

– Mówiłem ci, żebyś się odchrzaniła – powiedział Zyga. – Czego ci jeszcze trzeba?

– Jak to czego? – oburzyła się. – Wyłaż!

– Mówiłem ci, żebyś mnie zostawiła w spokoju.

– Zrozum, gibam tę Peribleptos! Ale Nikołkę muszę mieć!

Odwrócił się do niej plecami.

– Chcieli mnie zrobić! – powiedział głośno. – Trafili im się!

Irena zostawiła otwarte drzwiczki, przez które od razu wlał się cmentarny zapach butwiejących liści. Patrzyli, jak dziewczyna wzięła rozbieg i usiłowała przeskoczyć rów tuż za budką PKS-u. Pośliznęła się na mokrej darni i zjechała na czworakach w rów pełen wody.

– Zyga! – wrzasnęła rozpaczliwie. Zyga usiadł i wyjrzał z wozu.

– Zyga! – krzyczała Irena. – Czego się gapisz?

Z ociąganiem wylażł na drogę. Jest już po jego buncie, pomyślała Halina. Na tym się skończy? Na tych grubiaństwach? Co ja mam robić?

Śledziła, jak tamci dwoje przelażą przez rów, a potem kłócąc się zajadle, brodzą po rozlewisku, wśród kęp mokro połyskującej trawy i szuwaru.

– Bardzo to przykre – chrząknął Stefan z zażenowaniem. – Należą ci się moje przeprosiny. – Potarł dłonią podbródek i uśmiechnął się bezradnie. – Muszę się ogolić. W ogóle chciałbym już być w Warszawie. Gdyby nie to, że załatwiłem sobie tarcicę modrzewiową na boazerie, trzeba byłoby uznać, że ta cała eskapada jakoś nam się nie udała.

Na asfalcie leżały płaskie, połyskujące odbiciem chmur kałuże. Pływały w nich zwiędłe liście. Halina przypatrywała się im z wyrazem napiętej uwagi.

– Jak tu pięknie – powiedziała zmienionym głosem. – Już dawno nie widziałam wschodu słońca.

Stefan obejrzał się zaniepokojony.

– Co ci jest? – spytał podejrzliwie.

Spojrzała na niego. Drgały mu supły mięśni na policzkach.

– Wielki Boże – powiedział i aż zachnął się spotkawszy jej wzrok. – Czy ty naprawdę chciałabyś, żebym dla jakiegoś pijaka wszystko zaryzykował? Całe dzieło mego życia? Właśnie teraz, gdy wszystko się decyduje. Żebym przekreślił trzydzieści lat pracy. Przecież wiesz, jak taki przypadek wygrałby choćby ten sukinsyn Żmudziński...

– Nie widzisz, jaka piękna jest ta wymyta deszczem droga? – przerwała

mu Halina i wysiadła z wozu. Stała chwilę obciążając sukienkę na biodrach. Wreszcie podeszła do budki PKS-u i poszukała tabliczki z rozkładem jazdy. Boże, myślała, żeby teraz podjechał jakiś autobus. Ale najbliższy nadchodził dopiero za dwie godziny. Stefan śledził każdy jej ruch. Wzbierał w nim gniew na tę upartą, nic nie pojmującą histeryczkę. Kątem oczu ujrzała, jak wynurza się ciężko z wozu. Stał za jej plecami.

– Dobrze. Założmy, że wpadłem jakby w poślizg. Że straciłem panowanie nad nerwami. Ale tak bez namysłu przekreślić tyle pracy, niemal całe życie. I to akurat teraz? – powiedział z pretensją w głosie. – Jestem stary. Zdarłem się do cna. Nie możesz tego zrozumieć?

– Przestań mnie brać na litość – powiedziała i czubkiem buta zanurzyła brunatny liść w rozlaną szeroko na asfalcie kałużę.

– Postaw się w mojej sytuacji – poprosił.

– Nie chcę stawiać się w twojej sytuacji. Wystarczy mi, że nie wiem, co robić w mojej własnej. Dlaczego rozmieniałam swoje życie na drobne? Chyba nie będziemy udawać, że nic się nie zdarzyło.

– Czy nie wyolbrzymiasz? Cóż właściwie takiego się zdarzyło? Zawiodły nas nerwy. To wszystko.

– Prawda? Nic się w istocie nie zdarzyło. Wszystko było tylko przywidzeniem. Noc. Nerwy. Zły nastrój.

– Więc co, u licha, mam zrobić? Odebrać te ich ikony, zawieźć na milicję i powiedzieć, że je ukradli? Dlaczego robisz z igły widły?

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę i teraz już naprawdę nastraszył się wyrazu jej twarzy, tej maski poznaczonej rozmazanym makijażem.

– Jedno możesz dla mnie zrobić – krzyknęła piskliwym głosem. – Przestać do mnie mówić.

– Dlaczego?

Histerycznie zaczęła się śmiać.

– Tak będzie lepiej dla nas wszystkich. Pomilczmy trochę. Zamiast gadać, popatrzmy, jaki świat jest piękny! Zachwyćmy się przyrodą! Za chwilę

wzędzie słońce! Poddajmy się nastrojowi!

Wzruszył ramionami. Czuł się dotknięty, nawet obrażony. Odwrócił się na pięcie. Wsiadł do samochodu. Histeryczka! Jestem dla niej za stary. I nie spełniłem jej kaprysu, nie pojechałem na placówkę, kiedy jej się zachciało. Wieczne pretensje! Mam użerać się z Ireną i z tym jej troglodytą? Z tym chamem, specjalistą od bicia w mordę! Halina stała bez ruchu przed rozkładem jazdy. Ostentacje, myślał. Weszła w najgorszy wiek. A zawsze miała skłonności do teatralnych póz. Przymknął na chwilę oczy, ale wzburzenie nie mijało. Halina słyszała, jak mówi sam do siebie. Odeszła dalej.

– Wracaj do wozu. Zmarzniesz! – krzyknął z wściekłością.

Na wschodzie, tuż nad horyzontem, w szparze chmur ukazał się miedziany rąbek słońca. Na rozlewiskach jego odbłask przeświecał przez gęste opary. Znow zaczął mżyć deszcz. W krzakach za drogą skrzeczał jakiś ptak. Za ażurowym parawanem bezlistnych krzewów, na których skraplała się mgła, tamci brodili po bagnach i wciąż się kłócili. Aż tu dochodziły ich raz po raz przekrzykujące się głosy. Nagle Zyga schylił się, a potem, gdy znow się wyprostował, Irena zarzuciła mu ręce na szyję. Halina odwróciła wzrok. Szosą nadjeżdżała ciężarówka, czarna na tle wymytej deszczem jezdni.